

CHARLES WILLIAMS

Autor „MARTWEJ CISZY” i „GORĄCEGO MIEJSCA”



Pętla
podejrzeń

C&T



Stary, dobry kryminal

Sporo czasu już minęło od śmierci męża Georgii Langston. Jego mordercy też nie udało się ująć z życiem. Zginął z rąk Calhouna, miejscowego policjanta, w chwili gdy próbował pozbyć się zwłok. Ciągle jednak Calhoun, jak i wielu w miasteczku, wierzy, że to sama Georgia maczała w tym palce. I ciągle ktoś jej o tym przypomina...

Bill Chatham trafił tu przejazdem – po kolizji drogowej musi poczekać na naprawę auta. I przypadkiem wylądował w motelu Georgii. W samym środku sprawy, w której szybko wychodzi na jaw, że ktoś bardzo chce zaszkodzić młodej wdowie...

Charles Williams (1909–1975) był ceniony za perfekcyjne fabuły nie tylko przez amerykańskich czytelników kryminalów. Ze względu na świetną intrygę i galerię nieszablonowych postaci powieści te wielokrotnie przenoszono na ekran. A w filmach grali najlepsi aktorzy: Nicole Kidman, Virginia Madsen, Sam Neill czy Don Johnson.

ISBN 83-89064-08-1



C&T

19,90 zł

CHARLES
WILLIAMS

Pętla
podejrzeń

Przekład: MARIA GĘBICKA-FRĄC

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: STAIN OF SUSPICION

Copyright © 1958 by Charles Williams

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2002

Copyright © for the Polish translation by Maria Gębicka-Frać

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń

tel./fax (56) 654-82-04

ISBN 83-890644)8-1

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa

79, 87-100 Toruń

tel./fax (056) 652-90-17

Toruń 2002. Wydanie I.

Ark, wyd. 11; ark, druk. 12.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Rozdział I

To nie było duże miasto. Międzymiastowa szosa wchodziła w nie od zachodu przez most łączący brzegi wolno płynącej, mulistej rzeki, o niemożliwej do wymówienia indiańskiej nazwie, a potem szeroką ulicą z zatokami do parkowania i czterema światłami na każdym kolejnym skrzyżowaniu, przez cztery czy pięć kwartałów biegła główną dzielnicą handlowo-usługowa. Oddalałem się od ostatniego światła, jadąc prawym pasem z prędkością około dwudziestu mil na godzinę, gdy jakiś tubylec w poobijanej, starej ciężarówce zdecydował się wystrzelić do przodu ze swojego miejsca na parkingu, nie oglądając się za siebie.

Po mojej lewej stronie jechał drugi samochód, więc jedyne, co mogłem zrobić, to wcisnąć hamulce na chwilę przedtem, nim walnąłem w ciężarówkę. Chrzęstowi metalu towarzyszyła seria zgrzytliwych odgłosów, gdy fragmenty osłony chłodnicy i odłamki szkła sypały się na nawierzchnię. Szyje przechodniów na rozżarzonej ulicy wydłużyły się w naszym kierunku.

Zaciągnąłem ręczny hamulec, wysiadłem i potrząsnąłem głową zirytowany, gdy oszacowałem rozmiar uszkodzeń. Przedni zderzak zwiślał luźno z jednej strony, a prawy błotnik i potłuczony reflektor rozgniecione były na kole, lecz najgorszy z tego wszystkiego był strumień gorącej wody, wypływającej przez szczątki kraty chłodnicy.

Kierowca ciężarówki wypadł na zewnątrz. Mierzył około sześciu stóp, był chudy, ciemny i ostronosy, a koścista twarz, którą pragnął wpakować w moją, pachniała tanim muscatelem.

— Słuchaj, idioto — powiedział — może myślisz, że to tor wyścigowy...

Paskudny humor narastał we mnie od dłuższego czasu i właśnie znajdowałem się w niezbyt odpowiednim nastroju, by pozwolić się

objeżdżać jakimś nabuzowanemu twardzielowi z czerwonym nosem. Złapałem go lewą ręką za koszulę i chciałem klapnąć po twarzy, ale zdałem sobie sprawę, że to dziecinada, i po prostu odepchnąłem go. Belkotał dalej, a w tym samym czasie ktoś od tyłu zacisnął wielką dłoń na moim ramieniu. Odwróciłem się. Był to grubas o twardym i kompetentnym spojrzeniu. Ubrany był w khaki i miał też pas z kaburą.

— No dobrze — zwrócił się do mnie. — Jak chcesz narobić sobie kłopotów, zacznij ode mnie. Jestem w temacie.

— Okay, okay — powiedziałem. — Tu nie ma żadnej bijatyki.

Trzymał kamienne oko na mojej twarzy.

— Taki ładny, duży chłopak i lubi się rozpychać...

Zaczął się gromadzić zwyczajowy tłumek i mogłem odczuć, że nie byłem odpowiednim kandydatem, by pretendować do tytułu Miss Północnej Florydy 1958. Wszystko wyglądało tak, jakbym to ja rozpoczął sprzeczkę i w dodatku wpakował się na niego, a tablica rejestracyjna z kalifornijskimi numerami prawdopodobnie mi nie pomagała.

Grubas odwrócił się do kierowcy.

— Nic ci nie jest, Frankie?

Świetnie, pomyślałem kwaśno; prawdopodobnie są kuzynami.

Frankie wywnętrzał się dalej. Wypadek zdarzył się z mojej winy; cholerni turyści jeżdżący sześćdziesiątką w środku miasta. Gdy się wyczerpał, miałem okazję wtrącić swoje trzy grosze, i taka też była wartość tego, co osiągnąłem. Zaapelowałem do gapiów, szukając świadków, ale nikt nic nie widział albo nie chciał się przyznać.

— W porządku — orzekł ponuro gruby policjant. — Obejrzyjmy pańskie prawo jazdy.

Właśnie wyciągałem je z portfela, konotując sobie w pamięci, że jeżeli kiedykolwiek będę tędy przejeżdżał, to zaokrętuje samochód i przejdę przez miasto na piechotę, gdy z krawężnika zeszła wysoka dziewczyna o ciemnych włosach i zbliżyła się do nas.

— Ja wszystko widziałam — zwróciła się do funkcjonariusza.

Opowiedziała mu, jak to się stało.

W pewien nieuchwytny sposób, którego nie potrafiłem wyraźnie określić, jego reakcja wydała mi się trochę dziwna. Najwidoczniej ją znał, ale nie padło ani jedno słowo powitania. Kiwnął głową, przyjmując jej relację, lecz było to szorstkie skinienie, skąpe i chyba wrogie. Ona napisała coś na kartce i podała mi.

— Gdyby pańskie towarzystwo ubezpieczeniowe chciało się ze mną skontaktować, tu jest mój adres — powiedziała.

— Stokrotne dzięki — odparłem. Wsunąłem kartkę do portfela. — To bardzo miło z pani strony.

Wróciła z powrotem na chodnik. Kilku widzów przyglądało się jej i odczuwałem tę samą dziwną reakcję, jaką zauważyłem u grubego policjanta. Nie była to zupełna wrogość — a może była? Miałem wrażenie, że oni wszyscy ją znają, mimo że nikt nie odezwał się do niej. Ale ona zachowała spokój.

Nie wiem, czy to z powodu jej relacji, czy dlatego, że w końcu policjant przybliżył się na tyle do Frankiego, że złapał trochę rozsiewanego przez niego muscatelowego pyłu radioaktywnego, ale sytuacja zmieniła się na moją korzyść. Obrzął Frankiego kilkoma odzywkami, rodem z placu koszarowego, i spisał raport, lecz nie wystawił żadnego mandatu. Uszkodzenia ciężarówky nie były poważne. Wymieniliśmy informacje o towarzystwach ubezpieczeniowych. Przyjechało pogotowie techniczne i zabrało mój samochód. Pojechałem z kierowcą do warsztatu. Stał on przy drodze, którą przyjechałem, w pobliżu rzeki w zachodniej części dzielnicy handlowo-usługowej.

Było koło drugiej po południu gorącego, bezwietrznego dnia w środku lata. W jaskrawym świetle słońca cienie wyglądały jak atrament, koszula przesiąkała mi potem. Wczesnym rankiem opuściłem Nowy Orlean i planowałem przejechać tranzytem do St. Petersburga, by przed obiadem wykapać się w Zatoce. Cóż, nic tu się nie da poradzić, skwitowałem skwaszony. Potem pomyślałem o dziewczynie i próbowałem przypomnieć sobie, jak wygląda. Jedyne co mi się nasunęło, to to, że była wysoka i bardzo szczupła. Atrakcyjna? Trochę, ale nie taka znowu porywająca. Około trzydziestki, ocenilem. Lecz w jej twarzy było coś, jakaś cecha, która teraz uciekła mi z pamięci... A zresztą, nie miało to znaczenia.

Warsztat mieścił się na dużym placu na rogu. Z przodu znajdowała się myjnia, przy podjeździe pompy benzynowe. Wholowaliśmy samochód do środka, gdzie obejrzał go majster. Był to chudy jak szczapa facet o zimnej twarzy.

— Chce pan rachunek, prawda? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałem. — Sam zapłacę, a towarzystwo ubezpieczeniowe niech walczy o to później.

— Pojutrze wszystko będzie zrobione. Nie mamy na składzie takiej chłodnicy, ale sprowadzimy ją autobusem z Tallahassee.

— Trudno. — Nie uśmiechało mi się spędzenie w tym miejscu trzydziestu sześciu czy więcej godzin, ale nie było sensu rozwodzić się nad tym dłużej. Wyciągnąłem z bagażnika dwie torby. — Gdzie tu się można zatrzymać?

— Ja na pana miejscu postawiłbym na jeden z moteli.

— Świetnie. Gdzie jest najbliższy?

Wytarł ręce w kawałek szmaty i zastanowił się.

— Jedyne po tej stronie znajduje się trzy mile za miastem. Jest kilka dobrych po wschodniej stronie, całkiem blisko. Spanish Main i El Rancho.

— Dzięki. Mogę zadzwonić po taksówkę?

Kiwnął głową w stronę biura. — Niech pan przy okazji spojrzy na tę laleczkę...

Do warsztatu wszedł wielki blondynek w białym kombinezonie i zabrał coś ze stołu. Odwrócił się i popatrzył na nas. — Jak chce pan jechać do motelu, to od frontu stoi pani Langston, bierze benzynę.

Majster przecząco pokręcił głową.

— Kto to jest pani Langston? — spytałem.

— Prowadzi motel Magnolia, na wschód od miasta.

— No to w czym problem?

Wzruszył ramionami.

— Niech pan robi, co pan uważa.

Zaintrygował mnie.

— Coś nie w porządku z tym za jazdem? — dociekałem.

— Nie sądzę. Jest zaniedbany i nie ma basenu, ale gdzie się pan zatrzyma, to pańska sprawa.

Nazwisko brzmiało znajomo. Byłem prawie pewien, że to ta sama osoba. Zamiast wyłowić kartkę z portfela, po prostu podniosłem bagaże, podziękowałem i wyszedłem na podjazd. Miałem rację. Stała przy starej furgonetce, wyciągając z portmonetki pieniądze.

Podszedłem i postawiłem torbę.

— Pani Langston?

Obejrzała się i obdarzyła mnie krótkotrwałym uśmiechem.

— O, witam — powiedziała.

Nagle zrozumiałem, co takiego w jej twarzy uderzyło mnie wcześniej. Była zmęczona. Po prostu zmęczona. Była to szczupła i raczej atrakcyjna twarz, ale w jej pięknych, szarych oczach czaiło się prawie bezkresne znużenie.

- O ile się orientuję, prowadzi pani motel — powiedziałem.
- To prawda. — Skinęła potakująco głową.
- Jeżeli ma pani wolne miejsca, mógłbym z panią pojechać.
- Tak, oczywiście. Niech pan włoży swój bagaż do tyłu.

Chłopak przyniósł jej resztę i pojechaliliśmy z powrotem główną ulicą. Miałem nadzieję, że jeśli Frankie był jeszcze w mieście ze swoją ciężarówką, to zobaczymy go na tyle wcześnie, by zdążyć opuścić furgonetkę i gdzieś się ukryć.

— Kiedy będzie gotów pana samochód? — zapytała, gdy zatrzymaliśmy się pod światłami.

— Pojutrze — powiedziałem. — Przy okazji, chcę pani jeszcze raz podziękować.

Odwróciłem się i popatrzyłem na nią. Miała ciemne, rudobrazowe, obcięte na pazia włosy, sięgające do ramion, i raczej kremową karnację, mimo że nie miała makijażu, z wyjątkiem muśnięcia pomadką. Usta były bardzo ładne. Kości policzkowe miała wysokie i wydatne, co sprawiało wrażenie, że blade policzki były bardzo zapadnięte, i co w dodatku sugerowało niedowagę, nadmierne napięcie i przemęczenie. Była to twarz dojrzałej kobiety i była w niej jakaś siła. Jej zaręczynowy pierścionek i ślubna obrączka wyglądały na kosztowne, ale reszta jej rzeczy nie pasowała do nich. Sukienka była tania, a sandały stare i znoszone. Miała śliczne długie nogi, nie nosiła pończoch.

Po prawej stronie, tuż za granicami miasta, stał motel Spanish Main. Przed nim, wśród kolorowych parasoli, znajdował się potężny basen. W białym blasku słońca wydawał się niebieski i chłodny, i przypomniałem sobie, że w Magnolii takiego nie ma. Dureń, pomyślałem z goryczą. No cóż, nie lubiłem być sterowany. A ona była bardzo miła.

Motel Magnolia znajdował się ćwierć mili dalej, po lewej stronie. Gdy skręciła z drogi, mogłem zrozumieć, co miał na myśli majster, mówiąc, że jest on zaniedbany: wokół niego rozciągała się zapuszczona wolna przestrzeń, sprawiająca wrażenie, że nigdy nie była całkowicie wykończona. Motel składał się z dwunastu do piętnastu najwyższych pokoi, ustawionych w zwyczajny czworobok, otwartą stroną zwrócony ku drodze. Konstrukcja była mocna i niezbyt stara, ceglana, z dachem krytym czerwoną dachówką, ale wszystko wymagało malowania, w gorącym blasku popołudnia teren wydawał się smutny i niegościnnie. Na trawniku od frontu i w środku kwadratu widać było, że podejmowano jakieś próby, lecz teraz wszystko było spalone słońcem i zakurzone, a biały żwir na podjeździe był rozrzucony

i porośnięty gdzieniegdzie uporczywymi chwastami. Zastanowiłem się, dlaczego jej mąż pozwala, by motel znajdował się w takim stanie.

Biuro mieściło się na lewo. Zatrzymała się przed nim. Na jednym z tylnych siedzeń leżały dwie torby z artykułami spożywczymi. Zabrałem je i poszedłem za nią do środka.

Mały hol był chłodny i przyjemnie przyciemniony, dzięki zsuniętym żaluzjom, niedopuszczającym ostrego światła z zewnątrz. Na podłodze z ciemnoniebieskich klepek, przykrytej dwoma czy trzema plecionymi chodnikami, stało kilka bambusowych foteli z pomarańczowymi i czarnymi poduszkami. W rogu był telewizor, a przed kanapą stał długi stolik do kawy z bambusa i szkła, na którym leżały egzemplarze różnych czasopism. Na stole pod ścianą z lewej strony stał miniaturowy model żaglowca. Miał on około trzech stóp długości i piękną linię. Naprzeciwko drzwi stało biurko, służące za ladę recepcyjną, na jego rogu ustawiona była mała łącznica telefoniczna i obok półka z przegródkami na klucze. Wprost za ladą znajdowały się zasłonięte kotarą drzwi, które najwidoczniej łączyły recepcję z mieszkaniem prywatnym. Zza nich, skądś z tyłu, dochodził dźwięk pracującego odkurzacza.

Położyłem torby na ladzie. Kobieta zawołała „Josie!” i odkurzaczy zamilkł. Zza kotary wynurzyła się potężna kolorowa dziewczyna w białym fartuszk. Miała tłustą, dobroduszną twarz i duże usta, wymalowane jakimś dziwnym, prawie purpurowym odcieniem szminki.

Pani Langston położyła przede mną kartę meldunkową i kiwnęła w kierunku toreb z żywnością.

- Josie, czy mogłabyś zabrać to do kuchni?
- Tak, psze pani. — Dziewczyna zgarnęła torby i zaczęła się odwracać.
- Telefonował hydraulik? — zapytała jeszcze pani Langston.

Wyjąłem pióro i pochylilem się nad kartą, zastanawiając się — jak przez cały ubiegły tydzień — dlaczego ciągle podaję, że mieszkam w San Francisco. No cóż, człowiek musi coś wpisać, a to ostatecznie pasowało do numerów na tablicy rejestracyjnej mojego wozu.

— Nie, psze pani — odpowiedziała Josie. — Telefon dzwonił kilka razy, ale myślę, że to była pomyłka. Gdy się odzywałam, nikt nic nie mówił; odwieszał słuchawkę.

Josie wyszła. Przypadkiem spojrzałem w górę. Twarz pani Langston była całkowicie spokojna, ale kremowa skóra stała się o ton bledsza i odniosłem

dziwne wrażenie, że musiała walczyć, by pokazać swoje opanowanie. Patrzyła na przestrzał.

— Czy coś się stało? — zapytałem.

— Och. — Potrząsnęła głową i zdobyła się z wysiłkiem na uśmiech. — Nie. Czuję się dobrze. To tylko upał.

Odwróciła wypełnioną kartę i spojrzała na nią.

— San Francisco? — powiedziała. — Zatem jak pan wytrzymuje tutejsze upały, panie Chatham?

— Bywała pani w San Francisco? — zapytałem.

Potakująco skinęła głową.

— Raz, w sierpniu. Miałam tylko letnie ubrania i prawie zamarzłam. Ale uwielbiam to miasto, jest fascynujące. — Sięgnęła do tyłu i z przegródki wyjęła klucz. — Niech pan weźmie numer dwanaście.

— Będzie lepiej, jeżeli teraz pani zapłacę — powiedziałem. — Ile?

Zaczęła odpowiadać, gdy zadzwonił telefon. Skutek, jaki wywarł na niej, był prawie przerażający. Zesztywniała, jak gdyby ktoś wychlusnął jej na plecy wiadro lodowatej wody, i przez chwilę w jej oczach widziałem paniczny strach. Telefon stał na biurku, po jej lewej stronie. Zadzwonił ponownie, nagłaco przesywając powietrze, a ona powoli zmusiła się, by wyciągnąć rękę i podnieść słuchawkę.

— Motel Magnolia — powiedziała cichym głosem.

Nagle z jej twarzy odpłynęły wszystkie kolory. Zachwiała się, a ja sięgnąłem ręką ponad biurkiem, by ją podtrzymać, myśląc, że się przewraca, lecz ona tylko ciężko osunęła się na krzesło. Spróbowała odłożyć słuchawkę na widełki, ale nie trafiła. Słuchawka upadła na suszkę do atramentu, wydając nikłe dźwięki, podczas gdy ona sama oparła twarz na rękach i drżała.

Podniosłem słuchawkę. Wiedziałem, że nie mam w tym żadnego interesu, ale to był czysty odruch, i podejrzewałem już, co usłyszę. Miałem rację.

Był to niezidentyfikowany szept, zjadliwy, obsceniczny i urągający, a sprośności, którymi operował, mogły przyprawić o mdłości. Pomyślałem, że w tle słyszę także coś innego. Po minucie potok brudów zatrzymał się i szepczący głos zapytał:

— Dobrze mnie słyszysz, kochanie? Powiedz mi, jak ci się to podoba.

Zacisnąłem rękę na mikrofonie i przechyliłem się nad biurkiem. Dotykając jej ramienia, powiedziałem:

— Niech mu pani odpowie. — I wyciągnąłem słuchawkę w jej stronę. Podniosła głowę, ale tylko wpatrywała się we mnie z przerażeniem. Potrząsnąłem ją za ramię.

— No już! — rozkazałem. — Niech pani coś powie! Cokolwiek!

Kiwnęła głową. Zdjąłem rękę z mikrofonu.

— Dlaczego? — krzyknęła. — Dlaczego mi to robisz?

Skinąłem potakująco i słuchałem dalej. Przyciszony śmiech przypominał coś pelzającego po ciele nagiego człowieka zanurzonego w bagnie.

— Mamy przecież wspólny sekret, kochanie. Wiemy, że go zabiłaś, nieprawdaż?

Zmarszczyłem brwi. Nie była to część normalnego w takich sytuacjach wzorca. Szepczący głos kontynuował:

— Wiemy, kochanie, prawda? Lubię to. Lubię myśleć, że my dwoje... — wyrecytował kilka rzeczy, o których lubił myśleć. Potem raptownie w tle rozległ się jakiś inny dźwięk i połączenie zostało przerwane. Lecz może niedostatecznie prędko, pomyślałem.

Odłożyłem słuchawkę na miejsce i popatrzyłem w dół na schyloną głowę.

— Wszystko w porządku — powiedziałem. — Oni zwykle są nieszkodliwi.

Podniosła twarz, ale nie wydała żadnego dźwięku.

— Od jak dawna on to robi? — spytałem.

— Dawno... — wyszeptała chrapliwie. — Dłuższy czas... — Runęła do tyłu.

Obiegłem biurko i złapałem ją. Podniosłem i ułożyłem delikatnie na podłodze na jednym z dywaników. Była bardzo lekka, o wiele za lekka jak na tak wysoką dziewczynę. Wstałem, krzyknąłem: „Josie!” i spojrzałem z powrotem na nią, na krańcową bladość jej szczupłej twarzy i kontrastową czerń rzęs, i zastanowiłem się, jak długo znajdowała się na krawędzi psychicznego załamania.

Josie przepchnęła się przez kotary i popatrzyła na mnie pytająco.

— Masz jakąś whisky? — zapytałem.

— Whisky? Nie, proszę pana, nie mamy żadnej... — Przysunęła się krok bliżej i teraz mogła dostrzec panią Langston leżącą na podłodze. — O Panie w niebiosach...

— Przestań — powiedziałem. — Przynieś mi lepiej szklankę. I mokrą ścierkę.

Wybiegłem na zewnątrz i przyniosłem z samochodu mój bagaż. Była w nim butelka. Josie, kołysząc się w biodrach, wróciła zza kotary. Nalałem trochę whisky do szklanki i klęknąłem obok pani Langston, by przetrzeć jej twarz wilgotnym ręcznikiem.

— Uważa pan, że wszystko będzie z nią w porządku? — niespokojnie zapytała Josie.

— Oczywiście. Tylko zemdląca. — Znalazłem jej puls. Był dość równomierny.

— Nie da jej pan whisky?

— Nie, dopóki nie może przełykać — odparłem zniecierpliwiony. — Chcesz ją udusić? Gdzie jest jej mąż?

— Mąż?

— Pan Langston — warknąłem. — Idź i przyprowadź go. Gdzie on jest?

Potrząsnęła głową. — Nie ma tu żadnego pana Langstona. On nie żyje. Nie uważa pan, że powinniśmy wezwać doktora?

— Nie sądzę. Poczekaj chwilę.

Pani Langston poruszyła się i otworzyła oczy. Objąłem ją i uniosłem, i przyłożyłem jej whisky do ust. Napiała się i zakaszlała, ale opanowała się. Podałem szklankę Josie.

— Przynies trochę wody.

Po chwili już mogła się podnieść. Pomogłem jej usiąść na jednym z foteli i dałem jej drugiego drinka, zmieszanego z wodą. Nieco kolorów wróciło jej na twarz.

— Dziękuję — powiedziała drżącym głosem.

Zbyłem to niecierpliwym gestem.

— Wie pani, kto to jest?

— Nie.

— Czy domyśla się pani?

Bezradnie potrząsnęła głową.

— Ale zawiadomiła pani policję?

— Kilka razy — przytaknęła.

Nie było czasu do stracenia. Podeszedłem do telefonu i zadzwoniłem na centralę.

— Z biurem szeryfa proszę.

Po drugim dzwonku odezwał się męski głos. Rzuciłem:

— Chciałbym rozmawiać z szeryfem...

— Nie ma go. Tu Magruder; o co chodzi?

— Dzwonię z motelu Magnolia — powiedziałem. — Z powodu psychopaty, który telefonuje do pani Langston. Sądzę, że miał pan na niego skargi...

— Na kogo?

— Na psychopatę — powtórzyłem. — Wariata. On niepokoi panią Langston, dzwoniąc do niej...

— Tak, tak, wiem — odparł. — Co z nim?

— Myślę, że mogę dać panu wskazówkę i jeśli zadziała pan odpowiednio szybko, może go pan złapie. Rozłączył się jakieś dwie minuty temu...

— Spokojnie, przyjacielu. Nie tak szybko. Kim pan jest?

Wzięłem głęboki oddech.

— Nazywam się Chatham. Zatrzymałem się w motelu i przypadkiem byłem w biurze, gdy zadzwonił ten gad. Słuchałem, co mówi...

— Dlaczego?

To nie musiało być najgłupsze pytanie, jakie mogło zostać zadane przez funkcjonariusza policji, pomyślałem, ale był blisko. Zdławiłem sarkastyczną odpowiedź.

— Proszę zrozumieć, mogę dać wskazówkę odnośnie miejsca, z którego dzwonił...

— On to panu powiedział? To bardzo miłe z jego strony.

Westchnąłem.

— Nie. Próbuję to panu powiedzieć. Myślę, że szczęśliwym trafem udało mi się zauważyć coś, co może panu pomóc...

— Taak, taak. Jasne. Ma pan na telefonie jego odciski.

— A zatem nie interesuje to pana?

— Przyjacielu drogi — zaczął chłodno. — Czy uważa pan, że nie mamy nic innego do roboty, jak tylko uganiać się za pijaczkami robiącymi głupie kawały? A pani Langston, jak nie chce słuchać tych głupot, to zawsze może odłożyć słuchawkę.

— Ona nie może otrzymywać więcej takich telefonów!

— Nie musi ich odbierać.

— A telefony w interesach? — zapytałem zimno.

— Nic nie mogę poradzić na to, kto do niej dzwoni. Ale nikt nigdy nie został zraniony przez telefon, niech mi pan wierzy.

— Nigdy bym na to nie wpadł. Powiem jej to, na pewno się ucieszy. — I rozwścieczony odłożyłem słuchawkę.

Rozdział 2

Z powrotem odwróciłem się do niej; Josie wróciła do swoich zajęć. Typowym dla niej, pełnym zmęczenia gestem, palcami przeczesła ciemne włosy. Ciągłe była zbyt blada. Pewnego dnia, takiego jak dzisiejszy, rozpadnie się jak upuszczony talerz.

— Czy oni kiedykolwiek coś w związku z tym robili? — zapytałem.

— Za pierwszym czy drugim razem. Przysłali człowieka, by ze mną porozmawiał. Ale nie jestem pewna, czy mi uwierzyli.

— Nie wie pani, czy on niepokoi również inne kobiety?

Potrząsnęła głową.

— Myślę, że nie. — Do jej oczu na chwilę wróciło przerażenie i krzyknęła: — Dlaczego on to robi?

— Nie wiem — powiedziałem. — Dlaczego inni wyskakują w parku z krzaków bez ubrania? Ale oni prawie zawsze są nieszkodliwi.

Przyszło mi na myśl, że jestem prawie tak głupi, jak ten błazen Magruder. Nieszkodliwi? No cóż, w fizycznym sensie — tak. Spojrzała na mnie.

— Dlaczego chciał pan, bym mu odpowiedziała?

Wzruszyłem ramionami.

— Siła przyzwyczajenia. Byłem gliną.

— Aha, chciał pan, żeby on jak najdłużej mówił, prawda?

— Jasne. Dla pani jest to jedyny kontakt z nim i gdy on odkłada słuchawkę, równie dobrze może znajdować się w innym świecie. Im dłużej wyrzuca te swoje plugastwa, tym większa szansa, że powie coś, co będzie jakąś wskazówką. Albo że usłyszy się coś innego w tle.

Popatrzyła na mnie ze zwiększonym zainteresowaniem.

— I pan coś usłyszał?

— Tak. Telefonował z kabiny. Oczywiście, to wiele nie znaczy; oni prawie zawsze tak robią. Lecz ta kabina znajduje się w pijalni piwa lub w restauracji i uważam, że można by ją zidentyfikować...

— Jak? — spytała niedowierzająco. — To znaczy, co i jak pan odkrył?

— Głupie szczęście — odpowiedziałem. — Człowiek strzela na ślepo i czasami trafia. Większość z tych kabin ma wentylatory, wie pani; ta też, ale ten wentylator ma coś nie tak z wirnikiem. Pracuje na tyle głośno, że go słychać. I usłyszałem też włączaną szafę grającą...

Przerwałem, zastanawiając się nad tym. Ten facet miał poprzesztawiane klepki, ale był dostatecznie sprytny, by się wyłączyć, gdy zaczęła grać muzyka. No cóż, to nic nie znaczyło. Seksualny psychopata niekoniecznie musi być głupi; on był zaledwie niezrównoważony.

Zmarszczyła brwi.

— Wobec tego mogliby go złapać? To znaczy, gdyby pana posłuchali?

— Nie wiem — odparłem. — Mając szczęście i odpowiednią ilość ludzi do przeszukania wszystkich lokali w mieście... — Nie miałem nic do sił policyjnych w jej okręgu. Były na pewno zawałone robotą i miały za mało ludzi. Jak to zwykle bywało w policji.

— Mówił pan, że był pan policjantem? — powiedziała. — A zatem już pan nie jest?

— Nie.

Włożyłem whisky z powrotem do torby i zamknąłem ją. Klucz od pokoju leżał na ladzie, tam, gdzie go upuściła. Schowałem go do kieszeni. Podniosła się. Zamiast jej pomóc, obserwowałem, jak sobie daje radę. Wciąż była trochę roztrzęsiona, ale najwidoczniej czuła się dobrze.

— Dziękuję za wszystko, panie Chatham — powiedziała.

— Ile razy w ostatnich czasach zdarzyło się pani zemdleć?

Uśmiechnęła się smutno.

— To było takie absurdalne. Myślę, że przytrafiło mi się to drugi raz w życiu. Dlaczego pan pyta?

— Powinna pani iść do lekarza. Musi się pani dać zbadać.

— To głupie. Jestem zupełnie zdrowa.

— Teraz jedzie pani na rezerwie. A kiedy zbiorniki będą puste, dojdzie do katastrofy. Pani nie waży nawet stu funtów.

— Sto dziesięć. Nie zna pan swojej siły.

— Okay. — To nie był mój interes.

Wyszedłem i zabrałem z samochodu drugą torbę. Numer dwanaście znajdował się w przeciwnym skrzydle, na rogu. Między nim a końcem było troje drzwi; razem piętnaście pokoi. Postawiłem walizki i wsunąwszy rękę do kieszeni po klucz, odwróciłem się i popatrzyłem na ponurą przestrzeń obnażoną w blasku słońca. Pasowałyby tu basen, dwadzieścia na czterdzieści stóp, pomyślałem, wyobrażając go sobie: chodniki, leżaki, parasole, krzewy, trawa — ten teren aż się prosił o trawę. To było zawstydzające. Wszedłem do środka.

Pokój był wyposażony w przyjemną zieloną wykładzinę, dwa bliźniacze łóżka z zielonymi narzutami, komodę z dużym lustrem i dwa fotele.

Po lewej stronie, za drzwiami, do których przymocowane było wielkie lustro, znajdowała się łazienka, wyłożona kafelkami w kolorze leśnej zieleni. Było gorąco, ale w pokoju był klimatyzator wmontowany w ścianę obok zamkniętego i zasłoniętego okna. Włączyłem go. W jednej chwili zaczęło napływać chłodne powietrze. Ściągnąłem przepocone ubranie i wziąłem prysznic. Ręczniki, zauważyłem, były wytarte i zniszczone, tego rodzaju, jakiego człowiek spodziewa się w tanich pokojach hotelowych. Kontrastując z dobrą jakością stałego wyposażenia, opowiadały swoją własną historię. Ona prawdopodobnie bankrutowała. Zadumałem się, ale potem wzruszyłem ramionami i nalałem sobie whisky. Pałac papierosa, położyłem się nago na jednym z łóżek.

Byłoby lepiej, gdybym miał coś do zrobienia. Jakąś ciężką pracę, może na powietrzu, w słońcu, coś, co zajęłoby mi ręce. Budowanie czegoś. To było to. Człowiek robił coś rękoma i to było namacalne. Nikt się do tego nie mieszał, nie było żadnych zakłócających emocji, żadnych abstrakcji, ani dobrych, ani złych, i można było odwalić sześćioletnią robotę w pięć szalonych minut.

Wyobraziłem sobie dom na stoku Twin Peaks i mgłę, przepływającą przez miasto późnym popołudniem na kształt bawelnianej rzeki, i pomyślałem o Nan. Nie było w tym żadnego szczególnego uczucia, z wyjątkiem poczucia doznanego niepowodzenia i bezcelowości. Byliśmy rozwiedzeni od ponad roku. Dom był sprzedany. Praca stracona bezpowrotnie — praca, którą ona obwiniała o nasze niepowodzenia.

Zaciągnąłem się papierosem i gapilem w sufit, zastanawiając się, czy czytała o tym, gdy to się stało. Wyszła ponownie za męża i przeniosła się do Santa Barbara, ale kilku z jej przyjaciół z Bay mogło napisać jej o tym albo wysłać wycinki z gazet. Nie miałem od niej ani słowa, ale nie było też żadnego powodu, dla którego miałyby pisać. Nie należała do kobiet z tego rodzaju, dla których „A przecież ci mówiłam” jest rutyną, a w tej sytuacji nie było nic innego do powiedzenia. Miałem nadzieję, że nie wysłali jej tego zdjęcia. Było trochę brutalne. Taki sam był prosty nagłówek: OFIARA BRUTALNOŚCI POLICJI.

Rozgniotłem papierosa i usiadłem. Gdybym spędził całe popołudnie zamknięty w tym pokoju ze swoimi myślami jak w klatce, zacząłbym spacerować po ścianach. Pomyślałem o pani Langston i o tym gadzie, który doprowadził ją do rozstroju nerwowego. Książka telefoniczna leżała na komodzie. Nie, pomyślałem z goryczą, do diabła z tym. To nie jest moja sprawa, prawda?

Bądź co bądź, przez ten czas on zdążył odejść, wobec tego co było do zrobienia?

Ale pomysł pozostał; podszedłem do komody i podniosłem książkę telefoniczną. Stanowiło to wyzwanie i mogło zabić popołudnie, prawda? Chwyliłem pióro i arkusz papieru i przewertowałem żółte stronicę.

Kawiarnie... W spisie było osiem, trzy z nich na Springer. Była to prawdopodobnie główna ulica. Spisałem adresy.

Tawerny... Dziewięć.

Piwiarnie... Ani jednego nagłówka.

Kluby nocne... Jeden, adres zdublowany przez jedną z tawern.

W sumie ogólnej czyniło to siedemnaście lokali, z możliwością kilku duplikatów. Zadzwoiłem po taksówkę i szybko ubrałem się w sportową koszulkę i lekkie spodnie. Gdy wyjeżdżaliśmy, zauważyłem, że jeden z lokali znajduje się po drugiej stronie drogi. Neonowa reklama miała kształt skaczącej ryby i obwieszczała: Silver King Inn. Cóż, wstąpię tu w drodze powrotnej.

Zwracałem uwagę na nazwy ulic, gdy wjechaliśmy do miasta. Dobrze myślałem, główna nazywała się Springer. Wsiadłem z taksówki w drugim kwartale przed jedną z kawiarni, zapłaciłem kierowcy i wszedłem do środka. Był tam telefon, ale bez kabiny. Następna kawiarnia znajdowała się po drugiej stronie ulicy przecnicę dalej. Był tam telefon w kabinie i niezbyt daleko od niego stała szafa grająca. Kiedy zamknąłem drzwi, włączył się wentylator, lecz nie był to ten, którego szukałem. Nie robił w ogóle żadnego hałasu. Wrzuciłem dziesięciocentówkę, wybrałem na chybił trafił kilka cyfr, przez minutę udawałem, że słucham, i odwiesiłem słuchawkę, odzyskawszy monetę.

W ciągu pół godziny zaliczyłem dziewięć lokali, od wyłożonych szkłem i chromem kabin w Steak House do zatłuszczonych knajpek serwujących hamburgery nad rzeką na Front Street, i od jedyne go porządnego drinkbaru do obskurnych spelunek z piwem, i miałem całkiem dobry obraz planu miasta. Rzeka i Front Street biegnęły po stronie zachodniej. Na południe od Springer znajdowała się druga ulica z firmami i przedsiębiorstwami, dalej tory kolejowe i zapuszczona stacja. Na południe od szerokiej głównej ulicy biegnęły dwie równoległe do niej, z gmachem sądu na jednej i małą pocztą i biurem federalnym na drugiej, a za nimi — jedna czy dwie szkoły i główny obszar mieszkalny. Były tu cztery poprzeczne ulice, które zaczynały się od Front Street. Springer, która oczywiście była również główną trasą

komunikacyjną, była jedyną ulicą o kierunku wschód-zachód, która przechodziła za rzekę; inne kończyły się na Front Street.

Wciąż jednak nie znalazłem tego telefonu. Szukałem dalej. Większość z lokali była klimatyzowana i wychodząc na zewnątrz czułem się tak, jakbym wchodził do pieca. Asfalt kipiał i cmokał pod podszewkami moich butów. Koszulę miałem mokrą od potu. Godzinę później spasowałem, zbity z tropu. W mieście nie było publicznej budki telefonicznej z hałaśliwym wentylatorem.

Bądź co bądź, miałem na swojej liście jeszcze dwa lokale. Jednym był Flamingo, nocny klub na West Highway, lecz były nikłe szanse na to, że był otwarty w czasie, gdy ten facet dzwonił, około drugiej piętnaście. Drugi to Silver King Inn, położony prawie naprzeciwko motelu. Czy mógłby stamtąd dzwonić? Będąc praktycznie w jej zasięgu? Ale kto mógł odgadnąć, co taki gad chciał zrobić? Wrócę i zajrzę tam. Za następnym rogiem, obok przystanku autobusowego, znajdował się postój taksówek.

Wsiadłem do jednej, a kiedy wjechaliśmy na Springer i zatrzymaliśmy się na pierwszych światłach, kierowca odwrócił się i spojrzał na mnie przez ramię. Był mężczyzną w średnim wieku o pomarszczonej twarzy, smutnych brązowych oczach i miał kiepsko wykonany komplet sztucznych zębów, które były zbyt duże i zbyt symetryczne. Wyglądał jak komiwojażer handlujący pastą do zębów.

— Niech pan mi powie — zagadnął — czy jest pan tym człowiekiem, który zderzył się z Frankiem?

— Nie nazwałbym tego zderzeniem — powiedziałem. — Zwykła stłuczka.

— Tak mi się zdawało, że pana poznaję. Hm, zwiedza pan miasto, co? Założę się, że widziałem pana trzy czy cztery razy.

Przez całe życie mieszkałem w wielkim mieście i to mi nie przyszło do głowy. Tu było małe miasto, ja byłem w nim obcy i do tego całkiem okazałych rozmiarów. Gdy dodało się do tego zarumienioną twarz i najeżone rude włosy, człowiek nie mógł poruszać się w sposób niezwracający uwagi.

— Tylko błąkam się bez celu — odparłem. — Zabijam czas, podczas gdy naprawiają mi samochód.

— Gdzie się pan zatrzymał?

— W motelu Magnolia.

— Aha.

Zaskoczony spojrzałem na jego kark. Znowu to samo, taka sama dziwna reakcja, której nie można było dokładnie określić. Pomyślałem o naocznych świadkach wypadku i o mechaniku w warsztacie. Światła zmieniły się. Ruszyliśmy dalej.

— Coś z nim nie w porządku? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

— W zasadzie to nic. Jest trochę zapuszczony.

— No cóż, utrzymanie go to ciężka praca dla samotnej kobiety. Zrozumiałem, że jej mąż nie żyje.

— Tak, nie żyje, to prawda.

Może poznałbym coś nowego. Różne stopnie bycia martwym...

— Co to znaczy?

— Jest pan z Kalifornii, prawda? Tam chyba gazety nie nadały tej sprawie rozgłosu... — Musiał przyhamować na następnym skrzyżowaniu, gdy światło zmieniło się na czerwone. Potem obejrzał się przez ramię. — Langston został zamordowany.

Przez chwilę nic nie mówiłem. Myślałem o przyciszonym, obleśnym śmiechu i szepcie. *Wiemy, że go zabiłaś, nieprawdaż?* Uczepiłem się tego.

— No tak, ale czy złapali faceta, który to zrobił?

— Hmm. Tak i nie.

Był to ten rodzaj odpowiedzi, który lubiłem. Westchnąłem, zapaliłem papierosa i spróbowałem jeszcze raz.

— Złapali go czy nie?

— Złapali jednego — powiedział. — Mężczyznę. Lecz do dziś dnia nie odkryli, kim była druga osoba. A przynajmniej tak mówią.

Światło zmieniło się na zielone, kierowca zmienił biegi i rzucił się w południowy ruch. Oczywiście to niczego w ogóle nie wyjaśniło. Czekałem, aż będzie kontynuował.

— Pewnie teraz mają już dość dobre pojęcie co do jednej sprawy i co do drugiej, o ile wie pan, co mam na myśli. Lecz nic na ten temat nie mówią.

Coraz mniej go rozumiałem.

— Zaraz, zaraz. Zabijanie ludzi jest tu niezgodne z prawem, prawda?

— Tak, proszę pana, to jasne. Lecz prawo również mówi, że aby kogoś aresztować i oskarżyć, trzeba mieć dowody.

To było jak zagłębianie się w odkryty nerw. No cóż, pomyślałem ze złością, ja miałem dowód. Ale niewystarczający.

Zostawiliśmy za sobą dzielnicę handlowo-usługowa i teraz mijaliśmy fabrykę pudełek i zakład produkujący lód na krańcach miasta. Życzyłem sobie, żeby jechał wolniej; był tuzin pytań, które chciałem zadać.

— To znaczy, że mieli jednego z nich — powiedziałem — i on przyznał, że był jeszcze ktoś inny, ale nie powiedział, kto? Nie mogli tego z niego wyciągnąć?

Rzucił przez ramię:

— Proszę pana, nigdy nic nie wycisną z tego faceta. Próbował wyciągnąć pistolet na Calhouna i był martwy, nim zdążył upaść na ziemię.

— Kto to jest Calhoun?

— Ten wielki gliniarz, który powstrzymał pana od pobicia Frankiego.

— Do cholery, nie zamierzałem go uderzyć... — przerwałem. Te wszystkie idiotyzmy były niepotrzebną stratą czasu.

— Wygląda pan na człowieka, który wszędzie da sobie radę, ale niech pan pozwoli coś sobie poradzić. Tutaj lepiej jest nie zadzierać z Calhounem.

— Nie mam zamiaru — powiedziałem niecierpliwie. Żałowałem, że zadałem to pytanie.

— Pan myśli, że to tłuścioch. Proszę pana, coś panu powiem. To nie sędzio. Wie pan, widziałem, jakie ten człowiek robił rzeczy... — przerwał, westchnął i potrząsnął głową. — Mocny jest. On jest naprawdę mocnym facetem.

Chciałem, żeby skończył na temat Calhouna i posunął się dalej.

— W porządku — popędziłem go — mówi pan, że został zabity na miejscu, stawiając opór przy aresztowaniu. A więc nic nie powiedział. Wobec tego skąd oni wiedzą, że był ktoś drugi? Czy Calhoun złapał go na gorącym uczynku?

— Nie. To jest, niedokładnie...

Podjechaliśmy do znaku stopu przed Silver King. Upał roziskrzył drogę, a blask bijący od białego żwiru na parkingu był oślepiający. Mogłem usłyszeć wewnątrz szafę grającą, a przez wielkie okno znajdujące się naprzeciw nas zobaczyć kilku mężczyzn pijących kawę przy barze.

Kierowca położył rękę na oparciu siedzenia i odwróciwszy się, popatrzył na mnie.

— Co to znaczy — niedokładnie? — zapytałem.

— A więc to było tak. Gdy Calhoun zaskoczył tego człowieka — nazywał się Strader — znajdował się on w dole rzeki, próbując pozbyć się ciała. To było około czwartej trzydzieści. Strader przyjechał samochodem Langstona, a sam Langston leżał z tyłu owinięty w brezent, z rozwaloną głową.

— Tak, rozumiem, że to mogło wyglądać trochę podejrzanie. Ale w samochodzie ze Straderem nie było nikogo innego?

— Nie, ale tam był drugi wóz, może sto jardów z tyłu na drodze. Odjeżdżał. Gdy Calhoun usłyszał, że on rusza, i gdy zobaczył zapalone światła, pobiegł za nim, ale nie złapał go. Chciał strzelać, lecz się potknął w ciemności i upadł. Przez ten czas, gdy szukał pistoletu i podnosił się, samochód zniknął za zakrętem. Jednak zdążył zauważyć numery rejestracyjne. Wie pan, to przez te małe światełka, które świecą na tylnej tablicy...

— Wiem, wiem — przerwałem mu zniecierpliwiony. — Więc wiadomo, czyj to był samochód?

— Taak. Należał do Stradera.

— Aha. A gdzie go znaleźli?

Kiwnął głową w kierunku drogi.

— W motelu, przed pokojem Stradera. I jedyną rzeczą, jaką kiedykolwiek na pewno ustalili, jest to, że prowadziła go kobieta.

Przez chwilę nic nie mówiłem. Mając nawet tylko to, można było dostrzec wyłaniającą się szpetną skazę, taką plamę podejrzania, która leżała na całym mieście, na wszystkim, czego się dotykała.

— Kiedy to się wydarzyło? — zapytałem.

— W ubiegłym roku, w listopadzie.

Siedem miesięcy, pomyślałem. Nic dziwnego, że człowiek wyczuwał ten szary ocean znużenia, gdy na nią patrzył, i miał uczucie, że znajduje się ona na krawędzi nerwowego załamania.

— To będzie jeden dolar — powiedział kierowca. — Przekroczyliśmy granice miasta.

Podąłem mu dwa.

— Chodźmy. Postawię panu piwo.

Rozdział 3

Weszliśmy do klimatyzowanego wnętrza. Budynek miał kształt litery L, w przedniej części znajdowała się sala jadalna. Na lewo od drzwi stało kilka stolików, a pod oknem, które wychodziło na drogę — lada z rzędem stołków. Wahadłowe drzwi za ladą prowadziły do kuchni. Do ściany po jednej stronie drzwi przymocowany był tarpon*, drugi znajdował się z prawej strony nad przejściem wiodącym do baru. Dwaj kierowcy ciężarówek pili kawę i rozmawiali z kelnerką.

* Tarpon — ryba z rodziny śledziowatych, do 2 m długości; wyst. w Oceanie Atlantyckim w tropikalnych strefach; ceniona zwłaszcza w połowach wędkarskich.

Bar był długim pomieszczeniem odchodzącym pod kątem od pierwszego i tworzącym drugą część litery L. Z tyłu, po lewej, stało kilka stolików, szafa grająca, która przed chwilą umilkła, i kabina telefoniczna. Popatrzyłem na tę ostatnią. Mogła poczekać.

Przy jednym stoliku, zwrócony do mnie plecami, siedział mężczyzna w białym kowbojskim kapeluszu i błękitnej koszuli, wpatrzony w dziewczynę, która wyglądała tak, jakby miała domieszkę indiańskiej krwi. Dwaj inni mężczyźni usadowili się na stołkach przy końcu baru. Zerknęli na nas, gdy siadaliśmy, i jeden z nich skinął taksówkarzowi. Ponad barowym lustrem znajdował się jeszcze jeden tarpon, największy, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Zbliżył się barman, popatrzył na mnie leniwie i kiwnął głową w stronę kierowcy.

— Cześć, Jake. Co ma być?

— Butelka Regala, Ollie — odpowiedział Jake.

Zamówiłem to samo. Ollie postawił butelki przed nami i odszedł za bar, gdzie polerował szklanki. Wyglądał na około dwadzieścia pięć lat, miał potężne barki, muskularne ramiona i szeroką, brązową twarz o opanowanych oczach.

Pociągnąłem łyk piwa i zapaliłem papierosa.

— Kim był Strader? — zapytałem.

Na dźwięk tego nazwiska barman i obaj mężczyźni na końcu baru odwrócili się i spojrzeli na mnie ostro. Nawet po tak długim czasie, pomyślałem.

Jake wyglądał na skrepowanego.

— To najbardziej zwiariowana część historii. Pochodził z Miami. I na tyle, na ile udało się im to zbadać, nawet nie znał Langstona.

Jeden z dwóch mężczyzn postawił szklankę. Miał bystre, wścibskie oczy rozrabiaki.

— Może go nie znał — powiedział — ale mimo to mógł być przyjacielem rodziny.

Barman popatrzył na niego, lecz nie odezwał się ani słowem. Drugi mężczyzna po prostu popijał swoje piwo. Ohyda tego stwierdzenia zawisła przez chwilę w ciszy, ale było to coś, czego nikt nawet nie zauważył. Byli do tego przyzwyczajeni.

— Nie mówiłem, że nie był — zaprotestował Jake. — Powiedziałem tylko, że nigdy nie udowodnili, że znał jedno z nich.

— Wobec tego co, do cholery, tutaj robił? — upierał się drugi. — Dlaczego meldował się w tym motelu trzykrotnie w ciągu dwóch miesięcy? Nie przyjechał tu w interesach, bo nie znaleźli nikogo w mieście, z kim by się spotykał. Poza tym chyba nie sądzisz, że był na tyle szalony, by próbować sprzedawać tutaj nieruchomości znajdujące się w Miami, prawda?

— Skąd, u diabła, mam to wiedzieć? — odparował Jake. — Człowiek szalony na tyle, by próbować strzelać się z Calhounem, może być zdolny do wszystkiego.

— Pleciesz. Wiesz równie dobrze jak ja, po co on tu przyjechał. Był lo-welasem, prawdziwym ogierem. Miał odpowiednie maniere i odpowiednią gadkę, i ona nie traciła z nim czasu.

To uroczymie miejsce, pomyślałem kwaśno. Codziennie była oskarżana o popełnienie morderstwa — tutaj i we wszystkich innych barach w mieście, i za każdym razem, gdy pchała koszyk w przejściach w supermarkecie. Zastanowiłem się, dlaczego nie sprzedała motelu i nie wyprowadziła się. Duma, być może. Było jej trochę w jej twarzy.

Potem przypomniałem sobie, że przecież to nie mój interes. Nic o niej nie wiedziałem; możliwe, że zabiła swojego męża. Morderstwa popełniali i tacy ludzie, którzy nie potrafili skłamać, by się nie zarumienić. Ale z jakich podłych powodów oni wciąż o tym napomykali? Przecież to nie wydawało się możliwe.

— A ona nie jest z Miami? — ciągnął dalej ten drugi. Ze sposobu, w jaki to powiedział, można było wyciągnąć wniosek, że samo pochodzenie z Miami było oskarżające.

— Do cholery, Rupe — obruszył się wyraźnie Jake — nie próbuj przedstawiać tego w ten sposób, by wyglądało na to, że ja ich bronię. Ją czy Stradera. Jedyne, co powiedziałem, to to, że jest pewna różnica między przypuszczeniem a udowodnieniem.

— Dowód! — pogardliwie odparł Rupe. — To trochę niedorzeczne. Mieli dowody, jakich potrzebowali. Jak myślisz, dlaczego Strader chciał to wszystko upozorować tak, by wyglądało na wypadek?

Spojrzałem w górę. To było trafienie w sedno. I przypomniało mi o czymś, co mnie niepokoiło, i o co zamierzałem zapytać, gdy będę miał okazję.

— Co było z tymi dwoma samochodami? — zapytałem Jake'a.

Chwilowo byłem pominięty w ich dyskusji, ale teraz w lokalu zapadła nagle cisza, a chłód nie miał nic wspólnego z klimatyzacją. Jake przełknął resztę piwa i wstał.

— Cóż, lepiej już pójdę — powiedział. — Dziękuję panu.

Wyszedł. Pozostali gapili się na mnie przez chwilę, a potem powrócili do swojej rozmowy.

Poprosiłem jeszcze jedno piwo. Ollie odkapslował je i postawił przede mną. Wyglądał bardziej inteligentnie i mniej nieprzyjaźnie niż tamci.

— Dlaczego tam były dwa samochody? — zapytałem.

Wycierając bar, popatrzył na mnie taksującym wzrokiem i zaczął coś mówić, ale Rupe mu przerwał. Zmierzył mnie czarnymi, błyszczącymi oczyma i zapytał:

— A pan to niby kto?

— Nazywam się Chatham — odparłem krótko.

— Nie to miałem na myśli, proszę pana. Co pan ma z tym wspólnego?

— Nic. A dlaczego?

— Wydaje się pan mocno zainteresowany, mimo że to nie pański interes.

— Ja tylko studiuję miejscowe zwyczaje. Tam, gdzie się wychowałem, ludzie oskarżeni o morderstwo są sądzeni w sądach, nie w barach.

— Jest pan tu od niedawna?

— Lepiej — powiedziałem. — Jestem tu tylko przejazdem.

— Wobec tego dlaczego przyjechał pan taksówką? Żeby wycisnąć coś z Jake'a?

Nagle miałem tego dość.

— Darujmy sobie to — powiedziałem.

Jego oczy napelniły się złośliwością i poruszył się, jak gdyby chcąc podnieść się ze stolka. Barman popatrzył na niego i mężczyzna usiadł z powrotem. Jego przyjaciel, dużo od niego większy, badał mnie z niechęcią w oczach, najwidoczniej próbując podjąć decyzję — wtrącić się czy nie. Ale chyba sobie odpuścił.

Wyłowilem z kieszeni dziesięciocentówkę i podszedłem do telefonu. Ciemna dziewczyna i mężczyzna w kowbojskim kapeluszu poświęcali nam trochę uwagi. Gdy ich mijalem, dziewczyna spojrzała w górę. Odniosłem wrażenie, że ma zaledwie osiemnaście lat, lecz wyglądała tak, jakby spędziła dwa razy tyle czasu na szalonej ucieczce od świata niewinności. Jej długa lewa noga z wysoko podwiniętą spódniczką wyciągnięta była pod stolikiem, a mężczyzna, szelmowsko szczerząc zęby, pisał coś szminką na jej nagim udzie. Dziewczyna napotkała mój wzrok i wzruszyła ramionami.

Wszedłem do kabiny i w chwili, gdy zamknąłem drzwi, wiedziałem, że to ta. Wentylator pracował z niejednorodnym, furkocącym odgłosem, spowodowanym przez wadliwe zawieszenie. Przeanalizowałem to szybko. Z sali jadalnej mógł nawet widzieć, kiedy wracała z miasta; z tego powodu zadzwonił prawie natychmiast. Jednakże dziewczyna mówiła, że telefonował dwa razy, w czasie gdy pani Langston nie było w motelu. No cóż, to mogło znaczyć, że dzwonił skądinąd i że krążył wokół. Była szansa jeden do tysiąca, że był jednym z tej trójki.

Odegrałem pantomimę telefonicznej rozmowy, a gdy wychodziłem z kabiny, obrzuciłem wzrokiem kowboja. Był w nieokreślonym wieku — od dwudziestu ośmiu do czterdziestu lat, miał gładką, pyzatą twarz przerośniętego niemowlaka i zarys pojawiającego się brzuszka. Koszula, jak teraz zauważyłem, nie była błękitna — przynajmniej nie cała. Z przodu była jasnoszara, z perłowymi guzikami i patkami na kieszeniach na piersiach i w dwóch czy trzech miejscach była poplamiona, jakby opluł ją jedzeniem. Mężczyzna miał porcelanowoniebieskie oczy, które kojarzyłyby się z oczami dziecka, gdyby nie skaza wieśniaczej przebiegłości i łobuzerskiego humoru, widoczna w nich, kiedy poklepywał dziewczynę po nodze i przynaglał ją, by przeczytała to, co na niej napisał. Był prawdopodobnie znany jako stary wyga.

Wróciłem do swojego piwa. Po drodze siłą przyzwyczajenia zmierzyłem Rupe'a i jego przyjaciela, ale tak samo nie rokowali nadziei, jak ten żartowniś. Rupe był chudy, śniady i wyglądał dość marnie, należał do tego

rodzaju, który zawsze znajdzie się na miejscu, gdy w barze zaczyna się rozróżba, lecz poza tym wydawał się zupełnie normalny. Ten drugi był wielkim mężczyzną z przerzedzonymi rudymi włosami i surową, bezwzględną twarzą, która może wyglądała bandycko, ale nie była złośliwa ani zdeprawowana. Miał na sobie poplamiony ropą kombinezon khaki, jakby był mechanikiem.

Zadawanie jakichkolwiek pytań było bezcelowe. Upłynęły ponad dwie godziny od tamtego telefonu, a chłodna i pełna podejrzliwości atmosfera, którą przepojone było to miejsce, powiedziała mi, żeby o nic nie pytać. Odstawiłem butelkę i zacząłem się podnosić.

— Mówił pan, że podobno jest tu obcy — odezwał się Rupe.

Zgarnąłem swoją resztę.

— To prawda.

— Musi pan kogoś znać. Telefonował pan do kogoś.

— Tak, telefonowałem.

— Nie szukając numeru.

— Pan nie ma pamięci? — spytałem.

— Gdzie pan się zatrzymał?

Odwróciłem się i popatrzyłem na niego zimno.

— Po drugiej stronie ulicy. Dlaczego pan pyta?

— Tak przypuszczałem.

Ollie postawił szklanę, którą wycierał.

— Pan wychodzi? — zapytał.

— Taki mam zamiar.

— Może to lepiej.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

— Prosta ekonomia, przyjacielu. On jest stałym klientem.

— Okay — odparłem — ale skoro jest tak cenny, może byłoby lepiej, gdyby trzymał go pan związanego, dopóki nie wyjdę.

Rupe poruszył się na swoim stołku, a wielki rudogłowy jednoznacznie zmierzył mnie wzrokiem.

— Przestańcie — cicho powiedział do nich Ollie, a następnie skinął głową w moją stronę. — Nie chciałbym wzywać glin.

— Jasne — dodałem. Wrzuciłem drobne do kieszeni i wyszedłem przez jadalnię. Całe zajście było mało ważne i głupie, ale czułem, że była to tylko aluzja do tego, co kryło się w głębi, jak niespokojna powierzchnia wody, poniżej której przebiegają daleko bardziej potężne prądy, czy jak tłący się

ogień, który tylko czeka, by wybuchnąć. Zastanowiłem się, dlaczego uczucia skierowane przeciw niej były tak ostre. Ludzie wydawali się przekonani, że była ona zamieszana w zamordowanie swojego męża; lecz skoro były na to jakieś dowody, dlaczego jej nie aresztowano i nie osądzono?

Przeszedłem przez drogę w ołowianym upale późnego popołudnia i znowu zostałem uderzony ponurym wyglądem motelu, jaki jawił się podróżnemu, który rozważał możliwość skręcenia w jego stronę. To miejsce chyliło się ku ruinie. Dlaczego nie zagospodarowała go albo nie sprzedała? Wzruszyłem ramionami. Dlaczego nie zajmuję się moimi własnymi sprawami?

Była w biurze, zapisując coś w rozłożonych na biurku księgach. Popatrzyła na mnie z nikłym uśmiechem i powiedziała:

— Ta papierkowa robota...

Zdałem sobie sprawę, że była ładniejsza, niż uważałem z początku, że było coś frapującego w kremowej bladeści kontrastującej z mahoniowym blaskiem jej włosów. Niektóre twarze były takie, pomyślałem; nie rzucały się one człowiekowi w oczy natychmiast, ale objawiały się po pewnym czasie. Jej dłonie, wędrujące przez sterty papierów, były szczupłe i niewypowiedzenie kobiece.

Zatrzymałem się przy drzwiach i zapaliłem papierosa.

— Telefonował z kabiny w Silver King — powiedziałem.

Spojrzała na mnie i poruszyła się, a ja zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie ile zrobiłem, mówiąc jej, że był tak blisko.

— Skąd pan wie? — zapytała. — To znaczy, był pan...?

Skinąłem głową.

— Wentylator. Sprawdzalem wszystkie w całym mieście, dopóki nie znalazłem tego hałaśliwego.

— Nie wiem, jak panu dziękować.

— Za co? Nie znalazłem tego faceta. Prawdopodobnie zwinął się stamtąd zaraz po telefonie. Ale może przekazać to pani szeryfowi, o ile jest to coś warte.

— Tak. — Chciała, by zabrzmiało to optymistycznie, ale mogłem od razu stwierdzić, że nie miała dużej nadziei, że coś z tym zrobią. Byłem przepełniony wstrętem do tego całego miasta. Dlaczego nikt go nie podpali?

Poszedłem do swojego pokoju i nalałem sobie drinka. Zdjąwszy przepoconą koszulę, położyłem się z papierosem na jednym z łóżek i

przygnębiony gapiłem się na sufit. Żałowałem teraz, że nie przylałem Frankiemu wtedy, gdy miałem okazję. Wtedy przytknęliby mnie w tym mieście na całe trzydzieści sześć godzin.

Jesteś w okropnym położeniu, pomyślałem; nie możesz znieść własnego towarzystwa i zrządzisz na wszystkich innych. Jedyną rzeczą, jaką możesz robić, to poruszać się trochę, a to nie rozwiązuje niczego. Tak samo czułbyś się w St. Petersburgu czy w Miami...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

— Proszę — powiedziałem.

Do środka weszła pani Langston. Zatrzymała się niezdecydowanie, gdy zobaczyła mnie rozwalonego brzuchem do góry, leżącego w swojej owłosionej nagości. Nie zrobiłem żadnego ruchu, by wstać. Prawdopodobnie pomyślała, że mam maniery wieprza, ale to nie miało znaczenia.

Machnąłem obojętnie ręką w kierunku fotela.

— Niech pani siada.

Pozostawiła drzwi lekko uchylone i podeszła do fotela. Usiadła ze ściśniętymi razem kolanami i nerwowo obciągnęła sukienkę, najwidoczniej trochę zmieszana.

— Ja... Ja chciałam z panem porozmawiać — powiedziała, jakby niepewna, jak zacząć.

— O czym? — Podniosłem się na łokciu i kiwnąłem głową w stronę komody. — Whisky i papierosy. Niech się pani częstuje.

Świetnie, Chatham; nie utraciłeś całkowicie kontaktu z uprzejmością. Umiesz jeszcze chrząkać i pokazywać paluchem. Potrząsnęła przecząco głową.

— Dziękuję. — Przerwała, a potem ciągnęła niepewnie: — Mówił pan, że pracował w policji, ale że już pan nie pracuje, prawda?

— Zgadza się.

— Czy nie byłoby natręctwem z mojej strony, gdybym spytała, czy teraz coś pan robi?

— Odpowiedź brzmi: nie — odparłem. — W obu przypadkach. W ogóle nie mam pracy; jestem w drodze do Miami. Powód wyleciał mi w tej chwili z pamięci.

Lekko zmarszczyła brwi, jak gdybym ją zaintrygował.

— Czy byłby pan zainteresowany, by coś dla mnie zrobić, gdybym panu zapłaciła?

— Zależy co.

— Zmierzam do sedna. Spróbuje pan odkryć, kim jest ten człowiek?

— Dlaczego ja? — zapytałem.

Zrobiła głęboki wdech i pochyliła się do mnie.

— Bo myślałam o tym, jak zrećnie odkrył pan, skąd on telefonował. Pan mógłby to zrobić. Ja już dłużej nie mogę tego znosić, panie Chatham. Muszę odpowiadać na telefony, a czasami, kiedy dzwoni, boję się, że stracę rozum. Nie wiem, kim on jest ani gdzie jest, czy nie patrzy na mnie, a gdy idę ulicą, kulę się ze strachu...

Pomyślałem o tym śmiesznym durniu, Magruderze. Nikt nigdy nie został zraniony przez telefon.

— Nie — powiedziałem.

— Ale dlaczego? — zapytała bezradnie. — Nie mam wiele, lecz z przyjemnością zapłaciłabym panu w granicach rozsądku.

— Po pierwsze, to robota dla policji. A ja nie jestem policjantem.

— Ale prywatni detektywi...

— Są licencjonowani. A działanie bez licencji może spowodzić na człowieka mnóstwo kłopotów. I po drugie, samo zidentyfikowanie go nic tu nie da. Jedynym sposobem na powstrzymanie tego faceta jest postawienie go przed sądem, czego następstwem byłoby wysłanie go do pudła albo do zakładu dla obłąkanych, ale na to trzeba mieć dowody i instytucję skłoną do wstąpienia na drogę sądową. Ma pani prawo zwrócenia się do policji i prokuratury okręgowej. A skoro oni się ociągają, nic pani nie może w związku z tym zrobić.

— Rozumiem — powiedziała znużona.

Nienawidziłem siebie za to, że w ten sposób wykopuję jej grunt spod nóg. Była świetną i cholernie wrażliwą dziewczyną, ponoszącą zbyt wielką karę, i czułem, że jako człowiek nie jest mi obojętna. Całą sobą pokazywała, jaka jest, o ile w ogóle wierzyło się w zewnętrzne oznaki. Była odważna i posiadała coś, co z braku innego słowa nazywa się klasą, lecz to nie mogło na zawsze powstrzymać jej załamania. Jej psychika była zrujnowana. Zaraz jednak pomyślałem okrutnie, dlaczego ja mam płakać nad jej zmartwieniami. To nie są przecież moje zmartwienia, prawda?

— Dlaczego nie wyprzeda pani wszystkiego i nie wyniesie się stąd? — spytałem.

— Nie! — Zaskoczyła mnie gwałtowność tego stwierdzenia. Mówiła dalej, bardziej opanowanie: — Mój mąż włożył w to miejsce wszystko, co miał, a ja nie mam zamiaru sprzedawać tego za bezcen i uciekać jak przestraszone dziecko.

— Wobec tego dlaczego pani nie odnowi motelu? Jest on tak zaniedbany, że to odpycha klientów.

Podniosła się.

— Wiem. Ale po prostu nie mam pieniędzy.

Ja mam, pomyślałem, i było to coś, czego być może podświadomie szukałem, lecz nie chciałem się z nią wiązać. Nie chciałem wiązać się z nikim. Kropka.

Zawahała się przy drzwiach.

— A zatem nawet nie bierze pan mojej propozycji pod uwagę?

— Nie. — Nie podobał mi się sposób, w jaki docierała do mnie, i chciałem oderwać się od niej i jej kłopotów raz na zawsze. — Jest tylko jeden sposób, w jaki mógłbym go powstrzymać, gdybym go odnalazł. Czy chce pani wynająć mnie, bym pobił obłąkanego?

Wzdrygnęła się.

— Nie. To byłoby straszne...

Kontynuowałem szorstko, przerwawszy jej.

— Nie jestem pewien, czy mógłbym to zrobić. Zostałem zwolniony z policji w San Francisco za brutalność, ale przynajmniej człowiek, którego pobiliśmy, był przy zdrowych zmysłach. Podejrzewam, że w tym przypadku byłaby jakaś różnica, więc dajmy temu spokój.

Wykrzywiła twarz zmieszana.

— Za brutalność?

— Zgadza się.

Czekała chwilę, myśląc, że coś dodam, a kiedy tego nie zrobiłem, powiedziała:

— Przykro mi, że pana fatygowałam, panie Chatham. — Wyszła i zamknęła drzwi.

Powróciłem do studiowania sufitu. Nie różnił się od innych, które badałem.

Około szóstej wezwałem taksówkę i pojechałem do miasta. W Steak House samotnie zjadłem obiad, kupiłem kilka czasopism i poszedłem z portretem do motelu, otoczony błękitną i przykurzoną mgiełką zmierzchu. Jedynie przed trzema pokojami stały zaparkowane samochody. Pół godziny później, gdy leżałem na łóżku, czytając, usłyszałem chrzęst zatrzymującego się na żwirze samochodu, a po kilku minutach — podniesione w sprzeczce głosy. Przynajmniej jeden z nich był podniesiony, należał do mężczyzny.

Drugą osobą mogła być pani Langston. Spór przedłużał się, a męski głos stawał się coraz głośniejszy. Podniosłem się i wyjrzałem na zewnątrz.

Była już noc, ale światła były zapalone. Trzy z nich świeciły przed otwartymi drzwiami trzeciego pokoju po mojej lewej stronie — pani Langston, szczeniak wyglądający na łobuza, około dwudziestki, i dziewczyna w skórze, co najmniej o pięć lat młodsza, która wydawała się być niekompletna bez motocykla i kasku. Z boku stał sedan, rocznik 1950. Podszedłem bliżej, oparłem się o ścianę i węszyłem kłopoty.

Pani Langston wyciągała rękę z jakimiś pieniędzmi.

— Wezmiesz je — mówiła — albo wezwę policję.

— Wezwiesz gliny! — powiedział dzieciak. — Nie dobijaj mnie.

Był bezczelnym gagatkiem o jasnobrazowych oczach i włosach koloru mokrego betonu, zaczesanych w kaczy kuper. Miał na sobie kozackie buty, jeansy i rozciągnięty baskijski pulower.

— W czym kłopot? — zapytałem.

Pani Langston rozejrzała się.

— Zameldował się bez osoby towarzyszącej, ale gdy przypadkiem minutę później wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem ją wyskakującą z tylnego siedzenia. Powiedziałam mu, że musi się wynieść, i próbowałam zwrócić mu pieniądze, ale on nie chce ich wziąć.

— Chce pani, bym mu je oddał? — zapytałem.

Szczeniak zmierzył mnie nieprzyjemnym wzrokiem.

— Spokojnie, tatuśku. Jestem w tym dobry.

— Tak jak i ja — powiedziałem, nie poświęcając mu zbytnej uwagi.

Całe zajście miało fałszywy wydźwięk. Ona wynajmowała te pokoje po sześć dolarów.

Pani Langston zaniepokoiła się.

— Może lepiej wezwę policję.

— Niech pani się tak nie przejmuj. — Wyjąłem jej z ręki pieniądze i popatrzyłem na tego szczeniaka. — Kto ci zapłacił?

— Kto mi zapłacił? Co to ma znaczyć? Nie wiem, o co ci chodzi. Ja i moja żona jesteśmy w podróży poślubnej i zatrzymaliśmy się w tym nędznym motelu...

— A ona schowała się z tyłu pod kupą starych bambetli, podczas gdy ty wszedłeś i zameldowałeś się.

— Ona jest bardzo nieśmiała, ojczulku.

— Jasne. — Jej cała niewinność była skondensowana w chęci wymierzenia mi kopniaka w pachwinę. — Gdzie jest twój bagaż?

— Zgubił się.

— Nieźle kombinujesz. — Złożyłem banknoty i wcisnąłem mu do kieszeni koszuli. — Zjeżdżaj.

Był szybki, ale nadał mi swój zamiar oczami. Zablokowałem lewą, a potem wysunąłem kolano.

— Dołoż mu, Jere! — piszczała dziewczyna.

Zbiłem jego osłonę i uderzyłem go. Wykonał półobrót, zatrzymał się na boku samochodu i ześlizgnął twarzą w żwir. Pokonałem go bez kłopotu. A potem wyglądało to jak puszczone w zwolnionym tempie taśma filmowa ze starym, ograny numerem, który człowiek oglądał tak wiele razy, że może określić każdy ruch, jeszcze zanim się on zacznie — szybki obrót, wyskok w górę, nagły ruch prawej ręki do kieszeni spodni, lekkie boczne trzepnięcie nadgarstkiem w czasie wyjmowania dłoni, nacisk kciukiem i cichy szcęk otwierającego się ostrza. Wtedy ja kopnąłem go w przedramię i nóż poszybował na żwir. Chwycił ramię drugą ręką i pochylił się, nie wydając żadnego dźwięku. Zamknąłem nóż i rzuciłem go w ciemność za dachem budynku. Chłopak podniósł się po chwili, trzymając się za rękę.

— Nie jest złamana — powiedziałem. — Ale następnym razem będzie.

Wsiedli do wozu, obserwując mnie jak para dzikich zwierząt. Dziewczyna prowadziła. Sedan wyjechał na drogę i zniknął, gnając na wschód, w przeciwną stronę niż do miasta. Odwróciłem się. Pani Langston opierała się o jeden ze słupów podtrzymujących dach werandy, z dłonią na policzku, patrząc na mnie uważnie. Nie była ani przestraszona, ani zdumiona, ani wstrząśnięta; jedyną rzeczą w jej oczach było zmęczenie, absolutne zmęczenie, pomyślałem. Wyprostowała się i przeciągnęła ręką po włosach.

— Dziękuję — powiedziała.

— Nie ma za co.

— Co miał pan na myśli pytając, kto mu zapłacił?

— To było tylko podejrzenie. Mogli napytać pani biedy.

Pokiwała głową.

— Wiem. Nie przyszło mi na myśl, że to mógł nie być ich własny pomysł.

— Sam pomysł prawdopodobnie nie jest dla nich nowy — powiedziałem. — Lecz od kiedy tacy potrzebują pokoi, które kosztują sześć dolarów?

- No właśnie.
- Czy oni byli stąd?
- Myślę, że nie — odpowiedziała.

Wróciwszy do pokoju, przez chwilę moczyłem obitą rękę, a potem czytałem prawie do północy. Zgasilem światło i właśnie zapadałem w sen, gdy na nocnym stoliku między łózkami zadzwonił telefon.

Zaintrygowany podniosłem słuchawkę. Tutaj nikt nie mógł do mnie telefonować.

- Słucham — wymamrotałem sennie.
- Chatham? — Był to męski głos, bezdźwięczny, anonimowy, nieco głośniejszy od szeptu.

- Tak.
- Nie potrzebujemy cię tu. Wynoś się.

Byłem teraz zupełnie rozbudzony.

- Kto mówi?
- Mniejsza o to — powiedział po cichu. — Tylko wyjedź.
- Dlaczego nie napiszesz do mnie anonimowo? To jeszcze jeden pospolity sposób.

- Znamy lepszy. Pokażemy ci namiastkę.

Rozłączył się.

Odłożyłem słuchawkę i zapaliłem papierosa. Było to tajemnicze i kompletnie banalne. Czyżby to mój podpity przyjaciel Rupe? Nie. Głos był mi nieznanym, lecz czykolwiek by nie był, nie należał do pijanego. I skąd on znał moje nazwisko? Wzruszyłem ramionami i zgasilem światło. Anonimowe pogrożki! Co głupiego mogły przynieść?

Gdy się obudziłem, było po dziewiątej. Wziąłem szybki prysznic, ubrałem się i wyszedłem, zamierzając przejść na drugą stronę drogi do Olliego na śniadanie. Było gorące, jasne przedpołudnie i niespodziewany odbłask słońca na białym żwirze z początku raził mnie w oczy. Samochody, które stały wieczorem, odjechały. Josie, kołysząc się jak kaczka, szła wzdłuż drzwi w drugim skrzydle z przyborami do sprzątanania i świeżą zmianą pościeli.

- Dzień dobry — powiedziała.

Pomachałem jej ręką i ruszyłem w kierunku drogi, wchodziła właśnie do jednego z pokoi. Chwilę później usłyszałem jej krzyk.

Jak gruby niedźwiedź biegła wzdłuż długiej werandy, która łączyła pokoje, i wrzeszczała.

— Pani Georgio! Och, Boże w niebiosach, pani Georgio...!

Nie poświęciłem jej więcej uwagi. Zawróciłem i popędziłem przez podwórze, w stronę drzwi, które, uciekając, zostawiła otwarte. Pośliznąłem się, wyhamowałem z ręką na futrynie, zajrzałem do środka i poczułem, że narasta we mnie zimna furia. Był to majstersztyk wandalizmu. Widywałem je przedtem, a człowiek nigdy nie zapomina, jak coś takiego wygląda.

Farba smugami spływała z tynku na ścianach i na suficie, zwalona na kupę pościel i zasłony ciągle pieniały się lekko i cuchnęły, a dywan był ściemniałym i rozsypującym się śmieciem. Ze wszystkich drewnianych powierzchni mebli — z komody, z nocnego stolika, z zagłówek łóżek — płatami opadała forniture. Usłyszałem tupot biegnących kobiet, pani Langston stanęła w wejściu obok mnie.

— Niech pani nie wchodzi.

Popatrzyła, lecz nic nie powiedziała. Byłem gotów ją podtrzymać i wyciągnąłem rękę, biorąc ją pod ramię, ale nie upadła. Oparła się tylko o framugę i opuściła powieki. Josie wytrzeszczała oczy, jęczała i głaskała ją niezdarnie po ramieniu.

— Co to jest? — zapytała. Jej oczy były wielkie i przerażone. — Co sprawia, że rzeczy tak się gotują?

— Kwas. — Schyliłem się i podniosłem kawałek dywanu. Rozpadł mi się w rękę. Powąchałem go. — Wiesz, z czego jest zrobiony ten dywan?

Gapiała się na mnie, nie rozumiejąc. Odwróciłem się do pani Langston.

— Dywan. Czy wie pani, jaki on jest? Wełniany czy bawełniany? Czy syntetyczny?

Odpowiedziała, nie otwierając oczu.

— To bawełna.

Prawdopodobnie kwas siarkowy, pomyślałem. Mogłem wejść do środka, gdybym zaraz potem umył buty. Od drzwi widziałem dwa wielkie lustra umieszczone na jednym z łóżek i potłuczone, przykryte pościelą dla stłumienia hałasu, i chciałem zobaczyć, w jaki sposób wyżył się na wannie i umywalce.

— Pilnuj pani — zwróciłem się do Josie i zrobiłem krok do środka.

Wtedy pękła.

W końcu otworzyła oczy, a potem podniosła rękę, przycisnęła je do twarzy i zaczęła się śmiać. Rzuciłem się na nią, ale ona odwróciła się i wybiegła. Zatrzymała się w słońcu, przeciągnęła palcami po włosach,

podczas gdy po policzkach ściekały jej łzy, i zanosila się dzikim śmiechem, który brzmiał jak dźwięk dartego płótna. Chwyliem ją za ramię lewą ręką i uderzyłem ją otwartą dłonią w twarz, a wtedy ona, ciężko chwytając powietrze, przestała się śmiać i popatrzyła na mnie tak, jakby mnie nigdy wcześniej nie widziała. Wziąłem ją na ręce i pobiegłem w kierunku biura.

— Chodź tu — warknąłem na Josie.

Położyłem ją na jednym z bambusowych foteli w chwili, gdy Josie, szaleńczo kołysząc biodrami, wpadła za mną. Machnąłem w stronę telefonu.

— Kto jest jej lekarzem? Powiedz mu, by zaraz tu przyjechał.

— Tak, tak. — Chwyliła słuchawkę i wybrała numer.

Odwrociłem się i ukląknę przy Georgii Langston. Nie straciła przytomności, ale jej twarz była śmiertelnie blada, a oczy całkowicie pozbawione wyrazu, gdy kurczowo ścisnęła rękoma materiał spódnicy.

— Pani Langston — odezwałem się. — Wszystko w porządku.

Nawet na mnie nie spojrzęła.

— Georgia! — powiedziałem ostro.

Zmarszczyła brwi, nieobecny wyraz zniknął z jej twarzy i spojrzęła na mnie. I tym razem to ja tu byłem.

— Och. — Podniosła ręce do twarzy i potrząsnęła głową. — Ja... Ja dobrze się czuję... — odpowiedziała drżącym głosem.

Josie odłożyła słuchawkę.

— Doktor będzie tu za kilka minut.

— Dobrze. — Wstałem. — Jaki jest numer tego pokoju?

— To piątka. Pospieszyłem do biurka.

— Czy wiesz, gdzie są karty meldunkowe?

— Podam je. — Pani Langston zaczęła się podnosić. Pchnąłem ją z powrotem na fotel.

— Niech pani tu siedzi i tylko mi powie, gdzie one są.

— W pudełku. Na półce pod biurkiem. Jeśli pan mi je poda...

Znalazłem je i postawiłem w jej zasięgu.

— Czy ma pani numery rejestracyjne?

— Tak — powiedziała, wyjmując karty jedną po drugiej i przyglądając się im. — Mam, pamiętam. Był to mężczyzna. Sam. Przyjechał koło drugiej.

— Dobrze. — Podeszedłem do telefonu i zadzwoniłem na centralę. — Proszę z patrolem drogowym.

- To nie jest biuro — odpowiedział dyżurny. — Najbliższe znajduje się...
- Nie obchodzi mnie, gdzie. Niech mi pan da drogówkę.
- Tak, proszę pana. Proszę się nie rozłączać.
- Odwróciłem się do pani Langston. Znalazła kartę.
- Jaki to był samochód? — zapytałem. Trzęsa się, jakby z zimna. Zaczepnęła powietrza.
- Ford. Zielony sedan. Miał kalifornijskie numery i przypominam sobie, że pomyślałam, że ten mężczyzna powinien mieć południowy akcent, prawie jak z Georgii.
- Świetnie — powiedziałem. — Niech pani przeczyta numery.
- M-F-A-trzy-sześć-trzy.
- M-F-co? — powtórzyłem. Odwróciłem się i wyszarpnąłem jej kartkę z rąk.
- Proszę pana, rozmowa. — W słuchawce zabrzmiał głos dyżurnego. Spojrzałem na numery.
- Mniejsza o to — powiedziałem wolno. — Dziękuję. Rzuciłem słuchawkę na widelki. Pani Langston patrzyła na mnie.
- O co chodzi? — zapytała zdumiona.
- To są moje numery.
- Nie rozumiem. — Potrząsnęła głową.
- To były tablice z mojego samochodu.

Rozdział 4

Pokażemy ci jutro, groził. *Namiastkę*... Ta robota była ukłonem w moją stronę, ostrzeżeniem dla mnie. Zniszczył pokój wartości tysiąca dolarów, by przesłać mi wiadomość.

Wróciłem do niej.

- Czy może pani go opisać? — zapytałem.

Siedziała z opuszczoną głową, a jej ręce drżały, gdy zakładała i odkładała fałd spódnicy. Z powrotem wpadała w odrętwienie. Przykląknęłam obok fotela. Nie chciałam męczyć jej w ten sposób, ale gdy przybędzie doktor, da

jej środek uspokajający i mogą upłynąć dwadzieścia cztery godziny, zanim będę mógł ponownie z nią porozmawiać.

— Opisz mi pani tego faceta? — spytałem delikatnie.

Uniosła nieco głowę i skoncentrowała na mnie spojrzenie, potem przeciągnęła ręką po twarzy. Odetchnęła drżąco.

- Ja... Ja...

Josie obrzuciła mnie złym i zmartwionym wzrokiem.

— Czy nie powinien pan zostawić jej w spokoju? Biedactwo, już więcej nie może znieść.

— Wiem — powiedziałem.

Pani Langston zrobiła ostatni wysiłek.

— Czuję się dobrze, — Przerwała, a gdy zaczęła mówić dalej, jej głos był prawie niesłyszalny i w ogóle pozbawiony wyrazu. — Myślę, że miał około trzydziestu pięciu lat. Wysoki. Może sześć stóp. Lecz bardzo szczupły. Miał włosy koloru piasku i bładoniebieskie oczy i przebywał dużo na słońcu. Wie pan — zmarszczki w kącikach oczu, spłowiałe brwi... — Jej głos załamał się.

— Świetnie — powiedziałem. — Może jeszcze coś pani sobie przypomina?

Nabrała powietrza.

— Myślę, że nosił okulary... Tak... Miały stalowe oprawki... Ubrany był w białą koszulę... Ale nie miał krawata...

— Żadnych znaków szczególnych? Blizny, coś takiego?

Potrząsnęła przecząco głową.

Na zewnątrz zatrzymał się samochód. Wstałem.

— Jak nazywa się doktor? — spytałem Josie.

— Graham.

Wyszedłem. Młody mężczyzna o sympatycznej, bystrej twarzy i krótko ostrzyżonych blond włosach zatrząskiwiał drzwiczki zielonego sportowego wozu. W rękę trzymał małą, czarną torbę.

— Doktor Graham? Nazywam się Chatham. — Uścisnęliśmy sobie dłoń i szybko opowiedziałem mu, co się wydarzyło. — Jako dodatek do całej reszty, przypuszczam, to ją dobiło. Histeria, szok — nie wiem, jak pan to dokładnie określi. Ale sądzę, że jest na krawędzi załamania nerwowego.

— Tak, rozumiem. Lepiej ją obejrzymy — powiedział grzecznie, lecz z niecierpliwością wszystkich lekarzy przed postawieniem diagnozy.

Wszedłem za nim do środka.

Odezwał się do niej i skrzywił na jej mechaniczną odpowiedź.

— Zabierzmy ją lepiej do sypialni. Gdyby mógł pan pomóc...

— Niech pan weźmie swoją torbę.

Próbowała zaprotestować i wstać, ale podniosłem ją i ruszyłem zająsiek przez zasłonięte drzwi do saloniku-jadalni. Naprzeciw znajdowało się dwoje drzwi. Jedne prowadziły do sypialni. Panował w niej chłód i cisza, zaciągnięte kotary nie przepuszczały słońca,umeblowana była z całkiem dobrym smakiem. Na podłodze leżał perłowoszary dywan, podwójne łóżko okryte było ciemnoniebieską, bawełnianą narzutą. Położyłem ją na nim.

— Naprawdę dobrze się czuję — powiedziała, usiłując usiąść. Pchnąłem ją miękko z powrotem na poduszkę. Obramowana aureolą ciemnych, potarganych włosów, jej twarz była jak biały wosk.

Doktor Graham postawił torbę na krześle i wyjął stetoskop. Kiwnął głową, bym wyszedł.

— Ty zostań — zatrzymał Josie.

Wyszedłem do pierwszego pokoju. W jednym kącie znajdował się kominek, na ścianie wisiała spreparowana ryba i kilka powiększonych fotografii żaglowców. Pomyślałem w roztargnieniu, że ta ryba to delfin, i poświęciłem jej chwilę uwagi. Czas mnie jednak gonił. Złapałem w biurze za telefon i zadzwoniłem do szeryfa.

— Nie ma go — powiedział męski głos. — Tu Redfield. Co mogę dla pana zrobić?

— Telefonuję z motelu Magnolia... — zacząłem.

— Tak? — przerwał mi. — Co się stało? — Głos był nie tyle szorstki, co zniecierpliwiony i w pewien sposób zirytowany.

— Zdewastowali go — powiedziałem. — Robota z kwasem. Ktoś zniszczył jeden z pokoi.

— Kwasem? Kiedy to się stało?

— Gdzieś między drugą w nocy a świtem.

— Wynajmował ten pokój? — Pomimo ledwo wyczuwalnej irytacji, czy co by to nie było, był bardziej kompetentny niż ten komediant, z którym rozmawiałem wczoraj. W sposobie, w jaki zadawał pytania, była widoczna znajomość rzeczy.

— Tak.

— Ma pan numery rejestracyjne? Opis samochodu?

— Zielony ford sedan — odparłem i powtórzyłem szybko rysopis mężczyzny. — Numery były fałszywe. Tablice zostały ukradzione.

— Chwileczkę — uciął obcesowo. — Co miał pan na myśli, mówiąc, że zostały ukradzione? Skąd pan to wie?

— Bo były moje. Mój wóz jest w warsztacie, w naprawie. To wielki warsztat z myjnią...

— Nie tak szybko. Kim pan jest?

Powiedziałem mu. Czy raczej zacząłem. Znowu mi przerwał.

— Nie rozumiem, co pan tu robi. Proszę mi dać panią Langston.

— Załamała się — objaśniłem. — Jest z nią lekarz. Przyśle pan człowieka, by obejrzał ten cały bałagan?

— Wyślemy kogoś. A pan niech będzie w pobliżu. Chcemy z panem porozmawiać.

— Nigdzie nie idę.

Rozłączył się.

Stałem przez chwilę, zastanawiając się szybko. Były duże szanse, że był to kwas siarkowy. Tani, powszechny i łatwo dostępny. I gdybym mógł zneutralizować go dość szybko, mógłbym co nieco uratować od zniszczenia. Stolarzka i meble mogłyby zostać odnowione, jeśli powierzchnia nie została przezarta zbyt głęboko. Ale, po pierwsze, nie byłem pewien. Zawróciłem i pobiegłem do pokoju za zasłoniętymi drzwiami, i tym razem wybrałem drzwi po lewej. Była tam kuchnia. Zacząłem otwierać szafki nad zlewem. Po chwili znalazłem to, czego szukałem — małą puszkę dwuwęglanu sodu.

Schwyciwszy ją, popędziłem do pokoju numer 5. Stałem w wejściu i pocierałem chusteczkę o przemoczony dywan, dopóki nie nasiąkła kwasem. Wtedy rozpostarłem ją na betonowej płycie werandy, posypując połowę grubą warstwą sody, i czekałem. Po kilku minutach nieposypana część rozdzierała się w dotyku jak wilgotny papier, ale ta pod sodą zaledwie się odbarwiła. Kopnąłem chusteczkę na żwir i poszedłem z powrotem. Ręka swędziała mnie w miejscach, w których zetknęła się z kwasem. Przed biurem znalazłem kran i obmyłem ją.

Mógłbym wziąć jej samochód, gdybym znalazł kluczyki. Najpierw jednak chciałem porozmawiać z lekarzem, zanim odjedzie, i musiałem tu być, gdy pojawią się ludzie z biura szeryfa. Wszedłem do środka i zadzwoniłem po taksówkę. Kiedy odłożyłem słuchawkę, mogłem usłyszeć dochodzący z sypialni pomruk głosu doktora. Nie mając przez chwilę niczym zajętych myśli, czułem wzbierającą we mnie wściekłość. Pragnienie dostania go w moje ręce było prawie tak silne, jak seksualne pożądanie. Opanuj się,

pomyślałem; bądź lepiej tylko obserwatorem.

Po jednej czy dwóch minutach przed motelem zatrzymał się samochód. Był to Jake, z grobową facjatą i nieprawdopodobnymi zębami.

— Witam — powiedział.

— Dzień dobry, Jake. — Podałem mu dwudziestkę. — Niech pan jedzie do najbliższego sklepu spożywczego czy marketu i przywiezie mi karton sodы do pieczenia.

Zamarł.

— Karton? Musi mieć pan potężnego kaca.

— Taak. — Gdy nie doczekał się wyjaśnienia, odszedł, wciąż patrząc na mnie jak na wariata.

Prawdopodobnie była nikła szansa wyśledzenia, skąd pochodził kwas, pomyślałem. Mieliśmy do czynienia ze spryciarzem: znał on lepszy sposób niż kupowanie i skoro mógł włamać się do warsztatu, by zwędzić moje tablice, równie dobrze mógł zrobić to samo, by zdobyć kwas.

Z nagłym zniecierpliwieniem spojrzałem na zegarek. Co, u diabła, ich zatrzymuje? Telefonowałem dziesięć minut temu. Wróciłem do środka. Josie stała przy biurku w stanie żalnego i pełnego niepokoju zawieszenia, jak gdyby nie mogąc się zdecydować, w którą stronę się obrócić, by podjąć przerwany wątek swojego dnia. Zza zasłony wyszedł doktor i postawił na biurku torbę. W rękę trzymał bloczek z receptami.

— I co pan myśli? — zapytałem.

Popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

— Pan nie jest krewnym?

— Nie — pokręciłem głową.

— Hm, nie sądzę, żeby miała tu...

— Niech pan słucha, doktorze, ktoś musi się tym wszystkim zaopiekować. Nie wiem, czy ma w mieście jakichś przyjaciół ani czy można odnaleźć jej rodzinę, a więc równie dobrze może pan powiedzieć mnie. Jestem jej przyjacielem.

— Bardzo dobrze. — Położył bloczek, wyjął pióro i zaczął pisać. — Niech przyrządzą to od razu i proszę jej to podać zaraz po przebudzeniu. Dałem jej środek uspokajający, więc nastąpi to po południu lub w nocy. Jednakże tym, czego najbardziej potrzebuje, jest wypoczynek...

Przerwał i popatrzył na mnie.

— A przez wypoczynek rozumiem dokładnie wypoczynek. Absolutny, w łóżku. Spokój. Z tak nielicznymi zmartwieniami, jak tylko to możliwe, i bez żadnych dodatkowych wstrząsów, jeżeli może pan to zapewnić.

— Będzie to miała — obiecałem.

— Niech pan spróbuje ją podkarmić. Mówiąc bezceremonialnie, ona ma dwadzieścia funtów niedowagi. Nie mogę tego stwierdzić na pewno, dopóki nie zrobimy badań laboratoryjnych, ale nie sądzę, by to była anemia czy w ogóle coś organicznego. To wygląda na przepracowanie, brak snu i napięcie.

— Czy grozi jej załamanie nerwowe?

Potrząsnął głową.

— To jest zawsze trudne do przewidzenia; zmienia się w zależności od indywidualnego temperamentu i wytrzymałości. Musimy poczekać, zobaczymy, jak będzie się czuła za kilka dni. W tej chwili powiedziałbym, że jest niebezpiecznie blisko załamania. Nie wiem, od jak dawna przekracza swoje konto, i nie jestem psychiatrą, lecz uważam, że zbyt długo znajdowała się pod zbyt wielkim napięciem... — Zawiesił głos. Wzruszył ramionami i dodał lapidarnie: — Cóż, przejdźmy na bardziej znany grunt. To jest środek uspokajający. A to — witaminy. A tu jest phenobarbital. — Spojrzał na mnie, podając recepty. — Niech pan sam trzyma ten phenobarb i daje jej tylko przepisaną dawkę.

— Jest niebezpieczny? — spytałem.

— Nie. Prawdopodobnie nie. Lecz po co stwarzać okazję?

— Może lepiej znajdę jakąś pielęgniarkę? Popatrzył na Josie.

— Zostajesz tu na noc?

— Nie — odpowiedziała. — Ale mogę zostać.

— Wspaniale. Ktoś powinien być przy niej. W każdym razie przez kilka następnych nocy.

— Zostań — zwróciłem się do niej. — Nie zajmuj się resztą, zaopiekuj się tylko nią. Ja też będę w pobliżu.

Doktor Graham zabrał swoją torbę.

— Proszę do mnie zadzwonić, gdy się obudzi. Nie przyjadę, dopóki to nie będzie konieczne, ale może pan podzielić się wrażeniami, kiedy pan z nią porozmawia.

— Jasne. Wielkie dzięki.

Odjechał. W chwili, gdy wjeżdżał na drogę, minął skręcającego Jake'a.

Położyłem paczkę z sodą na werandzie, wziąłem resztę, zapłaciłem mu i dałem potężny napiwek. Potrząsając głową, pojechał z powrotem do miasta.

Znalazłem długi ogrodowy wąż, który mógł sięgnąć do piątki, i połączyłem go z kranem. Nie powinienem jednak niczego ruszać, dopóki tego nie obejrzą. Zerknąłem na drogę; w zasięgu wzroku nie było żadnego policyjnego samochodu. Spojrzałem na zegarek, wściekle rzuciłem węzem o żwir, pomaszero wałem do biura i złapałem słuchawkę.

Odpowiedział ten sam mężczyzna.

— Biuro szeryfa. Redfield.

— Tu Chatham, z motelu Magnolia...

— Tak, tak — przerwał mi obcesowo. — O co tym razem chodzi?

— Chcę wiedzieć, kiedy pan tu kogoś przyśle.

— Mówiłem, że wysłamy człowieka.

— Kiedy? — spytałem. — Spróbujcie to zrobić jeszcze w tym tygodniu, dobrze? Chcę zneutralizować ten kwas i splukać pokój, zanim zostanie przeżarty do fundamentów.

— A zatem niech go pan zmywa. Ma pan nasze pozwolenie.

— Nie chce pan zrobić zdjęć? I pobrać odciski?

— Niech pan da mi spokój, co? Na miłość boską, skoro pracował z kwasem, to miał gumowe rękawice. Jakie odciski!

Oczywiście, było w tym trochę logiki. Lecz bynajmniej nie była ona niezawodna i z założenia była zaniedbaniem policyjnych obowiązków. I miałem dziwne uczucie, że on to wiedział. Był trochę zbyt twardy, trochę zbyt gwałtowny.

— I jeszcze jedno — dodał — w związku z tym głupim pomysłem, że wykorzystał pańskie tablice. Nie lubię żartów takich jak ten ani trochę. Właśnie dzwoniłem do warsztatu, obie tablice są na pańskim wozie.

Zmarszczyłem brwi. Czy ona je widziała, czy też wpisała je na słowo? Wtedy sobie przypomniałem. Mówiła, że były kalifornijskie — widziała więc plakietki, bo na karcie były wpisane tylko numery. Widziała je na własne oczy.

— No cóż, założył je z powrotem — powiedziałem. — Niech pan nie pyta mnie, dlaczego.

— Nie zamierzam. Byłem dość głupi, by uwierzyć, że ktoś je zdejmował.

— I w nocy do warsztatu też nikt się nie dobierał?

— Nie, oczywiście, że nie.

— W porządku. Słuchaj pan, jest to Bardzo łatwe do ustalenia. Ale dlaczego nie ruszy pan tyłka i nie pojedzie tam osobiście, zamiast telefonować? Jeżeli sprawdzi pan warsztat, odkryje pan, że włamano się do

niego. I zobaczy pan też, że tablice najpierw zostały zdjęte, a potem założone. To żaden wysiłek. W pięćdziesiątym siódmym w Kalifornii nie wydawano nowych tablic, a tylko plakietki. Więc tablice zostały założone osiemnaście miesięcy temu. Jeżeli śruby są nietknięte — w porządku, palnąłem głupstwo. Co do odcisków, to też nie sądzę, żeby pan jakieś znalazł: ten facet jest na to zbyt cwany.

— Czy myśli pan, że jestem głupi? Dlaczego, do diabła, ktoś miałby robić to całe zamieszanie z tablicami?

— Jeśli kiedyś pan tu przyjedzie, to panu powiem.

— Niech pan zostanie na miejscu. Zaraz ktoś tam będzie. Pan zaczyna mnie interesować.

— Cóż, to już coś — powiedziałem, ale zdążył przerwać rozmowę.

Odłożyłem słuchawkę i wychodziłem, gdy telefon zadzwonił. Wróciłem.

— Halo. Motel Magnolia.

Nie było odpowiedzi, słyszałem tylko nikły syk w tle i coś, co mogło być czymś oddechem.

— Halo — odezwałem się jeszcze raz.

Rozległ się szczeł, gdy się rozłączył.

To ten gad, pomyślałem. A może tym razem to mój przyjaciel, sprawdzający, czy ciągle tu jestem? Wtedy moją uwagę przyciągnęła niespodziewana myśl i zastanowiłem się, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. To mógł być ten sam człowiek. Być może w ogóle nie był psychopatą. Może to była systematyczna i prowadzona z zimną krwią kampania, mająca na celu zniszczenie jej zdrowia i rozsądku i doprowadzenie jej do ruiny finansowej? A chciał pozbyć się mnie w przypadku, gdybym próbował jej pomagać?

Ale dlaczego? Na całym mieście leżała podejrzana, Bóg wie, jak ciemna i wstrętna plama, brak zaufania i antagonizmy, lecz to niczego nie wyjaśniało. Realizowany z premedytacją zamiar doprowadzenia kogoś do szaleństwa był gorszy niż morderstwo. Musiało być to działanie mocno wypaczonego umysłu. Ale czy ktoś o zdegenerowanym umyśle rozmawiałby ze mną w ten sposób, jak to było ubiegłej nocy? Nie wiem. Za każdym razem, gdy człowiek przypatrywał się tej sprawie, stawała się ona coraz bardziej mroczna.

Za budynkiem znalazłem kilka desek, na których można było stanąć, i przeciągnąłem je pod numer 5. Gdy rzucałem je na żwir, z drogi skręcił policyjny samochód. Był w nim tylko jeden funkcjonariusz. Zatrzymał się i

wysiadł, duży mężczyzna pod trzydziestkę, o ruchach i budowie atlety. Miał mięsistą, przystojną twarz z wyrazem lekkiej bezczelności, brodę z dołkiem, zielone oczy i pieczolowicie uczesane długie, ciemne włosy. Mógłby rozwalić człowieka kantami spodni, ale nie musiał tego robić. W kaburze na piersiach dźwigał czterdziestkę piątkę o perłowej rękojeści, a z pasa spodni zwieszała się torba z wytłaczanej skóry, zawierająca kajdanki. Z kilkoma niewielkimi zmianami w mundurze mógłby wystąpić na scenie z kawalkiem „Rose Marie” i prawie czekałem, kiedy zacznie śpiewać. Dość tego, pomyślałem szybko. Człowiek zrzędzi na wszystkich tak długo, jak długo wszystkich nienawidzi.

— Redfield? — zapytałem. Niedbale potrząsnął głową.

— Magruder.

— Cieszę się, że pana widzę. Nazywam się Chatham.

Bez wielkich trudności pohamował swój zachwyty.

— Słyszałem, że bardzo tęsknił pan za kimś, kto by obejrzał ten pokój — powiedział. — Obejrzyjmy go zatem.

Skinął w kierunku otwartych drzwi piątki. Pomaszzerował z butnym wdziękiem matadora, z kciukami zaczepionymi o rzemienie podtrzymujące kaburę i zajrzał do środka.

— Hmmm. — Odwrócił się i kiwnął na mnie. — W porządku. Niech pan wrzuci tam te deski.

Popatrzyłem na niego, ale nic nie powiedziałem i wrzuciłem deski do środka. Czułem się jak Sir Walter Raleigh*. Gdy stałem na drugiej desce i rzucałem trzecią, która mogła dosięgnąć leżących naprzeciwko drzwi łazienki, wszedł do środka.

* Sir Walter Raleigh zyskał przydomek „Rycerz płaszcza”, kiedy to rozpostarł własny płaszcz nad kałużą, aby Elżbieta I mogła przejść przez nią suchą stopą.

Rozejrzawszy się po obscenicznej i bezsensownej ruinie, nonszalancko rzekł: — Niezły bałagan, co?

— Mniej więcej w ten sam sposób to odebrałem — odparłem.

Nie zwrócił na mnie żadnej uwagi.

Wszedłem obejrzeć łazienkę i poczułem kolejne ukłucie wzbierającej wściekłości. Wanna i umywalka na dnie miały ciemne szramy, gdzie pozdierał emalię. Zastanowiłem się, w jaki sposób tłumił hałas. Prawdopodobnie używał gumowego podbijaka z dłutem, pomyślałem. To samo narzędzie wykorzystał również po to, by wyryć długie pasy w

kafelkach na jednej ścianie. Na podłodze leżały dwie puste jednogalonowe szklane butle, obok nich poniewierały się gumowe zatyczki.

Magruder stanął przy mnie i zajrzał do środka. Wyszczrzył zęby.

— Ten facet musiał być naprawdę wściekły, co?

Prosiłem o gliniarza, a oni przysłali mi pajaca z opery komicznej. Zdusiłem sarkastyczną uwagę, która w tej sytuacji niewiele by pomogła, i właśnie chciałem go zapytać, kiedy zacznie, gdy wzruszył ramionami i powiedział:

— No cóż, to wszystko, co? — Odwrócił się i wyszedł.

Niedowierzająco gapiłem się na jego plecy, ale poszedłem za nim.

Dogoniłem go na werandzie.

— Co to znaczy?

Zaszczycił mnie obojętnym spojrzeniem i znów przyczepił się do rzemienia. — Widziałem to, zgadza się? Przygotuję raport, ale nie możemy dalej się tym zajmować.

— A co z szukaniem odcisków palców? — spytałem. — Nie chce pan ich? A co z kartą rejestracyjną, którą wypełnił? Skoro pan uważa, że to dużo nie przyniesie, dam panu jego rysopis. I opis samochodu. To pana nie interesuje? A co z tymi naczyniami?

— Naczyniami? Był w nich kwas i tyle. To już wiem.

Nawet ten operetkowy heros nie był taki głupi. Wiedział, co powinno się zrobić z tymi butlami. Sprawdzić, czy nie ma na nich odcisków palców; zbadać, jaki rodzaj kwasu w nich był; odkryć, skąd został ukradziony i w jaki sposób, i iść tym tropem. To było celowe miganie się od roboty.

— A zatem nie interesuje to pana?

— Nic takiego nie mówiłem, prawda?

— Jak można skontaktować się z szeryfem tego okręgu? Dzwoniłem do biura dwa razy...

— Najlepiej spróbować w Mayo Clinic — zasugerował. Potem dodał: — To w Minnesocie.

— Dzięki — powiedziałem. — Ale może ktoś pełni jego obowiązki?

— Jasne. Redfield.

— Rozumiem.

— Pamięta go pan; rozmawiał pan z nim przez telefon. — Wyszczrzył zęby. — Wspominał o tym.

— Pewnie. Pamiętam go. I to mnie intryguje. Wyglądał mi na gliniarza.

Odwrócił się i popatrzył na mnie zimno.

- Co pan przez to rozumie?
- Powiedział panu, co ma pan zrobić? Czy to pański wybór?
- Kazał mi odkryć, kim pan, u diabła, jest — warknął. — Niech pan się odwróci i oprze ręce o ścianę.

— Dajmy temu spokój — powiedziałem.

— Odwróć się!

Westchnąłem i oparłem ręce o ścianę. Obmacał mnie szukając pistoletu, o którym wiedział, że go nie mam. Potem złapał mnie za ramię i obrócił twarzą do siebie, i przeszukał jeszcze raz. Kilka razy wcisnął mi łokieć pod szczękę, wyciągnął mi koszulę i przydepnął stopę, lecz był w tym zupełnie zielony. Pierwszy lepszy żółtodziób ze szkółki policyjnej mógłby zrobić to lepiej. Jedynym celem brutalnego przeszukania jest upokorzenie, ale bez odpowiedniej widowni staje się ono aktem chybionym. Cofnął się.

— Skończył pan? — zapytałem.

— Ma pan jakiś dowód tożsamości?

— Jest w mojej kieszeni na biodrze. — Zahaczał tam trzy razy.

— Niech pan go da.

Wyjąłem portfel, z premedytacją wyciągnąłem z niego pieniądze i podałem mu resztę. Jego twarz poczerwieniała. Przekopywał się przez moje legitymacje.

Popatrzył na mnie.

— Glina, co?

— Były.

— Co pan tu robi?

— Zamierzam zmyć kwas z tego pokoju tak szybko, jak tylko skończy pan tę rutynową komedię.

— Miałem na myśli to, po co pan tu się wałęsa? Czy ma pan coś wspólnego z tym miejscem? I z panią Langston?

— Zostanę tu, dopóki nie naprawią mojego samochodu.

— Jak to się stało, że pan dla niej pracuje? Nie może pan zapłacić za pokój?

— Powiedzmy, że jest moją przyjaciółką. I myślę, że potrzebuje pomocy.

— Przyjaciółka, co? Jak długo pan ją zna?

— Trochę mniej niż dzień.

Obdarzył mnie zimnym uśmiechem.

— Szybko zawiera pan przyjaźnie. A może ona szybko to robi?

— Niech mi pan lepiej coś wyjaśni... Jak to się stało, że ona nie może dostać żadnej policyjnej ochrony?

— Kto panu powiedział, że nie może?

— Widać to przecież dookoła.

— Czego pan od nas oczekuje? — zapytał. — Że będziemy sterczeć tu dniami i nocami tylko dlatego, że ludzie jej nie lubią?

— Kto jej nie lubi? Skoro pan zakłada, że jest pan gliną, to myślę, że powinno to coś panu zasugerować. Możliwe, że facet, który rozlał ten kwas, jej nie lubił.

— Mam spędzić połowę ludzi z miasta? To pan proponuje?

— Pan zna lepszy sposób. W żadnym mieście nie ma nawet pół tuzina osób, które mogłyby coś takiego zrobić.

Traciłem oddech. Odwrócił się i zszedł na zwór.

— To pana — powiedział i rzucił portfel na cement u moich stóp.

— Dzięki — skwitowałem.

— Drobiazg. I jest jeszcze jedna rzecz. Gdyby to o mnie chodziło, cholernie bym uważał, z kim się zadaję. Pewnego dnia ona zwróci na siebie uwagę całej policji.

— Tak? A dlaczego? — Zastanawiałem się, w jaki sposób mi to powie.

— Skoro był pan tutaj cały dzień, to pan wie, dlaczego. Ona zabiła swojego męża.

— Wobec tego dlaczego nie aresztuje się jej i nie przesłucha? — spytałem. — A pozwala się, by chuligani niszczyli mieszkania kwasem?

— Aresztuje się kogoś, gdy ma się dowody — odpowiedział. — Skoro mówi pan każdemu, jak ma pracować wydział policji, powinien pan to wiedzieć.

— Czy słyszał pan o zniesławieniu?

— Jasne — przytaknął. — A czy pan kiedykolwiek próbował coś udowodnić bez świadków? — Ruszył szybko w stronę samochodu.

— Chwileczkę — powiedziałem.

Zatrzymał się i odwrócił.

Schyliłem się i podniosłem portfel.

— Chciał pan zobaczyć, jak to robię, prawda? Nie chciałbym marnować całego pańskiego dnia.

Popatrzył na mnie zimno, lecz nic nie powiedział.

Rozdział 5

Znalazłem skrzynkę z bezpiecznikami i wyłączyłem dopływ prądu do tego skrzydła, by nie zostać porażonym. Przebrany w kąpielówkę, zabrałem się do pracy. Stałem w wejściu i wężem lałem wodę po ścianach, suficie i meblach, dopóki nie zaczęła przelewać się przez próg. Otworzyłem pół tuzina pudełek z sodą, rozsypałem ją wokół i zmywałem wodą. Gdy spróbowałem poruszyć pościel, kotary i materace, rozlażyły się na papkowate strzępy, więc znalazłem jakieś narzędzia ogrodnicze i wygrabiłem je na żwir, razem z dywanem, który mogłem rozdzierać na kawałki. Przyprawiało mnie to o mdłości.

Nawet tak rozcieńczony jak teraz, kwas parzył mnie po nogach, gdy musiałem schodzić z desek. Po piętnastu minutach najgorsze miałem za sobą. Wyciągnąłem ramę łóżka i zagłówki, toaletkę, dwa fotele i nocny stolik na betonową werandę, polałem je wodą i posypałem resztą sody. Wykąpałem się i ubrałem, a potem poszedłem do biura. Josie powiedziała, że pani Langston śpi spokojnie. Przyniosła mi kluczyki do jej samochodu.

— Wywieś tabliczkę „Brak wolnych miejsc” — powiedziałem. — A gdy ktoś przyjedzie, powiedz mu, że motel jest nieczynny.

Popatrzyła na mnie niepewnie.

— Uważa pan, że to się spodoba pani Langston? Ona cierpi na brak pieniędzy.

— Rozliczę się z nią. Bardziej niż pieniędzy potrzebuje teraz wypoczynku i musimy jej go zapewnić.

Nie był to jedyny powód, lecz nie widziałem celu we wdawaniu się w wyjaśnienia. Pojechałem do miasta i zaparkowałem obok warsztatu. W środku przy moim samochodzie pracował właśnie mechanik, odkręcając starą chłodnicę. Spojrzał do góry i skinął głową.

— Pożyczy pan śrubokręt? — zapytałem.

— Jasne. Tu są.

Poszedłem do tyłu i zbadałem jedną ze śrub, trzymających tylną tablicę. Odkręcała się z łatwością. Tak samo druga. Mogłem nawet zobaczyć, gdzie przykładał oliwiarkę.

Usłyszałem kroki i podniosłem głowę. Był to skwaszony majster w swoim białym kombinezonie.

— O co chodzi w tym całym bałaganie z tablicami rejestracyjnymi? Jakis czas temu marnował nad nimi czas człowiek z biura szeryfa. I posypywał je jakimś proszkiem.

— Kto to był?

— Nie zna go pan. Ten twardziel.

— Magruder?

Potrząsnął przecząco głową. — Magruder tylko myśli, że jest twardy. Taki jest ten drugi, Kelly Redfield.

Teraz wyglądał mi raczej na dobrego glinę. Wywrzeszczał się na mnie i z jakichś powodów próbował tego uniknąć, ale w końcu przyjechał tu i obejrzał tablice.

— Co mówił? — zapytałem.

— Kto? Nasz człowiek od szeryfa? No cóż, żadnych pozdrowień dla pana nie zostawił...

— Ale powiedział panu, którzy się włamali?

Przez chwilę na skrzywionej i zakrzepłej twarzy widoczne było zdziwienie, zanim znów się nie opanował.

— Skąd pan o tym wie? Powiedział, że w oknie w myjni została rozbita szyba. I chciał wiedzieć, czy czegoś nie zauważyliśmy.

— I co?

— Na razie nic.

— Macie kwas do akumulatorów?

— Nie mamy żadnego.

Ukradł go więc gdzieś indziej, ale w okolicy, bo musiał tu być przed drugą w nocy. Nie mógł po niego jeździć zbyt daleko. Może Redfield ma jakieś pomysły. Powinienem złapać go w jego biurze.

Znajdowało się ono z tyłu gmachu sądu — ponure pomieszczenie z porysowanym brązowym linoleum i zapachem kurzu. Ściana po prawej stronie zastawiona była stalowymi regałami, a przy biurkach obok zakratowanego okna siedzieli Magruder i rudowłosa mężczyzna, odwalający papierkową robotę. Na ścianie po lewej wisiały biuletyny i afisze ze zdjęciami poszukiwanych. Potężny wentylator pod sufitem obracał się nużąco, bezskutecznie mieszając gorące powietrze. W lewym kącie pokoju znajdowały się drzwi prowadzące do wewnętrznego biura.

Magruder podniósł się. Zauważyłem, że ciągle nosił kaburę z czterdziestką piątką, nawet przy przrzucaniu papierów. Podejrzewałem, że nie zdejmował jej, idąc spać.

— Czego pan szuka? — zapytał.

— Chcę porozmawiać z pańskim szefem.

W tej chwili z wnętrznego biura wyszedł mężczyzna o szczupłych biodrach, ubrany w spłowiełe khaki, z naręczem papierów, które rzucił na jedno z biurko. Magruder wskazał na mnie głową.

— Kelly, jest tu ten facet.

Redfield odwrócił się i obrzucił mnie szybkim, twardym spojrzeniem.

— Chatham?

— Tak — odpowiedziałem.

— Niech pan wejdzie.

Poszedłem za nim. Pod ścianą po lewej stronie stało stare biurko. Naprzeciwko znajdowały się dwa regały i wieszak z marynarką, czarnym krakatem i podramienną kaburą z pistoletem. Zamknięta, oszklona z przodu szafka zawierała cztery karabinki. Okratowane okno wychodziło na parking wysypany białym żwirem.

Kiwnął w kierunku prostego krzesła stojącego przy końcu biurka.

— Niech pan siada.

Nie patrząc na mnie, sięgnął do kieszeni marynarki po papierosy. Zapalił, nie częstując mnie, i pstryknął zapalną do popielniczki na biurku. Miał trzydzieści sześć-trzydzieści osiem lat i stwarzał atmosferę twardej kompetencji, co pasowało do wrażenia, jakie odniosłem rozmawiając z nim przez telefon. Twarz miał szczupłą, wyraźną i mocną szczękę, wysokie czoło, przereźdzone brązowe włosy i przesywające brązowe oczy. To była inteligentna twarz, pełna charakteru, ale przynajmniej w tej chwili nie było w niej ani krzty ciepła.

— No dobrze, Chatham — rzekł. — Po co pan tu przyszedł?

— Magruder panu powiedział. Przysłał go pan, żeby mnie sprawdził.

— Tak. I nijak pan nie pasuje. Niech pan zaczyna.

Zirytował mnie i zaintrygował jednocześnie. Uczciwy, zapracowany fachowy glina, co było po nim widać, i wyraźnie niezdolny do rozwiązania policyjnego problemu, lecz skąd ten antagonizm?

— Były jakieś odciski na tablicach? — zapytałem.

— Nie — powiedział krótko. — Oczywiście nie było. I nie będzie w tym pokoju ani na tych butelkach. Sądzi pan, że człowiek, który podjął się takiej roboty, był durniem albo amatorem? Ale zostawmy to; zajmijmy się panem.

— Dlaczego?

— Chcę wiedzieć, kim pan jest i co pan tu robi. Ten facet zadał sobie sporo trudu, by wykorzystać pańskie tablice. Dlaczego?

— To była wiadomość dla mnie.

Opowiedziałem mu o rozmowie telefonicznej, w której kazano mi wyjechać z miasta, i o tej wcześniejszej, do niej, i o moich poszukiwaniach kabiny z hałasującym wentylatorem.

Staął przede mną.

— Innymi słowy, nie był pan w mieście nawet trzydziestu minut, a zdążył pan wpakować nos w sprawy policji. Lubi pan kłopoty, Chatham; wyczuwam to na milę.

— Meldowałem o tym do biura — powiedziałem. — I zostałem odesłany do diabła. Pan też próbuje przejść do porządku nad tą robotą z kwasem, ale nie całkiem pan chyba wie, jak to zrobić. O co tu chodzi? Widzę śmieci wmiezione pod dywan, lecz pan nie wygląda na tego typu człowieka.

Przez chwilę było coś prowokacyjnego i dzikiego w jego oczach; pomyślałem, że mnie uderzy. Zapanował nad sobą.

— Nikt nie jest stąd odsyłany do diabła — powiedział. — I nic nie jest wmiatane pod dywan. Rysopisy tego człowieka i opisy samochodu zostały rozesłane do sąsiednich okręgów i do patroli drogowych. Wiem, skąd pochodzi kwas...

— Wie pan?

— Cicho. Ja mówię, pan słucha. Szanse, że go złapiemy, są jak jeden do tysiąca. Zielone fordysedany są tak pospolite, jak nazwisko Smith przy nalicie na burdel. Tak samo mężczyźni odpowiadający temu rysopisowi. Nawet razem to nie jest wiele, a do tej pory on ma już zupełnie inny samochód. I musiał być spoza miasta. Prawdopodobnie został wynajęty do tej roboty i mógł pochodzić zewsząd w promieniu tysiąca mil. Sam kwas jest ślepą uliczką. Kilka tygodni temu na wschód od miasta została obrabowana ciężarówka, a jedną z pozycji w spisie towarów było dziesięć galonów kwasu solnego. Sprawdziłem to. Napastników nigdy nie ujęto, a żaden z towarów nie został zlokalizowany. Większość z nich stanowiły farby, które mogły być sprzedane gdziekolwiek. Nie można znaleźć śladu. Ale niech pan trzyma się od tego z daleka.

— Co ma pan na myśli?

Dźgnął we mnie palcem.

— Wyróżnia się pan w tym bajzlu jak blondynka z oswojonym skunksem i im dłużej się panu przyglądam, tym bardziej pan mi się nie podoba. Z jakiegoś powodu pojawia się pan pewnego dnia. Opowiada pan jakieś banialuki o tajemniczej rozmowie telefonicznej. Jeśli pan kłamie, jest

pan w to zamieszany. Jeśli pan nie kłamie i ktoś rzeczywiście próbuje pana stąd wypłoszyć, jest pan zamieszany w coś innego. Nie lubię facetów, którzy lubią kłopoty, przybywających tu w ogóle bez żadnego powodu i kręcących się wokół tego motelu. Ciągłe czujemy smród po ostatniej sprawie.

— Wiedziałem, że do tego wrócimy — wtrąciłem. — Innymi słowy, nie obchodzi pana, co się z nią dzieje i jak jest traktowana. Ma pan w rękach sprawę nierozwiązanego morderstwa i jeżeli o pana chodzi, ona jest winna, nieważne, czy pan to może udowodnić, czy nie. Cóż, ma pan rację, że tu śmierdzi. I czas, by ktoś znalazł tego przyczynę.

Pochylił się nade mną z ręką opartą o róg biurka.

— Niech się pan stąd zabiera, Chatham — rzucił chrapliwym głosem. — Od razu. Nie wiem, czego pan tu szuka, ale rozgryzłem pana. Nie potrzebujemy żadnych facetów, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy, mamy dość własnych kłopotów. Zrobi pan jeden fałszywy ruch, a siądę panu na karku, i to ostro. Teraz niech pan idzie. I byłoby lepiej, gdyby trzymał się pan z daleka.

Wstałem.

— Okay. Może pana posłucham.

Pojawił się Magruder i stanął w wejściu. Gapił się na mnie zimnym wzrokiem. Gdy Redfield kiwnął na niego, by mnie przepuścił, przesunął się na jedną stronę.

— Ważniak — prychnął.

Zignorowałem go i odezwałem się do Redfielda:

— Nie jestem na tyle głupi, by wnosić oskarżenie przed ławę przysięgłych, dlatego że pan nie wykazuje żadnego zainteresowania, ale nie powstrzyma mnie pan przed zaglądaniem pod dywan. A kiedy siądzie mi pan na karku, niech pan się upewni, że ma pan podstawy prawne.

— Zrobię to. A teraz niech pan się wynosi.

Wyszedłem, zdając sobie sprawę, że pogorszyłem sytuację, lecz byłem za bardzo wściekły, by się tym nie przejmować. Zatrzymałem się przy drugostorze, żeby zrealizować recepty, i pojechałem z powrotem do motelu. Gdy zaparkowałem przed biurem, popatrzyłem na zegarek. Było po jedenastej i przypomniałem sobie, że nie jadłem śniadania. Być może o tej porze mógłbym złapać Olliego samego. Przeszedłem przez drogę, zamówiłem sandwicha i filiżankę kawy i przeniosłem jedzenie do baru. Był tam tylko jeden klient, mężczyzna z monterskim ekwipunkiem. Skończył swoje piwo i wyszedł, pobrzękując jak skrzynka z narzędziami.

Postawiłem śniadanie na barze i wyciągnąłem stółek.

— Czy nie będzie pan miał nic przeciwko, jeżeli tu posiedzę? — spytałem. — Dopóki nie pojawi się pański stały klient?

Wzruszył ramionami, ale w jego brązowych oczach pojawiło się rozbawienie.

— Przepraszam, ale wie pan, jak to jest.

— Nie ma sprawy — powiedziałem.

Miał wyraziste spojrzenie i czułem, że nie należy do tego motłochu, który był przeciwko pani Langston. Życzyłem sobie, żeby tak było naprawdę.

Podszedł bliżej, postawił nogę na półce pod barem i oparł się na kolanie. Zapalił papierosa.

— To była wszawa zagrywka z tym kwasem.

— Skąd pan o tym wie?

— Przechodziłem i służąca mi opowiedziała. Ludzie szeryfa coś z tym zrobili?

— Niewiele. — Popiłem trochę kawy.

— Ten Redfield jest dobrym gliniarzem. Twardszy od podkutego buta, ale cwany. I uczciwy.

— Taak — powiedziałem niezobowiązująco. — Ale dlaczego mnie pan to mówi?

— Całe miasto wie, że ma pan z nią coś wspólnego.

Pokiwałem głową.

— Nie miałem. Ale teraz mam. Ta robota z kwasem jest częściowo z mojej winy.

— Dlaczego?

— Niech pan pozwoli, że najpierw ja o coś zapytam — powiedziałem. — Czy pan też uważa, że ona była zamieszana w to morderstwo?

— Chce pan wiedzieć, co naprawdę myślę? — Popatrzył mi prosto w oczy. — Myślę, że mam tutaj całkiem miły lokal. Jest wart czterdzieści tysięcy dolarów, a ja nie skończyłem jeszcze dwudziestu siedmiu lat. Zapewnia mi on dobre utrzymanie i lubię go. A więc myślę to, co myślą moi klienci, albo trzymam język za zębami.

— Niech pan mi nie sypie piaskiem w oczy. Nie miałby pan tego wszystkiego w tym wieku, gdyby był pan tchórzliwym ptasim mózdzkiem. Pan cholernie dobrze wie, co pan myśli, i że ona nie jest kobietą, która zadawałaby się ze Straderem.

Pokiwał głową.

— W porządku. Być może tak właśnie myślę. Ja tego nie mówiłem, niech pan pamięta; pan to powiedział. Ale co to daje? Wie pan, mam swoje hobby...

— Hobby?

— Tak. Polowanie. Na kobiety i na tarpony. I dotychczas wiem wszystko, co tylko można, o tarponach, lecz ciągle nie wiem nic o kobietach. Podobnie jak pan.

— Jasne. Ale pan ma większe szanse. A teraz niech pan słucha — czy przypomina pan sobie, kto korzystał z pańskiej kabiny telefonicznej wczoraj około drugiej po południu? Na dwie godziny przed moim przyjściem?

Zmarszczył twarz i potrząsnął głową.

— Nigdy na to nie zważam, chyba że ktoś poprosi o drobne. Ludzie wchodzą i wychodzą przez cały czas. Dlaczego pan pyta?

Opowiedziałem mu o tym plugawym telefonie i o hałasującym wentylatorze.

— Gdzieś w mieście musiał mnie widzieć i wpadł na to, co robię. Jeżeli był w pańskiej jadalni, gdy ona wróciła do domu — a sądzę, że był, bo zadzwonił zaraz potem — to również widział, jak wchodziłem z nią do biura. Więc mnie zna. A zatem nie przypomina pan sobie?

— Niee. Mogło być kilka rozmów, ale nie zwracałem uwagi.

— Ile osób przewinęło się przez bar między drugą a moim przyjściem?

— Z pół tuzina. Może więcej. Trudno powiedzieć.

— A co z tymi, którzy tu byli w tym samym czasie co ja?

— Hmm. Pomyślmy. Ten wielki facet to Red Dunleavy. Pracuje niedaleko stąd na stacji benzynowej. Prawdopodobnie ma swój udział w wysuwaniu niewłaściwych propozycji dziewczętom, ale robi to osobiście, nie przez telefon. Rupe Hulbert to wścibski krzykacz, lecz generalnie jest nieszkodliwy. A ten, którego pan szuka, Chatham, jest kopnięty. Parę ostrych numerów wywinął już tutaj Pearl Talley, ale niczego takiego jak to...

— Chodzi panu o tego faceta w przebojowej koszuli w stylu country, który siedział z panną przy stole?

Ollie uśmiechnął się szeroko.

— Trafił pan. Nasz Pearl jest trochę narwany i gdy człowiek na niego patrzy, to myśli, że co rano musieli go wiązać, by mu założyć buty, ale on jest w porządku. W interesach jest ostry jak brzytwa; może na starcie mieć

dwadzieścia centów, tyle samo co inni, a wyjdzie na dwa dolary do przodu. Posiada w pobliżu kilka farm; hoduje na nich przede wszystkim bydło.

Odnosnie tych trzech nie wynikło nic takiego, co mogłoby uzasadnić zadawanie dalszych pytań.

— Niech mi pan opowie o tej nocy — powiedziałem. — O co chodziło z tym upozorowaniem wypadku? Zakłada się, że podjechały dwie osoby, by pozbyć się samochodu Langstona?

— Tak mówią — przytaknął. — Langston miał w furgonetce cały swój sprzęt i motor do łodzi; jakby wybierał się na ryby.

— O czwartej trzydzieści nad ranem?

— Jasne. Okonie łowi się o świcie.

— Ale co z tym sfingowanym wypadkiem? Czy to jest pewne?

— Tak. Nigdy nie było co do tego wątpliwości. Widzi pan, Langston miał czterdzieści siedem lat i był niezbyt silny. Chorował. Przy Finley's Cut, gdzie miał przywiązaną swoją łódź, jest strome wzniesienie, gdzieś osiem stóp, prowadzące do brzegu. W wodzie leży wielka kłoda, do której rybacy przywiązują swoje łodzie. Jego motor ważył prawie pięćdziesiąt funtów. Może więc pan zrozumieć, co wszyscy by pomyśleli, gdyby Langston został znaleziony z rozwaloną głową pod tą kłodą, z silnikiem obok.

— A co robił Strader, gdy Calhoun go zaskoczył?

— Był na dole nad wodą, z latarką i z kawałkiem zakrwawionego brezentu, przy kłodzie.

Pokiwalem głową. Ollie zamyślony mówił dalej:

— Rozumie pan? Strader był tu zupełnie obcy i przypuszcza się, że nie znał Langstonów. Więc skąd to wszystko wiedział? To, gdzie Langston trzymał swoją łódź, jak tam dojechać, no i jeszcze o tym stromym brzegu i kłodzie?

— Nie wiem.

No cóż, to wyglądało na zaplanowane, dokonane z premedytacją morderstwo i ktoś musiał z nim być. Lecz czy musiała to być pani Langston? Niekoniecznie. Każdy z miejscowych mógłby wiedzieć to wszystko. Ale najbardziej obciążająca była próba upozorowania tego tak, by wyglądało na wypadek. To znaczy, że ktoś zamieszany wiedział, że były, czy mógłby być podejrzany, gdyby to zostało odkryte i okazało się morderstwem. Ktoś o znanym i możliwym do sprawdzenia powiązaniu z Langstonem. I nic nie wskazywało na to, żeby tym kimś miał być Strader...

— Jak to się stało, że znalazł się tam Calhoun? — spytałem. — On jest miejskim policjantem, prawda?

— Zbieg okoliczności — odpowiedział Ollie. — Też był na rybach, obozował po prawej stronie w dole rzeki. Usłyszał samochód.

— Rozumiem. A skąd wiedzą, że samochód Stradera prowadziła kobieta?

— Mój kucharz widział zatrzymujący się wóz i wysiadającą z niego kobietę.

— Potrafił ją opisać?

Ollie potrząsnął głową.

— Nie. Było parę minut po piątej, a o tej porze roku jest jeszcze ciemno. Właśnie przechodził ze swojego pokoju na tyłach do jadalni, by zaparzyć kawę, i przypadkiem wyjrzał przez okno. Do motelu podjechał samochód i zatrzymał się przed jednym z pokoi po prawej stronie. Oczywiście, nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, a i to miejsce nie było zbyt dobrze oświetlone, ale zauważył, że przyjechała nim kobieta. Uważa, że miała ciemne włosy, lecz nie mógłby przysiąc. Przeszła w kierunku biura, nie weszła jednak do niego. Zniknęła w otwartej przestrzeni między nim a końcem lewego skrzydła budynku.

— A kiedy policja odnalazła samochód, stał on zaparkowany przed jednym z pokoi w prawym skrzydle? Przed tym, który wynajmował Strader?

— To prawda.

Pokręciłem głową.

— To zbyt proste. Czy oni myślą, że ona byłaby na tyle głupia, żeby przyjechać samochodem prosto do motelu?

Wydmuchiłem dym i przyglądał się mu badawczo zamyślonym wzrokiem.

— Zakłada się, że ona nie wiedziała, że Calhoun ma te numery rejestracyjne. To logiczne. W ciemności nie mogła zobaczyć, że ją ścigał, a on nie wystrzelił, bo przewrócił się i zgubił pistolet. A gdyby ona zostawiła wóz gdzie indziej, musiałaby wracać pieszo, a to zwiększyłoby szanse dostrzeżenia jej przez kogoś.

— Lecz została zauważona. I nie weszła do biura.

— Tam jest tylne wyjście. Nie widać go stąd.

— Jak szybko znaleźli ten samochód?

— W ciągu mniej więcej trzydziestu minut. Wkrótce po tym, jak Calhoun zdążył dotrzeć do miasta i złożyć meldunek, szeryf przyjechał, żeby

z nią porozmawiać i zobaczyć, czy wszystko u niej w porządku. Nie wiedział, czy przypadkiem też nie została zamordowana. I pierwszą rzeczą, jaką zauważył po przyjeździe na miejsce, była ta sama rejestracja, jaką dostrzegł Calhoun. Samochód stał przed pokojem numer 14.

— Czy ona spała, gdy przyjechał?

— Nie. Gdy podeszła do drzwi, była w nocnej koszuli i szlafroku, ale była zupełnie rozbudzona.

— To pewna wiadomość? Czy może plotka?

— Tak napisali w gazetach. Szeryf trzymał język za zębami, tak samo Redfield. Magruder trochę mówił, ale wydaje mi się, że nie był dopuszczony do sprawy.

— Czy wyjaśniła, dlaczego nie spała o tej porze?

— Tak. Powiedziała, że był do niej telefon. Niedługo przed jego przybyciem.

— Kto dzwonił?

— Ktoś pomylił numer czy motel. Jakaś kobieta, która wydawała się na wpół pijana, chciała porozmawiać z facetem, który nie był tam nawet zameldowany.

Pokiwałem głową.

— Więc ona musiała przejrzeć wszystkie karty, żeby się upewnić?

— Tak.

Właśnie wtedy wszedł nowy klient.

Przeszedłem na drugą stronę drogi. Josie była w środku, sprzątając pokoje. Włączyłem klimatyzator i usiadłem, by pomyśleć, czy jest jakiś sens w tym, co robię. Jediną naprawdę oczywistą rzeczą było to, że wpycham palce między drzwi. W ciągu mniej niż dwudziestu czterech godzin zostałem ostrzeżony przez dwie różne grupy, że albo opuszczę miasto, albo stanie mi się krzywda. A skoro nie miałem zamiaru tego zrobić, musiałem być szalony.

Dwie grupy ludzi? Tak, tak musiało być. Redfield był skomplikowanym i potencjalnie wysoce niebezpiecznym człowiekiem, którego jeszcze nie całkiem rozumiałem, ale zwyczajnie nie wierzyłem, że może być skorumpowany — czy skorumpowany na tyle, by tym wszystkim kręcić. Być może typowa dla niego dzikość wypaczyła jego rozsądek, ale to, że ona jest winna popełnienia morderstwa, było wynikiem jego szczerego przekonania. Dlatego prawdopodobnie nie mógł uwierzyć, że był drugi niepokojący mnie facet, i dlatego miałem na głowie dwie oddzielne grupy, koniecznie chcące mnie się pozbyć.

I mogły to osiągnąć. Nie miałem co do tego żadnych złudzeń. Red-field miał za sobą powagę urzędu szeryfa i mógł zrobić parę sztuczek, naginając trochę prawo. Ale co do tego drugiego — powiedział, że kwas jest tylko namiastką. Było to wymowne. I złowieszcze.

Wszystko sprowadzało się do zamordowania Langstona. Coraz bardziej wyglądało na to, że ktoś z premedytacją próbował ją wrobić. Rozmowa telefoniczna tamtego ranka mogła być najprawdziwszą pomyłką, ale nie sądziłem, by tak było. Za bardzo pasowała do całości. Kobieta, która odstawiła samochód Stradera do motelu, wiedziała, że pół godziny później przyjedzie szeryf, by powiadomić panią Langston o śmierci męża, i że zaczerwienione i zmatowiałe od snu oczy osoby, która dopiero co się przebudziła, utrudnią sfalszowanie wszystkiego. A więc pani Langston musiała być rozbudzona. Wertowanie kart rejestracyjnych i dyskusowanie z pijaczką mogło to zagwarantować.

A zatem, gdyby człowiek chciał wziąć na siebie całą sprawę i próbować wszystko powiązać, od czego należało zacząć? W robocie z kwasem nie było żadnej wskazówki. Strader, pomyślałem. Wszystko zaczęło się od niego i od tego, po co tu przyjechał. Jak dotychczas, nikt nie odkrył, po co, a więc przynajmniej miałem równy start. Strader przybył z Miami. Dobrze, to nie stanowiło wielkiego problemu...

Zadzwoił telefon. Gdy odebrałem, usłyszałem przyciszony kobiecy głos.

— Pan Chatham?

— Tak. Kto mówi?

— Nie zna mnie pan, lecz mogę coś panu powiedzieć.

— O czym?

— Może o jakimś kwasie. O ile pan uważa, że byłoby to warte sto dolarów...

Zawiesiła na chwilę głos, a wtedy usłyszałem coś, co przyprawiło mnie o skok ciśnienia. Był to nierówny furkot tego wentylatora z uszkodzonym wirnikiem.

— Tak — powiedziałem, próbując ukryć podniecenie. — To może być tyle warte. Gdzie mogę spotkać się z panią?

— Nie może pan — odparła cicho. — Nie zaryzykowałabym tego dla tysiąca, nie mówiąc o stu dolarach. Ale jeżeli zdecyduje się pan zapłacić, zadzwonię... — Pisnęła nagle i rozłączyła się.

Rzuciłem słuchawkę na widelki i w trzech skokach wypadłem za drzwi. Wejście do Silver King było wyraźnie widoczne. Nikt nie wychodził.

Pobiegłem na drugą stronę. Gdy wpadłem do jadalni, przy ladzie stał samotny klient, a z kuchni z tacą w ręku wychodziła kelnerka. Zmusiłem się do zwolnienia kroku i podszedłem niedbale do baru.

Nie było nikogo, z wyjątkiem Olliego. Rozbierał i czyścił na rozpostartej na barze gazecie wielki kołowrotek. Rozejrzałem się oglupiały. Rzucił na mnie okiem i westchnął.

- Korozja — rzekł.
- Dokąd ona poszła? — zapytałem.
- Kto?
- Kobieta, która korzystała z kabiny telefonicznej.
- Tutaj? — Gapił się na mnie, marszcząc brwi. — Tu nie było żadnej kobiety. Nie było nikogo od czasu, kiedy pan wyszedł.

Rozdział 6

Mówił prawdę albo był największym aktorem wszech czasów. Lecz musiało być jakieś wyjaśnienie. Patrzył na mnie, jakbym nagle oszalał, gdy odwróciłem się i pognałem do wyjścia znajdującego się z tyłu obok kabiny. Po obu stronach krótkiego, ślepego korytarza znajdowały się pokoje wypoczynkowe. Obydwa były puste i nie było z nich żadnej drogi na zewnątrz.

Sprawdziłem kuchnię, prawie biegiem pokonałem hol i wyhamowałem obok kabiny. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej — wszedłem do środka, chwyciłem słuchawkę i przycisnąłem ją do ucha. Ollie nie kłamał; nikt stąd nie telefonował. Słuchawki używano by mniej niż minutę temu, a była chłodna jak całe klimatyzowane pomieszczenie.

Wtedy zgłupiałem, bo wiatraczek hałasował zupełnie tak samo jak ten, który słyszałem. I jak ten, który słyszałem wcześniej. Nie miałem co do tego wątpliwości. Zdezorientowany potrząsałem głową i podszedłem do baru.

— Winien jestem panu przeprosiny — powiedziałem do Olliego. I opowiedziałem mu o tej kobiecie, nie wspominając, po co dzwoniła.

Zadumany pokiwał głową.

— A zatem jest gdzieś drugi taki.

— Nie w tym mieście — powiedziałem. — Sprawdziłem wszystkie kabiny, z wyjątkiem sklepów i poczty. Nie mogli dzwonić stamtąd, bo słyszałem szafę grającą.

— To sam już nie wiem...

Usłyszałem, że otwierają się drzwi łączące bar z jadalnią, i odgłos kroków za sobą. Ollie sięgnął do lodówki, odkapslował butelkę piwa i postawił ją na barze po mojej lewej stronie. Odwróciłem się. Był to Pearl Talley. W dalszym ciągu miał na sobie tę samą koszulę, wzbogaconą o kilka nowych plam od jedzenia. Zwróciłem uwagę, że był większy, niż myślałem, ważył prawdopodobnie blisko dwieście funtów. Popatrzył łagodnie.

— Witam panów — rzucił i wyszczerzył się do nas z tak dziwną kombinacją niebieskookiej niewinności i szelmowskiego humoru, jak jakieś skończenie lubieżne, ale bynajmniej nieinteligentne dziecko.

Ollie przedstawił nas. Talley wyciągnął rękę.

— Czuję się zaszczycony tym, że pana spotkałem. Niech to licho, jeśli nie jest pan wielkim facetem. Przyjemnie było patrzeć na pana i starego Calhouna.

Potrząsnąłem jego ręką, życząc sobie po cichu, by miejscowy motłoch przestał porównywać mnie z Calhounem. Talley zdjął biały kapelusz, położył go na barze, wskazującym palcem lewej ręki, jak samochodową wycieraczką, starł pot z czoła i strzepnął zgarniętą wilgoć na podłogę. Bez kapelusza wyglądał starzej. Piaskowe włosy wycofały się na tył głowy, odsłaniając rozległą łysinę, tak błyszczącą i białą, jak wewnętrzna błonka ugotowanego jajka.

— Gorączka tu u nas dzisiaj jak w piekle — powiedział.

Miał akcent rodem z południowego pogranicza, który nawet w burlesce na scenie mógłby wydawać się przesadny, ale u niego był całkowicie naturalny. Kiedy indziej zaciekałby mnie, lecz teraz nie poświęcałem mu zbyt wielkiej uwagi. Moje myśli gonily się bezskutecznie w zakętym kole. Nie wymyśliłem sobie odgłosu wentylatora; słyszałem go. Byłem tego pewien. A w mieście nie było jeszcze jednej kabiny z hałasującym wiatraczkiem. O tym też byłem w równym stopniu przekonany. Więc co miałem z tym zrobić?

— Wiesz, co chcieli mi zrobić wczorajszego wieczoru Coulterowie? — Pearl zwrócił się do Olliego. — Chcieli mnie okraść ze wszystkiego, co mam. Za pomocą tych stworzonek...

Z kieszeni na piersiach wyjął dwa dziwne stwory i położył je na barze. Pomimo zaabsorbowania czym innym pochyliłem się do przodu, by je obejrzeć. Były to małe morskie muszelniki, spiralne i stożkowate.

— Co to jest? — spytałem. Ollie uśmiechnął się szeroko.

— Kraby pustelniki.

— Aha. — Wtedy sobie przypomniałem. Krab pustelnik zjada ślimaka i w jego muszli robi sobie domek albo znajduje pustą i ją zamieszkuje.

— Tak, przyjacielu — kontynuował sapiąc Pearl — chłopcy znaleźli je gdzieś na plaży i przyszli z nimi do mnie, i od razu jeden z nich rzuca hasło: Pearl, dlaczego nie mielibyśmy urządzić wyścigów krabów pustelników? Takich jak te, mówi. Kładzie się w całkowitej ciszy i czeka, i zakłada się, który poruszy się pierwszy.

Wyjął z kieszeni dolara i położył go na barze.

— Teraz ty dołoż jeden dolara, a ja ci pokażę...

— Nie, nie pokażesz. Jeden z nich na pewno jest martwy albo nafaszerowałeś go nowokainą, albo zahipnotyzowałeś... — wykpiwał go Ollie.

— Phi, a niby dlaczego — protestował Pearl. — Wiesz, że nie mógłbym nic takiego zrobić. A poza tym ty sam wybierasz swojego zawodnika.

— Słuchaj, bosonogi łgarzu — dobrodusznie powiedział Ollie. — Z tobą nie założylbym się nawet o to, czy jutro rano wzejdzie słońce.

Pearl wzruszył żałośnie ramionami, wrzucił muszelniki z powrotem do kieszeni i mrugnął do mnie.

— Człowiek nie może tu zarobić nawet kilku centów. — Popił piwa i obtarł usta grzbietem dłoni. — Hej, Ollie — ciągnął z łobuzerskim uśmiechem w swojej specyficznej gwarze — czy opowiadałem ci o tym wieśniaku, który chodził z tą nadętą babką? Jak to raz wszedł ci on do drugostoru i powiedział do faceta za ladą...

Doczekałem się posepnego końca i wyszedłem. Przed lokalem stał zaparkowany zmaltretowany pikap, należący przypuszczalnie do Pearl'a. Jego obryzane boki świadczyły, że w domu służył jako grzęda dla kur. Każde miasto ma swój charakter, pomyślałem; także San Francisco. Lepiej było zająć się znów sprawą pani Langston. Na chwilę odstawiłem na bok kwestię wentylatora. Kobieta, która do mnie dzwoniła, chciała mi coś powiedzieć, za określoną cenę. Obawiała się spotkania ze mną. Coś czy ktoś musiał ją przestraszyć i odłożyła słuchawkę. Być może zadzwoni jeszcze raz.

Zatrzymałem się przy biurze. Josie powiedziała, że nikt nie telefonował. Wróciwszy do pokoju, zapaliłem papierosa i usiadłem, sfrustrowany i atakowany przez ogrom pytań, na które nie mogłem udzielić odpowiedzi. Nie miałem dostępu do materiałów. Było to dziwne uczucie — to bycie zupełnie samym i bez określonego statusu: zawsze cieszyłem się prestiżem w miejskiej policji w San Francisco i zawsze mogłem korzystać z pewnych udogodnień, gdy potrzebowałem jakichś informacji, ale tutaj byłem wyrzutkiem. Zostałem wyrzucony z biura szeryfa i sam byłem podejrzany. Nie mogłem nawet porozmawiać z panią Langston; będzie pogrążona we śnie jeszcze przez kilka godzin.

Zatoczyłem pełne koło i znowu powróciłem do Stradera. Tu przynajmniej był jasny bieg wypadków i od tego chciałem zacząć. Sprawdziłem, jak stoję z pieniędzmi. Wciąż miałem osiem setek w czekach podróŜnych i trzysta siedemdziesiąt parę w gotówce. Deklaracja z banku w San Francisco pokazywała, że stan mojego konta wynosi dwa tysiące sześćset trzydzieści dolarów. W tej chwili stałem całkiem nieźle. Miałem jeszcze pieniądze, które otrzymałem od dziadka, nieco ponad dwadzieścia jeden tysięcy. Były one w obligacjach rządowych i w akcjach, nietknięte od sześciu miesięcy, kiedy to je odziedziczyłem.

Widocznie nie zamierzała telefonować po raz drugi. Czekałem niecierpliwie przez kolejne dziesięć minut, a potem pojechałem do miasta do agencji telekomunikacyjnej. Znajdowała się ona przy ulicy biegnącej równoległe do Springer. Poprosiłem o książkę telefoniczną Miami i prze-kartkowałem żółte stroniczki, szukając agencji detektywistycznych. Na chybił trafił wybrałem człowieka ogłaszającego się po prostu jako Victor Lane, detektyw; wszedłem do kabiny i zadzwoniłem. Miałem dość szczęścia, by go złapać.

— Co mogę dla pana zrobić, panie Chatham? — zapytał, gdy powiedziałem mu, jak się nazywam i skąd telefonuję.

— Są mi potrzebne wszystkie informacje, jakie można uzyskać o człowieku nazwiskiem Strader, który został zabity tu w Galicia w zeszłym roku w listopadzie. Pochodził z Miami. Nie znam jego imienia ani adresu, ale pan mógłby trafić na jego ślad...

— Hmm. Chwileczkę... Artykuły z gazet. Będzie tego dosyć dużo, panie Chatham. Przypominam sobie Stradera, jego sprawa została gruntownie zbadana.

— Wiem. Lecz nie mam do tego dostępu, nawet do artykułów w gazetach, a nie mam czasu, żeby przyjechać i samemu się w tym grzebać.

I zawsze istnieje ryzyko, że coś poplątali. Pan to zweryfikuje. Niech pan sprawdzi w gazetach i o ile to możliwe, na policji; do piątej powinien pan zebrać całkiem sporo — przynajmniej te materiały, które ukazały się w czasie dochodzenia. Zadzwoń pan do mnie do motelu Magnolia i przekaże mi je, a wtedy zobaczymy, czy jest jakiś haczyk, który można wykorzystać. Jaka jest pańska stawka? Powiedział mi.

— Dobrze. Od razu wyślę panu czek na sto dolarów jako zaliczkę. Tak będzie dobrze?

— Jasne. No to do piątej.

Wyszedłem na rozpaloną ulicę i spojrzałem na zegarek. Było kilka minut po pierwszej. Skręciłem za róg i w połowie przecznicy prowadzącej w stronę Springer znalazłem drugstor. Był to stary lokal, jeden z kilku w mieście nieposiadających klimatyzacji. Ponad siatkowymi drzwiami z sufitu zwieszał się wentylator, podobny do śmigła samolotu. Obracał się powoli, ostrzegając leniwie muchy, by trzymały się z daleka, lecz poza tym nie miał żadnego wpływu na temperaturę. W pomieszczeniu znajdowało się kilka stolików o marmurowych blatach i żelaznych nóżkach, stoisko z napojami chłodzącymi z marmurową ladą, a z tyłu kontuar i otwarte drzwi prowadzące do działu z lekarstwami. Nie było nikogo w zasięgu wzroku; lokal wyglądał tak, jakby wszyscy wybiegli z niego na ulicę, by zobaczyć, czy są jeszcze jakieś wieści o „Titanicu”, i zapomnieli wrócić.

Pod ścianą po lewej stronie stała kabina telefoniczna. Wszedłem do środka i zadzwoniłem do motelu. Josie powiedziała, że nikt nie próbował skontaktować się ze mną. To dziwne, pomyślałem; nie poddałaby się tak łatwo, gdy w grę wchodziło sto dolarów. Ktoś naprawdę musiał ją przestraszyć. A co z tym wentylatorem, który słyszałem? Znowu odstawiłem ten problem niecierpliwie na bok; nie było żadnego punktu zaczepienia.

Kiedy wyszedłem z kabiny, z apteki wylonił się właściciel i popatrzył na mnie badawczo. Wyglądał na sześćdziesiątkę, szczupły, kruchy mężczyzna w białej marynarce, z siwymi, precyzyjnie rozdzielonymi na środku włosami, w okularach bez oprawek i z pogodnymi szarymi oczyma. Wyszukał dla mnie zakurzoną paczkę kopert i z szuflady mechanicznej kasy wygrzebał trzycentowy znaczek. Usiadłem przy fontannie, wypisałem czek dla Lane'a i zaadresowałem kopertę. Zamówiłem colę. Właściciel zakrzętnął się i postawił ją na ladzie.

— Czy mieszka pan w tym mieście do dawna? — spytałem.
Uśmiechnął się dobrotliwie.

- Kupiłem ten lokal w dwudziestym siódmym.
 - Więc niech mi pan coś powie. Dlaczego sprawa Langstona wywołuje tak duże emocje? To nie jest jedyna niewyjaśniona zbrodnia na świecie.
 - Jest kilka powodów. To było brutalne, popełnione z zimną krwią morderstwo i jedno z nich uniknęło kary. To małe miasto i wszystko jest tu bardziej osobiste. Większość ludzi jest nieufna w stosunku do tych z południowej Florydy, zazdrości się im dużych pieniędzy, błyskotliwości i czego tylko się da, a ten przybysz był niesprawiającym dobrego wrażenia próżniakiem z Miami.
 - Jak długo mieszkał tu Langston? — zapytałem.
 - Powrócił zaledwie sześć miesięcy przed śmiercią, lecz urodził się tutaj.
 - Rozumiem. Chłopak z miasta.
- Pokiwał głową.
- To prawda. W pewnym sensie był przykładem miejscowego bohatera. Chłopak stąd, który wybił się na południowej Florydzie, a przynajmniej pokazał im, że nie jesteśmy gorsi. Zawsze byliśmy trochę dumni z niego. Był nie byle jakim graczem w football w Georgia Tech. W czasie drugiej wojny był oficerem na łodzi podwodnej, która zatopiła nie pamiętam ile ton japońskich statków. Po wojnie wszedł w interesy budowlane w Miami — tanie budownictwo. Zrobił duże pieniądze. Mówi się, że w tym czasie był wart blisko milion dolarów. Lecz najważniejsze, że nigdy nie stracił kontaktu, jak robi to wielu facetów, gdy odejdą stąd i odniosą sukces. Nawet po śmierci ojca — a był on dyrektorem szkoły średniej — dalej chciało mu się tu przyjeżdżać i polować na kaczki, łowić ryby i spotykać się z ludźmi.
 - Ale co się stało? Dlaczego wycofał się z interesów i kupił motel? Przecież miał zaledwie czterdzieści siedem lat, prawda?
 - To prawda. Uderzyło w niego naraz kilka spraw. Był rozwód, z ustaleniem prawa własności...
 - Aha. To jak długo był mężem obecnej pani Langston?
 - Nieco mniej niż rok, jak sądzę. Pobrali się na cztery czy pięć miesięcy przed przyjazdem tutaj i kupieniem motelu.
 - Jakie były inne przyczyny?
 - Zdrowie — odpowiedział. — I interesy, które napełniały go goryczą. Rozpoczął zagospodarowywanie dużego obszaru, gdy został wciągnięty w zatarg o tytuł własności. Stracił go, a na to nałożył się jeszcze podział

wspólnoty majątkowej w czasie rozvodu i właśnie to go zniszczyło. Lecz głównym powodem było jego zdrowie. Gdzieś w pięćdziesiątym czwartym czy piątym miał łagodny atak serca, a potem naprawdę poważny i doktorzy powiedzieli, że albo przystopuje, albo umrze przed pięćdziesiątką. Więc wrócił tu i za to, co mu zostało, kupił ten motel. Zapewnił mu on utrzymanie, a ponadto Langston mógł robić to, co lubił — polować na przepiórki, łowić okonie i kibicować drużynie footballowej. A potem, po sześciu miesiącach został zabity z zimną krwią, zarżnięty jak świnia w rzeźni. Jasne, że rozgoryczenie miejscowych wzięło górę. Rozwalono mu głowę, wrzucono do rzeki i zostawiono tak, by wyglądało na wypadek. Przerazenie bierze, gdy się o tym pomyśli. Cóż to za kobieta musi być, na miłość boską?

— Nie tak to się powinno określić — powiedziałem. — Bardziej właściwe wydaje się pytanie: *Któż* to jest?

Delikatna i zasadniczo łagodna twarz straciła wyraz, jak gdyby zaciągnął na nią kurtynę. Przyzwyczailem się do tego.

— Może nigdy nie będzie to wiadome — powiedział zza zaciągniętej kurtyny.

— A co z ubezpieczeniem? — zapytałem. Ona nie miała pieniędzy. — Kto był spadkobiercą? I czy ubezpieczenie zostało wypłacone?

Pokiwał głową.

— Pięćdziesiąt tysięcy czy coś koło tego. Dla jego córki. Zostały wypłacone, a raczej są ulokowane jako kapitał powierniczy. Ona ma dopiero trzynaście lat.

— Nie było innej polisy?

— Nie. Nie mógł podjąć nic więcej, gdy powtórnie się ożenił.

— A zatem gdzie tu motyw tej kobiety? Nie były nim pieniądze.

— Nie wiadomo, kim ona była — przypomniał ostrożnie zza zaciągniętych zasłon. —Więc naturalnie nie wiadomo, jaki miała motyw. Nie wiedzą o niej nic, poza tym, że była ze Straderem.

Co bardzo wszystkim odpowiada, pomyślałem. Było to zamknięte koło, jak dwa węże pożerające jeden drugiego: była niemoralna, ponieważ była ze Straderem, i była ze Straderem, ponieważ była niemoralna. Jak można się z tym zgodzić?

Wyszedłem. Wrzuciłem kopertę do skrzynki i pojechałem do motelu. Gdy wszedłem do biura, zza zasłony wynurzyła się Josie. Powiedziała, że jakieś dziesięć minut temu był do mnie telefon.

— Kobieta? — zapytałem.

- Tak. Powiedziała, że zadzwoni jeszcze raz.
- Dzięki. Co z panią Langston?
- Śpi spokojnie.
- To dobrze. Bądź w pobliżu.

Poszedłem do pokoju i usiadłem, patrząc na telefon i próbując sprawić, by zadzwonił. Minęło dwadzieścia minut, gdy rozległ się sygnał. Podniosłem słuchawkę i kobiecie głos zapytał cicho:

- Pan Chatham?
- Tak.

— Czy jest pan ciągle zainteresowany moją propozycją?

— Tak. Co się stało wcześniej? — Nasłuchiwałem uważnie, lecz teraz w tle nie było ani śladu hałasującego wentylatora.

— Nieomal zostałam złapana i musiałam przerwać rozmowę. Telefonuję z innego miejsca. Niech pan słucha — będzie to więcej pana kosztowało. Trzy setki; bierze pan albo nie.

— Więc ten pierwszy telefon był tylko podpuchą? Niech pani nie próbuje nabijać mnie w butelkę.

— Nie robię tego — odparła. — Powiedziałam panu: albo pan bierze, albo nie. Lecz jeśli wszystko panu sprzedam, będę musiała wynieść się stąd na dobre i będę potrzebowała pieniędzy. Odgadną, kto panu to powiedział, a ja nie chciałabym obudzić się z kwasem na twarzy.

— Co dostanę za te trzy stówy?

— Nazwiska. Człowieka, który wykonał tę robotę i tego, kto go wynajął.

— Nazwiska to nie wszystko. Potrzebuję dowodów.

— Dostanie je pan. Niech pan słucha — chcą zrobić to jeszcze raz. Oczywiście to będzie inny człowiek, ale dam panu jego rysopis i powiem, na którą noc to planują. Czego innego mógłby pan potrzebować?

Przemyślałem to.

— Pewnie, mógłbym złapać tego człowieka. Ale on może nic nie powiedzieć, więc potrzebny mi facet, który za nim stoi.

— Niech pan pomyśli — powiedziała z niecierpliwością. — Będzie pan miał jego nazwisko. Jeżeli policja złapie go w tym samym czasie i powie mu, że jego współnik zaczął sypać, to skąd on niby będzie wiedział, czy to prawda czy nie? On pęknie.

— Możliwe — zgodziłem się. To była stara sztuczka, ale ciągle działała.

— A zatem ubijamy interes?

- Ubijamy. Gdzie i jak mogę się z panią spotkać?
- Nie może pan, już mówiłam. Zbliżyć się do pana na tyle, na ile sama będę chciała.
- Wobec tego jak mam dać pani pieniądze?
- W gotówce. Włoży je pan do zwykłej koperty i wyśle na nazwisko Gertrude Haines, na General Delivery, w Tampa.
- H a i n e s czy H a y n e s ?
- Co za różnica? — zapytała znużonym tonem. — Niech pan je wyśle w dwudziestkach.
- A skąd mam wiedzieć, że potem pani do mnie zatelefonuje i powie mi to wszystko?
- Nie może pan tego wiedzieć. Ale jeśli ma pan inną propozycję, to proszę.
- Sam wiem co nieco o takich sztuczkiach — odparłem. — I zanim wybulę forszę, chcę dostać coś bardziej wartościowego niż tanią gadkę.
- Cóż, nie wiem, jak panu pomóc. Albo pan mi zaufa, albo ja zaufam panu. A ja nie ufam nikomu. Więc co robimy?
- Niech pani spróbuje sprzedać to policji. Być może oni wysuną pani jakąś propozycję.
- Mędrak z pana. No cóż, myślałam, że pana to zainteresuje...
- Interesuje mnie to — przerwałem. — Ale nie jestem pierwszy naiwny. Jeżeli będę skłonny wysłać pani trzysta dolarów na ślepo, muszę się upewnić, czy pani wie, o czym pani mówi.
- Taaak — powiedziała wolno. — A to że kwas był z tych używanych do akumulatorów. I pochodził z obrabowanej ciężarówki...?
- To brzmi nieźle. Pomijając, że wciąż nie wiem, czy to prawda. To znaczy, o tej ciężarówce.
- Westchnęła z rozdrażnieniem.
- Boże, twardy pan w interesach. — Przerwała na chwilę, a potem mówiła dalej: — A więc powiem panu, gdzie jest reszta kwasu...
- To już lepiej.
- Ale to samo w sobie nic panu nie da, bo nie ma żadnego związku między tym, gdzie on jest, a osobą, która go tam schowała. Kwas znajduje się na opuszczonej farmie, a człowiek, do którego ona należy, nigdy tam nie mieszkał.
- Nieważne. Niech mi pani powie, gdzie leży ta farma.
- Nie tak szybko. Za bardzo pana ponosi. Gdyby wyglądało na to, że ktoś pana śledzi, niech pan tam nie jedzie. Oni nie domyślają się, że ja

wiem, gdzie jest ten kwas, ale byłoby kiepsko, gdyby zaczęli dochodzić, kto panu dał informację. Nie obchodzi mnie, co się z panem stanie, ale ja nie życzę sobie być zbita na kwaśne jabłko.

— Niech się pani nie martwi — powiedziałem. — Będę ostrożny. Dalej.

— No dobrze. Pojedzie pan z motelu na wschód za betonowy mostek nad strumieniem. To jakieś cztery mile. Tuż za nim, może z pół mili, jest gruntowa droga, skręcająca w lewo między drzewa, i kilka skrzynek na listy. Myślę, że na jednej jest nazwisko J. Pryor. Minie pan dwa domy, zagrodę dla bydła i pochylnię do wprowadzania krów na ciężarówkę, a potem nie ma nic przez trzy mile, poza sosnami i palmetto. Ta farma znajduje się po prawej stronie. Dom spłonął dawno temu i stoi tylko komin, a z tyłu jest stara stodoła. Kwas znajduje się na strychu, w ośmiu szklanych pojemnikach ukrytych pod stertą siana. Znajdzie je pan bez kłopotu, bo razem z nimi jest tam kilka pięciogalonowych baniek farby.

— Tak.

— Kiedy pan wróci, niech pan wyśle pieniądze. Zadzwoń do pana w tygodniu, tak szybko, jak tylko będę wiedziała, kto został wynajęty do tej nowej roboty.

— Kiedy?

— Muszą czekać, dopóki nie otworzy pan motelu, prawda?

Najwidoczniej śledzili każdy mój ruch. Czuję się jak człowiek próbujący prowadzić intymne życie w oświetlonym oknie wystawowym.

— W porządku — powiedziałem. — Nawiasem mówiąc, skąd pani dzwoni?

— Bystry pan jest.

— A skąd pani wcześniej dzwoniła?

— Cóż, myślę, że panu powiem. Skądinąd.

I odłożyła słuchawkę.

Ruch na drodze był średni. Z tyłu, w różnych odległościach ode mnie, widziałem pięć samochodów. Zwolniłem do czterdziestu pięciu mil na godzinę i obserwowałem je badawczo w lusterku. Około pół mili przede mną, po prawej stronie, znajdował się motel El Rancho. Obejrzałem go, gdy przejeżdżałem obok. Był tej samej klasy co Spanish Main, może nieco większy. Składał się z dwudziestu pięciu czy trzydziestu kwater rozrzuconych wokół półkolistego podjazdu, z basenem i licznymi kolorowymi parasolami i ogrodowymi mebelkami. Pomijając całą resztę,

w biznesie motelowym pani Langston musiała borykać się z ostrą konkurencją.

Trzy samochody wyprzedziły mnie, jadąc z prędkością sześćdziesięciu czy sześćdziesięciu pięciu mil i zniknęły z pola widzenia. Następny nadjechał z tyłu, minął dwa wozy trzymające się ciągle za mną i mnie i zniknął. Pozostałe nie kwapiły się, by mnie wyprzedzić; jazda czterdziestką piątką najwidoczniej bardzo im odpowiadała. Gdy przejechałem betonowy most, trzymali się cały czas w tej samej kolejności. Zobaczyłem skrzynki pocztowe, zapamiętałem sobie położenie gruntowej drogi i przyspieszyłem do sześćdziesięciu. Odpadli, a po kilku minutach straciłem ich z zasięgu wzroku. Dziesięć mil dalej zauważyłem drogę prowadzącą w prawo. Skręciłem, zatrzymałem się za pierwszym zakrętem i poszedłem pieszo do miejsca, z którego mogłem obserwować szosę. Po dwóch czy trzech minutach minęli mnie, jadąc z tą samą umiarkowaną prędkością. Uwolniłem się od nich. Zawróciłem i poszedłem do samochodu. Gdy dojechałem do skrzynek pocztowych i skręcałem w boczną drogę, nie było za mną nikogo, nikt też nie nadjeżdżał z przeciwnika, z wyjątkiem dużej ciężarówki z przyczepą.

Na pierwszej mili minąłem dwa zabudowania. Za zagrodą dla bydła droga pogorszyła się, biegnąc wśród karłowatych sosen i palmetto. Kurz kłębił się za mną w gorącym, spokojnym powietrzu. Droga po dziesięciu minutach wspięła się na łagodne wzniesienie i pojawiły się pola, nachylające się w prawą stronę. Były one opuszczone, zarośnięte zielskiem i wypaloną trawą. Od drogi odbijały dwie koleiny, prowadzące do starej zagrody na szczycie łagodnego wzniesienia. Skręciłem i zatrzymałem się w cieniu samotnego drzewa, rosnącego przed resztkami fundamentów i szerniałym od ognia monolitem komina, które stały w miejscu domu.

Kiedy zgasilem silnik i wysiadłem, wokół mnie zamknęła się senna cisza letniego popołudnia. W tym miejscu było coś spokojnego, ponadczasowego i całkowicie odizolowanego, co czyniło je prawie pociągającym. Malarz mógłby je pokochać, pomyślałem. Powietrze drżało w upale nad pustą przestrzenią pól, rozciągających się za starą stodołą w kierunku lasu. Stała ona jakies sto czy osiemdziesiąt jardów za pogorzelskiem. Była szara i skołatana przez burze, miała dach pełen dziur i chyliła się ku upadkowi. Rozgniotłem papierosa i ruszyłem ku niej przez łamliwe chwasty. Rzępy czepiały się do moich spodni i sznurowadeł. Drzwi znajdowały się z tej strony. Były zamknięte, ale nie widziałem żadnej kłódki. Nad nimi był mały

kwadratowy otwór, przez który mogłem dostrzec skraj sterty siana na strychu.

Drzwi były zabezpieczone podwójnym drutem, przeciągniętym przez dwie dziury i skręconym razem na zewnątrz. Rozplatałem go, lecz otworzyłem je tylko na szerokość szpary, przez którą można było przecisnąć się do środka, ponieważ osadził się pod nimi piasek, zmywany ze wzniesienia w czasie deszczów. Wnętrze było mroczne, pachniało starym kurzem, wysuszonym nawozem i słomą. Wąskie promienie słońca przeciskały się przez szczeliny w ścianach, oświetlając drobiny kurzu zawieszony w nieruchomym powietrzu. Na sprężystym podłożu moje buty nie czyniły żadnego hałasu. O lewą ścianę, mniej więcej w połowie jej długości, stała oparta drabina, prowadząca na strych z sianem. Ponad nią był kwadratowy, szeroki na trzy stopy otwór. Górny szczebel złościł się w promieniu światła, wpadającym przez jedną z dziur w dachu. W martwej ciszy przeszedłem przez stodołę i wspiąłem się na drabinę.

Miałem właśnie wsunąć głowę w otwór, moje oczy znajdowały się na poziomie ostatniego szczebla, gdy zatrzymał mi się oddech, a skóra między łopatkami naprężyła, gdy przebiegł przez nią dreszcz. W grubej warstwie kurzu, gdzie snop światła łamał się na szczeblu, odcisnięte były świeże ślady czterech palców i części dłoni. Wyrzuciłem nogi do tyłu i odepchnąłem się od szczebla, i czułem się tak, jakbym przepychał się w dół przez lepkie błoto czy smołę, i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że wiszę w powietrzu, niezdolny, by spaść, jak balon napęczniony helem; i wtedy huknął za mną wystrzał, porażając mi bębenki. Ból, jak gorący kolec do kruszenia lodu, przeszył mi czubek głowy, a w powietrzu zawirował kurz i latające odłamki, i wtedy wreszcie spadłem, przekręcając się trochę w locie, próbując spłynąć w mrok pode mną i uciec od śmiertelnego promienia słońca. Wylądowałem na obu stopach, ale straciłem równowagę, przewróciłem się na plecy i przetoczyłem, wszystko jednym płynnym ruchem, i kiedy stanąłem na nogi, spanikowany wlepiłem oczy w otwór nade mną. W plamie światła zobaczyłem zgiętą nogę, odzianą w drelich, i muskularną rękę, i kołyszące się jeszcze po wystrzale dwie lufy strzelby.

Odepchnąłem się i zawróciłem, i znów rozległ się huk wystrzału. Jeszcze raz poczułem ostrze bólu, tym razem wzdłuż lewej ręki od ramienia po łokieć, a pocisk przegrzebał sypki nawóz i kurz i wyrzucił go w powietrze wokół mojej głowy i w moje oczy. Byłem oślepiiony. Wyprostowałem się, uderzyłem w ścianę i znów upadłem. Podniosłem się, zatoczyłem, tarłem

ręką po twarzy, chcąc oczyścić oczy, i czułem lepkość krwi zmieszanej z kurzem, ale trochę mogłem widzieć, na tyle, by rozróżnić wąski prostokąt światła, który oznaczał drzwi. Lecz w chwili, gdy odwróciłem się i rzuciłem w ich kierunku, usłyszałem nad sobą ostry szczepek wyrzutnika łusek, a potem uderzenie, gdy tamten zamykał zamek przeladowanej strzelby, i w tym samym czasie szybki i przerażający szelest siana, gdy biegł w stronę frontu strychu. Byłem w pułapce.

Podczas gdy przeciskałbym się przez na wpół zablokowane drzwi, on siedziałby prosto nade mną, wychylając się z otworu w ścianie z lufami dubeltówki mniej niż sześć stóp od mojej głowy. Rozpadłbym się na dwie części, jak ser pod ostrzem topora. Zmieniłem kierunek i trzasnąłem ręką o ścianę, powstrzymując się przed wejściem w pole ostrzału i pocięciem na kawałki. Rozejrzałem się. Nie było innej drogi na zewnątrz; wszystko, co musiał zrobić, to zeskoczyć na ziemię i przyjść po mnie.

Wtedy mój umysł zaczął funkcjonować trochę lepiej i doszedłem do wniosku, że gdzieś musi być jakieś inne wyjście, ponieważ on nie wchodził tymi drzwiami co ja. Biegłem, gdy usłyszałem ciężkie dudnienie kroków na zewnątrz, i pokonałem już trzy czwarte drogi do tylnej ściany, gdy światło za mną zgasło, i wiedziałem, że on przeciska się ze swoją strzelbą przez drzwi. Lecz przede mną nie było śladu drzwi czy jakiegoś otworu. I minąłem już drabinę. Zanim zdołałbym zawrócić, wspiąć się na strych i próbować uciec tą drogą, on dopadłby mnie i zabił bez zbyteń pośpiechu. Nie miałem nic do zrobienia poza posuwaniem się do przodu. Słyszałem, jak szamoce się z drzwiami. Szaleńczo wodziłem wzrokiem po szczelinach światła przede mną i raptem zobaczyłem tę jedną, która była szersza na dole niż u góry. Musiała znajdować się tam deska, którą odbił, by wejść do środka. Uderzyłem w nią głową, nie zmniejszając szybkości. Ustąpiła, a prawym ramieniem obluzowałem sąsiednią i wypadłem na zewnątrz w oślepiające słońce, walcząc o utrzymanie równowagi, bo gdybym teraz upadł, byłbym martwy. Jakoś utrzymałem się na nogach i gdy znów mogłem kontrolować swoje ruchy, pochyliłem się i ostro skręciłem w lewo, jak obrońca w narożnik, by uciec z linii strzału.

Wszystkie mięśnie na plecach napięły się w lodowate węzły, gdy gnałem przez otwartą przestrzeń, spodziewając się, że w każdej chwili pocuję uderzający w nie nabój, ale za mną panowała cisza. Włączyłem jeszcze wyższy bieg i zaryzykowałem spojrzenie przez ramię. Nie było ani śladu tamtego, a znajdowałem się prawie sto jardów od rogu stodoły, dobrze za niebezpiecznym zasięgiem dubeltówki. Znów skręciłem ostro w lewo,

kierując się w stronę samochodu, zanim mógłby mnie wyprzedzić. Biegłem i oglądałem się za siebie, oddychając ciężko, i w trakcie gmerałem w kieszeni, szukając kluczyków. Nie było go w zasięgu wzroku. Nawet nie wyszedł. Jego strzelba była bezużyteczna na taki dystans, więc siedział po cichu, czekając, aż odjadę. Dopóki nie wiedziałem, kim jest, zawsze będzie mógł spróbować jeszcze raz. Wzruszyłem ramionami. Może się nie obawiać, że zawrócę, by na niego popatrzeć; dubeltówka w bezpośrednim zasięgu jest jedną z najbardziej skutecznych i paskudnych broni w świecie.

Wgramoliłem się do samochodu i wyjechałem na drogę, zdając sobie sprawę, że krew kapie po całym siedzeniu. Cały czas musiałem wycierać oczy. Gdy przejechałem milę, zatrzymałem się i wysiadłem, by oszacować poniesione szkody. Miałem wrażenie, że strzelał śrutem, ale rany bolały straszliwie i zapaskudzały samochód, bez względu na to, czy upływ krwi był poważny, czy też nie. Pomacałem czubek głowy. Skóra była rozdarta na długość trzech cali w miejscu, gdzie przeorała ją śrucina, ale śrutu nie było. Rozerwałem koszulę, rozsiewając guziki po drodze, wytarłem krew i kurz z twarzy i popatrzyłem na ramię. Pojedyncza śrucina, zanim utknęła, wyrysowała w nim długie i pogłębiające się w kierunku łokcia cięcie. Wyczuwałem ją w mięśniu. Wydawała się duża. Przynajmniej numer 2.

Pomyślałem o pierwszym strzale. On nie mógł znajdować się dalej ode mnie niż o sześć stóp, przy takiej odległości zabłąkany śrut nie mógł rozproszyć się dalej niż na ułamek cala od reszty. Gdybym cofnął głowę o ułamek sekundy później, eksplodowałyby jak upuszczony arbuz. Dotarło to powoli do mnie. Zrobiło mi się słabo, poczułem się wstrząśnięty; musiałem usiąść.

Osunąłem się na koniec siedzenia i wyszperałem papierosa, ale zamienił się w papkę, zanim zdążyłem go włożyć do ust. Pozwoliłem mu upaść w kurz na drodze obok małych kropelek czerwieni i wsłuchałem się w brzęczenie jakiegoś owada. Było coś deprymującego w sposobie, w jaki mnie wymanewrowali. Wykorzystali najstarszy w świecie numer i wyprowadzili mnie w pole jak żółtodzioba.

Byli dobrzy; byli tak dobrzy, że mnie przestraszyli. Anonimowy cynk, dzięki któremu mógłbym znaleźć kwas, gdybym pojechał do tego ustronnego miejsca, powinien był natychmiast postawić mnie na baczność. A przynajmniej powinienem był coś podejrzewać i zachować ostrożność. Ale przecież to nie jej o to chodziło, to ja sam tego się domagałem. Jej

informacja miała dotyczyć czegoś innego. Namówiłem ją wbrew jej woli, by powiedziała mi o tym kwasie. A wtedy ona ostrzegła mnie, że mogę być śledzony. W tym czasie on już czekał na mnie na tym strychu z dubeltówką.

Czy ci ludzie naprawdę byli tylko małomiasteczkowymi kmiotkami?

Rozdział 7

Doktor Morley rzucił śrucinę na białą emaliowaną powierzchnię stołu i chrząknął.

— Ho, ho! Na gęsi. — Był potężnym, rumianym mężczyzną z naturalną rubasnością i serdecznym nastawieniem, a przy tym z umiejętnością przystosowawczą kameleona, nabytą w ciągu lat spędzonych w kontakcie z pacjentami. Był duży, zdrowy i względnie nieszkodliwy, traktował mnie jak prawdziwy mężczyzna prawdziwego mężczyznę, z poczuciem wisielczego humoru. — Z pewnością nie polował na przepiórki, co?

— Nie. — Może sam mógłbym wymyślić coś śmiesznego, gdybym przestał słyszeć dubeltówkę strzelającą tuż za moją głowę. — To była dwururka — dodałem i trochę skrzywiłem się z bólu, gdy zdezynfekował nacięcie i zaczął nakładać opatrunek.

— Och — wyszczerzył zęby. — Wobec tego niewiele mógł nią zrobić.

Chyba że uda mu się to następnym razem, pomyślałem. Nie miałem pojęcia, kim był czy jak wyglądał. Jediną rzeczą, jaką wiedziałem na pewno, było to, że nie szukałem już po prostu chuligana, który polewa pokoje kwasem i który, gdyby został złapany, zarobiłby kilka miesięcy w więzieniu okręgowym. Nie leczy się mało ważnego bólu głowy za pomocą chirurgii mózgu.

— Lepiej niech mi pan da zastrzyk przeciwtężcowy — powiedziałem. — Nie pamiętam, kiedy miałem robiony ostatni, a tam było pełno gnoju.

— Och, dostanie go pan, lecz najpierw chcę zrobić małą mereżkę na tej głowie. Mam nadzieję, że nie jest pan zbyt przywiązany do swojej fryzury...?

— Nie. Ważne, że głowa ciągle jest na swoim miejscu, a nie rozprysnięta na ścianie jakiejś brudnej stodoły.

— Zaraz poczuje się pan lepiej. Domyśla się pan, kim on był albo dlaczego to zrobił?

— Nie.

— Muszę zawiadomić policję, rozumie pan. Rana postrzałowa.

— Jasne. — Skoro o tym mowa, równie dobrze mógłby zawiadomić Garden Club i najbliższy oddział Towarzystwa Literackiego. Potrzebowaliśmy wszelkiej pomocy.

Zatrzymawszy się w motelu, całkiem dobrze zatamowałem krwawienie i nim pojechałem taksówką do miasta, zmieniłem ubranie. Recepcjonista w gabinecie doktora Grahama powiedział, że jest on na wezwaniu, i zarekomendował Morleya, przyjmującego w tym samym korytarzu. Ich gabinety znajdowały się w kompleksie medyczno-stomatologicznym, zatłoczonym jak królikarnia, zajmującym pierwsze i drugie piętro nad salonem piękności i apteką w pobliżu wschodniego krańca ulicy Springer. Spojrzałem na zegarek i pragnąłem, żeby się pospieszył. Była prawie czwarta, a musiałem być z powrotem o piątej, by odebrać telefon od Lane'a. Doktor, po wystrzyżeniu części włosów, zaczął w końcu zakładać szwy. Później dał zastrzyk przeciw-tężcowy.

— Jest pan jak nowy — powiedział i sięgnął do telefonu. — To nie zdarzyło się w mieście, prawda?

— Nie. Podlega jurysdykcji szeryfa.

— Hmm. Zobaczmy. Nazwisko... Miejscowy adres... Czy powinienem jeszcze coś im powiedzieć?

— Nie. Z wyjątkiem tego, że zanim pan im powie, że zostałem postrzelony, powinien pan się upewnić, że to nie oni to zrobili.

Zacząłem się zbierać.

— Ale nie wyjeżdża pan, prawda?

— Nie — powiedziałem. — Teraz idę do biura szeryfa.

Zapłaciłem jego recepcjoniście, wstąpiłem do sklepu, by kupić tani słomkowy kapelus, mający chronić moją głowę przed słońcem i wszystkim widzącymi spojrzzeniami tubylców i poszedłem do gmachu sądu. Czekali na mnie Magruder i wielki rudowłosy pomocnik szeryfa, którego nazwiska zupełnie nie łąpałem, bo nikt nigdy nie pokwapił się, by mi go przedstawić. Miał bardzo jasne, szare oczy, bazaltową bryłę szczęki i owłosione, czerwone ręce, które miały zbyt mocno poobijane kostki, by można było im zaufać. Zabrali mnie do jednego z tylnych biur, przetrzepali najpierw indywidualnie,

a potem zbiorowo, wcisnęli w krzesło i stanęli nade mną, wyszczekując pytania. Widocznie bycie postrzelonym było poważnym przestępstwem. Pomimo całego tego pomysłowego przesłuchania udało się mi jakoś opowiedzieć im, co się stało.

— Gdzie jest pański pistolet? — szczerkął Magruder.

— Nie mam pistoletu. Ani zezwolenia na broń.

— Brał pan udział w strzelaniu bez pistoletu?

— To nie była strzelanina. Zostałem postrzelony dwa razy i uciekłem.

Nie dlatego, że jestem naprawdę tak głupi, by potrzebować aż dwóch strzałów, by mnie to ruszyło, ale byłem unieruchomiony i nie miałem możliwości manewru.

— Kim był ten człowiek?

— Mówiłem panu. Nie widziałem nic, z wyjątkiem jednej nogi i ręki. Chyba był ubrany w spłowiały kombinezon. I miał całkiem dużą rękę. Strzelał z dubeltówki, prawdopodobnie drogiej.

— Zabił go pan? Gdzie jest ciało?

— Nie, nie zabiłem go. Próbowalbym, gdybym miał pistolet.

— Niech pan jeszcze raz opisz to miejsce.

Opisałem je jeszcze raz.

Popatrzyli jeden na drugiego i pokiwali głowami.

— Farma starego Willa Noble'a — orzekł Magruder. — Wokół jest sto mil przestrzeni, na której można ukryć ciało.

— Sądzę, że jemu też to przyszło do głowy. — Zapaliłem papierosa. Wielki rudzielec pochylił się niedbale i wytrącił mi go z ust.

— Zadepcz go, przyjacielu — powiedział.

Zadepstałem. Zastanowiłem się, gdzie jest Redfield. Nie, że mógłby być w bardziej przyjemnym nastroju niż oni, ale kiedy musiałem tu siedzieć, odpowiadając bez końca na pytania, podczas gdy bolała mnie głowa, a człowiek, który próbował mnie zamordować, poszedł spokojnie do domu i położył się do łóżka, to przynajmniej mogłyby to być inteligentne pytania.

— Gdzie jest samochód? — zapytał Magruder.

— Przed motelem — odpowiedziałem.

Magruder kiwnął na rudzielca.

— Jedź tam i przetrząśnij go. Pistolet, plamy krwi...

— Jeżeli obejrzy go pan uważnie, może znajdzie pan ślady krwi na przednim siedzeniu — powiedziałem. — Jechałem dziewięć mil z otwartymi ranami na głowie i ramieniu.

— Nie ma pan krwi na ubraniu.
— Przebrałem się. Stare ubranie znajdzie pan w wannie. A raczej mógłby pan znaleźć, zważywszy, że nie może pan marzyć o przeszukaniu pokoju bez nakazu. To ubranie całe jest we krwi. Od tych ran.

— To pan tak mówi.

— Jest dość krwi, by sprawdzić grupę. Czy może być coś prostszego?

— Mógłbym porozmawiać z tym facetem — wtrącił rudy.

— Co ci mówiłem, gdzie powinieneś być? — rzucił Magruder.

Czułem się coraz gorzej i nie obchodziło mnie, co zrobiją.

— Jaka jest kara — spytałem — za bycie postrzelonym ze strzelby? Może zmienię swoją linię obrony...

Zignorowali mnie.

— Gdy skończysz u niego — Magruder zwrócił się do rudzielca — jedź do tej starej stodoły i rozejrzyj się.

Rudzielec wyszedł. Zapomniałem o zasadach panujących w tym domu, włożyłem do ust drugiego papierosa i zapaliłem. Magruder rzucił go na podłogę. Ale była pewna odmiana. Sam go zdeptał.

— Dzięki — powiedziałem.

Usiadł przy biurku i gapił się na mnie zimno. Ja gapiłem się tęsknie na papierosa.

— Czy jestem aresztowany? — zapytałem. — A jeżeli tak, to pod jakim zarzutem? Robienia za nielegalny ruchomy cel?

— Powiedzmy, że jest pan zatrzymany w celu przesłuchania, dopóki on nie wróci.

— Jak pan myśli, ile czasu zajmie mu przeszukanie tych stu mil kwadratowych? Pół godziny? Mam spotkanie o piątej.

— Ze swoją przyjaciółką? Myślałem, że ma sraczkę ze strachu.

— Jest w łóżku z powodu kompletnego załamania nerwowego i fizycznego — powiedziałem grzecznie. — Może to miał pan na myśli. — Nie wzruszyło go to, ale możliwe, że dobrze się stało. Znajdowałem się w zbyt kiepskim położeniu, by pozwolić sobie na prowokowanie gliniarza. Moje uszy mogłyby zostać poszatkowane lufą pistoletu, a ja zarobiłbym trzydzieści dni w pudle.

Usłyszałem, że ktoś idzie korytarzem. Był to Redfield. Na głowie miał kapelusz, najwyraźniej właśnie przyszedł. Wyglądał na wściekłego. Opierając się o futrynę, prawie trzydzieści sekund wlepił we mnie ponure spojrzenie, zanim się odezwał.

— No dobrze. To kogo pan zabił?
— Nikogo. Nie brałem udziału w strzelaninie i nie...
— Wystarczy — rzucił sucho. — Dojdziemy do tego za minutę. Pomyślałem, że może chciałby pan wiedzieć, Chatham, że właśnie dostałem odpowiedź z San Francisco.

— Tak?

— Brutalne postępowanie. To brzmi nieźle, prawda?

Magruder zastrzygł uszami, zrozumiałem, że była to dla niego nowina — nie wiedział, że Redfield wysyłał telegram.

— O co chodzi? — zapytał szybko. — Co ta mała tam nabroiła? Dlaczego wykopano go z tamtejszej policji?

Redfield pokiwał głową.

— To prawdziwy brutal. I kiedy w San Francisco nie mogli go już znieść, przyjechał tutaj, by nam zaprezentować swoje talenty.

— A zatem co o nim wiesz? — zapytał Magruder, oczy błyszczały mu z podniecenia.

Redfield zignorował go.

— A więc, Chatham, co ma pan do powiedzenia?

— Nic.

— Och, śmiało. — Uśmiechał się lekko, ale jego spojrzenie było ostre.

— Skoro przysłali panu telegram, to opisali panu wszystko, nie połowę. A zatem skoro pan chce zlekceważyć resztę, dlaczego ja mam się tym przejmować?

— A, pewnie! — powiedział pogardliwie. — Donieśli, że pan zrezygnował. Czyż nie robi się tak zawsze?

— Zrezygnowałem. Dobrowolnie. Zostałem zawieszony na trzydzieści dni, ale przed upływem terminu postanowiłem całkowicie się zwolnić. — Zastanowiłem się, dlaczego zwracam sobie głowę wyjaśnieniami; rzadko komuś się tłumaczyłem. Było to dziwne, lecz wbrew wszystkiemu był on tym rodzajem gliniarza, jaki człowiek instynktownie lubił i szanował.

— Oczywiście. I nie był pan winien stawianym zarzutom...

— Byłem — odpowiedziałem. — Byłem winny.

Popatrzył na mnie dziwnie, ale przez chwilę nic nie mówił. Potem kontynuował z kamienną twarzą:

— A więc teraz jest pan wolnym strzelcem, zawodowym zawadiaką. Jaki jest pana związek z panią Langston?

— Nie ma żadnego. Z wyjątkiem tego, że ją lubię. I zaczynam żywić dla niej wiele podziwu. Podobają mi się ludzie zachowujący równowagę pod takim naciskiem.

— Pieprzenie. Za co panu płaci?

— Mówiłem panu, Redfield, ona za nic mi nie płaci.

— A zatem dlaczego wciąż pan się tu włóczy?

— Mógłbym panu powiedzieć, że po prostu dlatego, że mój wóz nie jest jeszcze naprawiony. Może pan to sprawdzić w warsztacie...

— Ale to nie wszystko.

— Racja. To nie to. Mógłbym podać panu kilka powodów. Jeden, że nie lubię być do niczego zmuszany. Drugi, że interesuje mnie sam motel, bo to jest interes, choć nie pański. Lecz głównym powodem jest to, że ta robota z kwasem wynikała częściowo z mojej winy. Zacząłem wtrącać się w coś, co nie powinno mnie obchodzić — jak pan sam mi to powiedział — i to miało pani Langston dać do zrozumienia, że wtrącając się, przyniosę jej więcej złego niż dobrego. Więc czy teraz, gdy jej to zafundowałem, powinienem wynieść się i zostawić ją z tym samą?

— Czy ma pan licencję upoważniającą pana do działania na terenie tego stanu jako prywatny detektyw?

— Nie mam.

— W porządku. Niech tylko wetknie pan swój nos w jedną rzecz więcej, a wcisnę go panu w ucho i wyciągnę po drugiej stronie.

— Najpierw niech pan uzgodni to ze swoją prokuraturą okręgową, Redfield. Tak długo, jak ona mi nie płaci, nie działam jako prywatny detektyw. Jestem prywatnym obywatelem, a to zupełnie co innego.

Jego twarz pochmurniała.

— Są sposoby, Chatham. Powinien pan je znać.

— Znam. Widziałem kilka z nich.

— I jeśli pan nie odjedzie, znów pan kilka zobaczy. A teraz, o co chodzi z tym zaszranym facetem, który do pana strzelał, z tą wiadomością od doktora Morleya?

Opowiedziałem mu wszystko, od pierwszego telefonu tej kobiety. Było to łatwe i zajęło tylko kilka minut, gdy nikt nie wyszczekiwał oderwanych od tematu pytań i nie opierał mi się na karku. Redfield siedział na skraju biurka, palił papierosa i słuchał, nie okazując żadnych uczuć. Kiedy skończyłem, popatrzył na Magruderę.

— Czy coś z tego już sprawdzono?

Magruder przytaknął.

— Jest tam teraz Mitch.

— Dobrze. — Odwrócił się do mnie i warknął: — Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem tę bajeczną opowieść. Ta kobieta, kimkolwiek ona była, wysłała pana na tę farmę, by mężczyzna na strychu, kimkolwiek on był, mógł pana zabić.

— Tak.

Pochylił się nieco do przodu i dźgnął mnie palcem.

— No dobrze, rozpatrzmy to — czy powinienem uwierzyć, że ta wyszana z palca bzdura ma sens, nawet dla pana? Dwaj ludzie tak się pana obawiają, że decydują się na popełnienie morderstwa pierwszego stopnia z szansą wyładowania w komorze śmierci, i po co? Ponieważ zwyczajnie boją się, że pan odkryje, że oni są tymi, którzy ukradli gruszki z ogrodu sąsiada. — Westchnął i potrząsnął głową. — Chatham, czy zdaje pan sobie sprawę, ile oni dostaliby za tę robotę z kwasem? Gdyby kiedykolwiek zostali skazani?

— Rok. Sześć miesięcy. Być może mniej.

— Ale dalej powinienem uwierzyć...

— Darujmy sobie. Zna pan odpowiedź równie dobrze jak ja.

— Znam?

— Oni cholernie czymś się denerwują, lecz nie jest to jakiś mało znaczący akt wandalizmu czy złośliwej szkody.

— Cóż, niech pan nie trzyma nas w niepewności. Niech pan powie, co to jest.

— Próba morderstwa — powiedziałem. — Co mogliby mieć do stracenia po popełnieniu pierwszego?

Przyglądał się mi uważnie, jego twarz była teraz bardzo spokojna.

— Czy ktoś został zamordowany?

— Langston — odpowiedziałem.

— Tak myślałem. Lecz czy w pańskiej tezie nie ma gdzieś luki? Przez siedem miesięcy prowadziliśmy dochodzenie i nikt nie usiłował nas pozabijać.

Nie podobała mi się droga, jaką zaczynał zmierzać, ale nie mogłem nic na to poradzić. Popychał mnie prosto w róg, podczas gdy ja obserwowałem, jak on to robi.

— No to jak? — przynagłał. — Chociaż chyba już rozumiem, co pan ma na myśli. Nie bali się nas, bo wiedzieli, że jesteśmy tak głupi, że nigdy ich nie odkryjemy.

— Ja tego nie powiedziałem.

— I oczywiście zawsze istnieje inna możliwość — kontynuował. Ton jego głosu był konwersacyjny, lecz odbierałem ukrytą w nim — jeszcze pod kontrolą — dzikość. Żywiłem nadzieję, że pozostanie ona pod kontrolą. Magruder spojrział na niego pytająco. Również nie wiedział, o co chodzi. — To znaczy, z pańskiego punktu widzenia, mogliśmy zostać przekupieni. Wszystko, czego potrzebujemy, to koziół ofiarny, taki jak pani Langston, nawet jeżeli nie mogliśmy zmontować dostatecznych dowodów, by ją oskarżyć. Wszystko jest cacy, nikogo nie boli i obywatele nie muszą płacić od tego podatków. Ma to sens, gdy spojrzy się na to w ten sposób. Nieprawdaż? A więc jak? No dalej, mów. Powiedz coś, cholerny sukinsynu...

Zsunął się z biurka, złapał za przód mojej koszuli i pociągnął. Musiałem podnieść się, w przeciwnym razie zdarłby ją ze mnie. Uderzył mnie grzbietem ręki po twarzy i poczułem, że zębami pokaleczyłem sobie wargi. Znów się zamachnął, jego twarz była blada z raptownej, niekontrolowanej wściekłości, a w oczach miał udrękę i szaleństwo, jak gdyby nękał go ogromny ból. Cofnąłem się, potknąłem o krzesło i przewróciłem. Pośliznąłem się do tyłu i podniosłem ostrożnie, spodziewając się, że mam rozwaloną głowę, a on odwrócił się gwałtownie, trąc ręką po twarzy.

Odetchnął głęboko dwa razy i można było dostrzec, że toczy się w nim walka.

— Wynoś się stąd — powiedział wściekle — zanim wypróbuję na tobie lufę pistoletu.

— Poczekaj chwilę, Kelly — sprzeciwił się Magruder. — Nie możemy pozwolić mu odejść, dopóki nie dowiemy się, co Mitch...

Redfield odwrócił się dziko i przerwał mu:

— Wiemy, gdzie go znaleźć, gdy będzie potrzebny! Niech ten sukinsyn się stąd wynosi!

Magruder popatrzył na mnie.

— Słyszałeś.

— Tak. — Podniosłem z podłogi kapelusz i przyłożyłem chusteczkę w kąciku ust, gdzie sączyła się krew. — Słyszałem go.

Wyszedłem na zewnątrz i przeszedłem na Springer, by złapać taksówkę, nie będąc nawet szczególnie zły na niego. Czy raczej nie będąc nawet w przybliżeniu tak zły, jak wiedziałem, że on jest wściekły na siebie. Był zbyt dobrym zawodowcem, by w ten sposób dawać ujście swoim uczuciom z powodu tak niewielkiej prowokacji. Gdzieś we wnętrzu Redfielda gromada

myszy zjadała izolację jego nerwów. Ale jakich myszy? I skąd one się wzięły?

Cóż, jeśli idzie o bycie nerwowym, miał towarzystwo — liczne. Jeżeli istniało gdzieś jakieś miasto, które znajdowało się pod elektrycznym napięciem, to było ono tutaj. Byłoby to kiepskie miejsce dla figlarza, który lubi wyskakiwać z ukrycia na człowieka i krzyczeć „bu!”. Nie przetrwałby do przerwy śniadaniowej.

Była za dziesięć piąta, kiedy zapłaciłem taksówkarzowi i wysiadłem przed biurem. Przed motelem stał jeden z samochodów szeryfa, a drzwi do mojego pokoju stały otworem. Podeszedłem i zajrzałem do środka. Wielki rudzielec grzebał w jednej z szuflad w komodzie. Popatrzył na mnie bez zainteresowania, papieros zwieszał mu się z kącika ust. Zatrzasnął szufladę.

— Wygląda na to, że nie ma pan pistoletu — powiedział.

— Gdzie jest pański nakaz?

— Zapomniałem go zabrać. Chce pan, żebym wrócił po niego i jeszcze raz przeprowadził rewizję?

— Nie.

— Cieszę się. Nie lubię problemów.

— Niech pan się nie przejmuje — powiedziałem. — Nie chciałem pana stresować.

— Ma pan wielkie poczucie humoru. — Poszukał wzrokiem popielniczki, zobaczył, że stoi na stoliku między łózkami, i wzruszył ramionami. Spętował papierosa na szklanej powierzchni komody. — Naprawdę, wielkie poczucie humoru.

— Jak pan tu wszedł? — zapytałem.

— Służąca. Powiedziałem jej, że nie miałby pan nic przeciwko. Bo chyba ktoś z takim poczuciem humoru jak pan nie miałby, co?

Nie odezwałem się. Obrzucił pokój jeszcze jednym obojętnym spojrzeniem i wyszedł, mijając mnie.

— Przypuszczam, że będzie zachowywał się pan już właściwie, przyjacielu. Jest pan spoza miasta i to wydaje się wszystko tłumaczyć.

Odwróciłem się i spojrzałem na niego z rękoma wciśniętymi w kieszenie. Poczekał minutę, mając nadzieję, że będę na tyle głupi, by dać się sprowokować, a potem wyszedł na podjazd.

— Cóż, odda jej pan klucz, co? Niech pan jej tylko powie, że nie miał pan nic przeciwko.

Wsiadł do wozu i odjechał.

Wszedłem do środka, zamknąłem drzwi, odetchnąłem głęboko i zapaliłem. Po minucie czy dwóch uspokoiłem się. Poszedłem do łazienki i przemyłem twarz zimną wodą. Zakrwawione ubranie wciąż leżało w wannie. W pokoju nie było poprutej tapicerki; zaledwie zabijał czas, mając nadzieję, że wrócę, zanim wyjdzie. Skończyłem papierosa i gdy poszedłem do biura, znów dobrze się czułem. Położyłem klucz na biurku. Josie usłyszała mnie i wyszła, uśmiechając się szeroko.

— Pani Georgia obudziła się.

— Dobrze — powiedziałem. — Jak się czuje?

— Świetnie. Wie pan, jaka była pierwsza rzecz, o którą najpierw poprosiła?

— Trzyfuntowy stek?

— Nieeee. Grzebień i szminka.

Dobrze, pomyślałem, psychiatra podsumowałaby to prawdopodobnie w ten sam sposób.

— To wspaniale. Zechcesz zapytać, czy mogę wejść?

— Tak, proszę pana. Pytała, gdzie pan jest.

Weszła do mieszkania, prawie natychmiast wyszła i kiwnęła głową. Wszedłem. Na głowie wciąż miałem kapelusz i zastanowiłem się, czy mogę go nie zdejmować. Prawdopodobnie tak, pomyślałem, przypominając sobie nieuprzejmy sposób, w jaki zachowałem się, gdy ona przyszła do mojego pokoju. Niemniej jednak, kiedy wszedłem do sypialni, rozwiązała za mnie ten problem. Siedziała oparta o dwie poduszki, z przejrzystym szalem wokół ramion, może ciągle zbyt blada, ale cholernie atrakcyjna, i uśmiechała się. Wyciągnęła do mnie rękę. Cóż, przez cały ten dzień miałem chyba uczestniczyć w różnych przesłuchiowaniach.

— Tak się cieszę, że pana widzę — rzekła ciepło. — Bałam się, że odszedł pan bez pożegnania i bez dania mi szansy podziękowania panu.

Była jedyną osobą w mieście, pomyślałem, która do teraz nie wiedziała, że jestem jej kochankiem, strażą przyboczną, współnikiem, wynajętym bandziorem, ukochanym, prywatnym detektywem i ojcem jej trzech mongolskich dzieciaków. Dalej była pogrążona we śnie.

— Josie mówiła, że był pan cały czas w pobliżu i że właśnie pojechał pan do miasta... Och, dobry Boże, co też panu się stało? — Przerwała, patrząc na zwoje bandaża i plastra i na wystrzyżone włosy.

— Mały wypadek — odparłem, zadowolony, że drugi opatrunek jest przykryty przez rękaw koszuli. — Kilka szwów, to wszystko. Lecz dajmy temu spokój. Jak pani się czuje? Wygląda pani cudownie.

— Jak to się stało? — zapytała stanowczo.

Może kilka detali załatwiłoby sprawę.

— Pani rumieńce są wyraźniejsze, a w oczach jest więcej blasku i ożywienia...

— I pewnie jeszcze moja skóra jest bardziej błyszcząca. To razem dobrze wróży. — Wskazała na fotel stojący obok łóżka. — Niech pan przestanie mnie zagadywać i siada, panie Chatham. Chcę wiedzieć, jak pan został ranny i dlaczego...

Przypomniałem sobie, co doktor mówił o wypoczynku i wstrząsach emocjonalnych. Gdyby nie szczęście i silny organizm, mogłaby leżeć tu szarpiąc narzutę lub gapiąc się pustym wzrokiem na ścianę. Ani słowa o strzelaninie.

— Niezdarność — powiedziałem. — I brak latarki. Dostałem anonimowy cynk, że ten kwas był częścią ładunku obrabowanej ciężarówki i że jego reszta została ukryta w starej stodole na wsi. Pojechałem tam i podczas gdy przeszukiwałem strych, zahaczyłem głową o gwóźdź. Kwasu też nie znalazłem, mimo to myślę, że kiedyś mógł tam być.

Wydawało się, że mi wierzy.

— Przykro mi — powiedziała po prostu. — To moja wina.

— Absolutnie. Prawdę mówiąc, to ja jestem częściowo odpowiedzialny za zdemolowanie tego pokoju.

— Jak pan może tak myśleć?

Powiedziałem jej.

— Myślę, że wpadł na to, co robię, gdy sprawdzałem te kabiny telefoniczne. To ten sam człowiek. I prawdopodobnie ten sam, który minionej nocy przysłał tu tę dwójkę dzieciaków, próbując wpędzić panią w kłopoty z policją. Kiedy pomogłem pani pozbyć się ich, zdecydował, że za bardzo się wtrącam. Ten kwas był jedynie aluzją, która miała dać pani do zrozumienia, że ja, włączając się wokół, przynoszę pani więcej złego, niż dobrego. Nie wiem, jaki ma w tym cel, lecz odkryjemy to.

— Co ma pan na myśli?

— Wczoraj chciała pani wynająć mnie jako prywatnego detektywa, żebym zajął się tą sprawą. Nadal nie może pani tego zrobić, bo nie mam licencji, by wykonywać tę robotę; w chwili, gdy ludzie szeryfa by udowodnili, że pani mi płaci, znalazłbym się w pudle. Ale w kodeksie nie ma nic, co by mówiło, że nie mogę przejąć kierowania tym motelem po prostu dlatego, że jest pani moją przyjaciółką i ponieważ jestem zainteresowany w kupieniu jego części — obie rzeczy są zresztą prawdą...

- Jak dla mnie, działa pan trochę za szybko — przyznała.
 - Później dojdziemy do interesów. Oczywiście, pani nie musi sprzedawać mi motelu, ale w tej chwili mamy taką sytuację. Bierzymy to pod uwagę. Gdy będą z panią rozmawiać, niech pani im tak powie. Prawdę mówiąc, przyjąłem już na siebie kierowanie motelem i, do pewnego stopnia, panią. Zamknąłem motel, bo na bożym świecie nie ma sposobu, w jaki mogłaby pani powstrzymać ich przed powrotem i zniszczeniem następnego pokoju, dopóki byłby on otwarty, a pani oczywiście nie może przetrząsać bagaży swoich gości w poszukiwaniu kwasu. Przyjąłem na siebie odpowiedzialność za dopilnowanie, czy wypełniane są zalecenia doktora, a mówią one, że ma pani zostać w łóżku i odpoczywać, nie zajmując się niczym, dopóki on nie powie, że może pani wstać...
 - To śmieszne. Jestem zdrowa jak koń.
 - Jasne, jest pani. Jak koń, który od miesiąca nie zjadł solidnego posiłku ani przez ostatni rok nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Zostanie pani w łóżku i pozwoli mi pani wszystkim kierować.
 - Ale...
 - Żadnych ale. Od czasu, gdy znalazłem się w tym mieście, byłem uświadamiany przez jednego typa, który myśli, że jestem po pani stronie. W końcu przekonał mnie, że ma rację.
- W biurze zadzwonił telefon. W drzwiach pojawiła się Josie.
- Do pana — powiedziała. — Międzymiastowa.

Rozdział 8

Poszedłem do biura i usiadłem przy biurku. Powiedziałem telefoniście, że akceptujemy opłaty, i Lane wszedł na linię.

- Pan Chatham?
- Tak. Jak pan sobie poradził?
- Dość dobrze. Mam wszystko, co zdołałem zebrać od czasu pańskiego telefonu; jak dotychczas jest to przede wszystkim materiał, który mógł znać ktoś, kto w ubiegłym listopadzie prowadził śledztwo. Pełne nazwisko Stradera brzmiało Albert Gerald Strader, w chwili, gdy został zabity, miał trzydzieści pięć lat i gdyby poszukać jednego słowa, które by go charakteryzowało, to

obibok byłoby tak dobre, jak żadne inne. Albo też pozeracz serc niewieścich, chociaż takie określenie wyszło chyba z mody.

Niemniej jednak nie był żadnym kanciarzem czy chuliganem. Na tyle, na ile zdołali to sprawdzić, nie miał żadnych akt kryminalnych — pomijając kilka wykroczeń, takich jak okazjonalne naruszenie nietykalności osobistej czy prowadzenie po pijanemu — a przekopywali się przez to dość sumienie. FBI nic na niego nie miało. Wnioskuje, że tym, co pan próbuje odkryć — razem z kimś, kto kiedyś zajmował się tą sprawą — jest to, co, do diabła, robił w tamtym mieście. Nie sądzę, by były duże szanse na stwierdzenie, że było to coś niezgodnego z prawem, chyba że przestępstwem jest bycie nienasyconym samcem. Panuje prawie stuprocentowa zgodność opinii, że przyczyną jego przyjazdu była kobieta. Prawdopodobnie mężatka.

Był dość potężnym facetem o atletycznej budowie, lecz najlepsze lata miał już za sobą. Grał w football w szkole wojskowej. Przystojny przeciętniak — ciemne włosy, oliwkowa skóra, szare oczy — który wiedział, jak kupować i nosić ubrania. Kobiety — czy przynajmniej pewien rodzaj żądnych seksu, znudzonych kobiet — leciały na niego. I spójrzmy prawdzie w oczy; kobiety tego rodzaju zazwyczaj wiedzą, czego szukają, więc on musiał im to dawać.

Był sprzedawcą. Nie był w tym zbyt dobry, rzecz zastanawiająca; człowiek myśli, że mógłby zrobić furorę z tym swoim wyglądem i pewnością siebie, ale przypuszczam, że to wymaga czegoś więcej — zainteresowania pracą. Od ostatniego czerwca do czasu, gdy został zabity, sprzedawał nieruchomości czy raczej próbował to robić. Pracował dla spółki Wells and Marritt w północno-wschodniej części miasta, zajmując się sprzedażą i dzierżawieniem domów, i miał małe kawalerskie mieszkanie niedaleko Sześćdziesiątej Pierwszej...

— Jak długo przebywał w Miami? — spytałem.

— Z przerwami od około 1945, kiedy to wystąpił z marynarki. Są tu pewne luki, nie mieli całych akt. W tym samym okresie spędził jakiś czas w Keys, na Marathon i Key West, i wydaje mi się, że mieszkał też trochę w Nowym Orleanie. Ale zazwyczaj wracał potem do Miami. Zobaczmy, mam tu trochę notatek...

— Niech mi pan pozwoli co nieco zapisać. — Położyłem na biurku arkusz papieru i wyjąłem pióro. — W porządku, słucham dalej.

— Okay. Wychował się w małym miasteczku w północnej Luizjanie. Jego ojciec był prawnikiem i później sędzią okręgowym. Jego rodzice już nie

żyją i w chwili, gdy został zabity, jego jedyną żyjącą krewną była starsza o trzy lata zamężna siostra, która ciągle mieszka w tym samym mieście, Whitesboro. Była jedyną osobą, która przyjechała do Galicia upomnieć się o ciało. Strader nie był tak całkiem rozwydrzonym dzieckiem, jedynie walkoniem. Prawdopodobnie nawet w tym wieku nie myślał o niczym poza dziewczynami. Zdołał zrobić cztery klasy szkoły wojskowej w Pensylwanii, ale został wyrzucony z Tulane w pierwszym semestrze z powodu kiepskich ocen. W 1942 wstąpił do marynarki, a po obozie szkoleniowym dostał się do szkoły elektronicznej — Treasure Island w San Francisco, jak sądzę, i gdy występował z marynarki pod koniec wojny, był drugim radiooperatorem.

— Czy przypadkiem nie służył na okrętach podwodnych?

— Nie, na okręcie desantowym. W każdym razie w 1946, zgodnie z jego aktami personalnymi, był spikerem w małej rozgłośni radiowej tu w Miami. Pracował tam rok czy może nieco dłużej. Z większej części 1948 nie ma danych, lecz jak się orientuję, prawie całą zimę mieszkał na kocią łapę z jakąś pełną werwy przyjaciółką, która była właścicielką stajni. Potem, około 1950, zajął się sprzedażą samochodów. Przez następne dwa lata pracował dla trzech czy czterech różnych agencji w Miami i był również w Keys. Pod koniec 1953 przerzucił się na objazdowy handel systemami nagłaśniającymi i aparatami projekcyjnymi dla portierni, kościołów i szkół. Pracował dla dystrybutora z Jacksonville na terenie Florydy i części południowej Alabamy i Georgii. Jak zwykle długo nie zagrzał miejsca i widocznie rzucił tę robotę albo został wywalony po około sześciu miesiącach. Wydaje się, że jest tu luka, następną rzeczą w aktach jest powrót do Miami pod koniec pięćdziesiątego czwartego, znowu sprzedaż samochodów. Później w 1955 i gdzieś do czerwca 1956 kolejna praca objazdowa dla Electronic Enterprises, z macierzystym biurem w Orlando. Nie wiem, co sprzedawał, być może znów systemy dźwiękowe. Gdy skończyło się to kłapą, zdał egzamin na licencję sprzedawcy nieruchomości i zaczął pracować dla firmy, o której uprzednio wspomniałem, Wells and Merritt. Widzi więc pan, facet chwycił się różnych zajęć. Myślę, że dużą część czasu zajmowały mu kobiety.

— W aktach nie ma wzmianki, że kiedykolwiek znał Langstona? — zapytałem.

— Żadnej, a przekopywali się przez nie tygodniami. Ci ludzie należeli do różnych światów. Langston był całkiem grubą rybą, dopóki nie

zbankrutował, a Strader był biednym typkiem, który nie mógłby wkupić się do tej elity.

— Jest coś o pierwszej pani Langston?

— Kolejne wielkie nic. Człowiek myśli, że mogłaby być nadzieja, ponieważ była ona wyraźnie rozrywkową kobietą, szczególnie od czasu rozwodu, i miała dużo pieniędzy, ale nigdy nie doszukano się żadnego związku. I niech mi pan wierzy, że próbowano, choć trzeba też pamiętać, że Miami jest dużym miastem. No i oczywiście tak naprawdę zajmowano się drugą panią Langston, wdową. Z oczywistych powodów. To znaczy musieli to robić. Strader przybył tam, by spotkać się z kobietą, przypuszczalnie mężatką, i wpłatał się w zabójstwo jej męża, a jak się okazało, gdy próbował ukryć ciało, była z nim kobieta, więc gdzie mieli szukać? To była robota na godzinę dla chłopaków. Tak to wyglądało siedem miesięcy temu, a oni do dziś nie natrafili na ślad wskazujący, czy tych dwoje się znało. Ja myślę, że ona po prostu nie była w jego typie. Jediną wspólną im rzeczą był fakt, że oboje przez długi czas mieszkali w Miami. Ona była technikiem w laboratorium medycznym, nie miała żadnych pieniędzy poza swoją pensją i w ogóle nie miała kontaktu z żadnym rozwiązłym czy nadzianym środowiskiem. Myślę, że Langstona poznała podłączając mu te druty do zrobienia elektrokardiogramu.

— Okay — powiedziałem. — Im dalej, tym lepiej. Przypuszczam, że poddali się całkowicie, gdy doszło do udzielenia odpowiedzi na pytanie, kto wynajął Stradera do tej roboty?

— Właśnie. Z początku nie mogli znaleźć nikogo, komu mogłoby zależeć na pozbyciu się Langstona. Ubezpieczenie przeszło na jego dwunastoletnią córkę. Nawet jeżeli w środowisku młodzieżowym krążyłaby obiegowa lista morderców do wynajęcia, to ten dzieciak lubił swojego ojca. Langston w interesach nigdy nie miał szczególnie zaciekłych wrogów. Były jakieś niesnaski między nim a jego pierwszą żoną, ale co ona mogłaby zyskać zabijając go? Miała już rozwód, dostała duże pieniądze, a żadną uciech latawicą stała się później. Nawet jeśli był ktoś, kto chciał wynająć zabójcę, to dlaczego Stradera? On nie był żadnym bandziorem, a nikt nigdy nie zaczyna działalności przestępczej od złeconego morderstwa. Generalnie człowiek dochodzi do tego lub tym kończy, zależnie od punktu widzenia. Ponadto sprawa samego sposobu, w jaki został zabity Langston: uderzenie w głowę. To zbyt wiele roboty dla profesjonalisty. Nie, ta teoria upadła, jeszcze zanim zdołano ją sformułować.

— Coś jeszcze? — zapytałem.

— Nic. Jak na razie, to wszystko. Zawsze wraca się do faktu, że pojechał tam, by zobaczyć się z kobietą. Nie w interesach, bo w tym mieście człowiek nie tylko nie mógłby sprzedać, ale nawet rozdać darmo nieruchomości z Miami. I jeżeli to byłyby interesy, to ktoś, z kim się spotkał, przyszedłby i powiedział o tym. Przyjeżdżał tam trzykrotnie w ciągu zaledwie dwóch miesięcy, a to w obie strony prawie tysiącmilowa podróż. A dla Stradera tylko jeden rodzaj interesów był na tyle ważny...

— Okay — powiedziałem. — W tej chwili nie widzę żadnego tropu, za którym mógłbym pójść, niech pan spróbuje jeszcze raz jutro. Może odkryje pan coś, co zapełni te luki w jego aktach zatrudnienia. Niech pan zobaczy, ile starych przyjaciółek można odnaleźć i gdzie one teraz są. Wnioskuje, że w jego rzeczach w mieszkaniu nie było żadnych listów, ale czy sprawdzono rozmowy międzymiastowe?

— To prawda, nie było tam żadnych listów, lecz były dwa kwity za opłacone rozmowy. W obu przypadkach były przeprowadzone na dzień przed wyjazdem. Żadnych wskazówek. Dzwoniono z budek telefonicznych.

— Cwane. W porządku. Niech pan zadzwoni jutro, jeśli zdobędzie pan coś nowego.

Wróciłem do sypialni. Siedziała na łóżku z rękoma wokół kolan.

— Czy pani coś już jadła? — zapytałem.

Pokręciła głową.

— Nie. Przebudziłam się zaledwie pół godziny temu.

— A co pani myśli o zjedzeniu ze mną obiadu?

— Myślałam, że pan nie pozwoli mi wyjść z łóżka — uśmiechnęła się.

— Nie pozwolę. Czy lubi pani stek? Jest to jedyna rzecz, którą umiem przyrządzić.

— To brzmi zachęcająco. Ale pan nie musi go przyrządzać. Ja mogę to zrobić albo Josie.

— Pani będzie odpoczywać. A Josie wieczorem wychodzi. Ja chciałbym wtedy z panią porozmawiać.

Wyszedłem i wyczyściłem samochód wodą i jakimiś detergentami, przetrzyłem przez mokre siedzenie zmięty koc i pojechałem do miasta. Kupiłem dwa steki, kilka bułek, gin i vermouth, i butelkę burgunda. Powróciwszy do motelu ogoliłem się i zmieniłem ubranie, zakładając koszulę z długimi rękawami, żeby zakryć opatrunek na lewym ramieniu.

Lekarstwa były jeszcze w samochodzie. Wyjąłem pigułki nasenne, mimo że przypuszczenie, że rzuci się na nie, wydawało się głupie, a resztę zakupów zanieśli do biura. Josie właśnie wychodziła.

— Postaraj się wrócić przed północą — powiedziałem jej. — Chciałbym, żebyś wstawiła do bawialni składane łóżko i została z nią. Wydaje się, że jest w lepszej formie, niż się spodziewałem, ale bądź co bądź na dzisiejszą noc to dobry pomysł.

— Tak, proszę pana — odpowiedziała i wyszła.

Wszedłem do kuchni i oszacowałem znajdujący się w niej sprzęt, mający mi ułatwić przyrządzenie steków, i odkryłem, że Josie włożyła do piekarnika dwa ziemniaki. Otworzyłem gin i vermouth, i w czasie, gdy mieszałem martini, usłyszałem za sobą kroki i obejrzałem się. W wejściu stała Georgia Langston. Była w pantofelkach i ciemnoniebieskiej piżamie, otulona błękitnym szlafrokiem. Miała lekko podmalowane usta, a jej włosy były świeżo uczesane, ich wspaniały mahoniowy blask kontrastował z białością twarzy i ogromnymi szarymi oczami. Strader mógłby chcieć jeździć o wiele dalej niż pięćset mil, pomyślałem. Pominąwszy, że nigdy by nie mógł zobaczyć dnia, w którym zagra w jej lidze.

— Wydawało mi się, że mówiłem, że ma pani zostać w łóżku — powiedziałem.

Potrząsnęła głową z lekkim uśmiechem.

— Nie pozwolę się tyranizować w swoim własnym domu.

— Jeszcze nie jest pani zdrowa. Doktor mówił, że powinna pani wypoczywać.

— Mam nowinę dla pana i doktora. Gdy kobieta jest zdrowa na tyle, by odczuwać skrępowanie z powodu przyjmowania mężczyzny w swojej sypialni, to znaczy, że jest dostatecznie zdrowa, by wstać z łóżka. Jest to doskonały test kliniczny.

Wzruszyłem ramionami i odmierzyłem martini.

— Wygrała pani. Właściwie nie wierzę, by kobieta mogła czuć się nie-dobrze i wyglądać tak cudownie jak pani. Więc możliwe, że rzeczywiście ma pani rację.

— Och, dziękuję — odparła z tym samym cieniem uśmiechu. — A tak w zasadzie czy nie lepiej byłoby, gdyby opowiedział mi pan coś więcej o swojej brutalności, zanim sama mylnie to zinterpretuję? Chyba że nie zależy panu na tym zbyttnio.

— Hm. — Zaniósłem martini do bawialni. Usiadła na sofie i podkurczyła nogi. Postawiłem drinki na stoliku do kawy, usiadłem naprzeciwko i zapaliłem nam papierosy. — Przykro mi, że tak to pani odbiera. Nie wyczułem tego. Wynika to chyba stąd, że miałem zbyt dużo czasu, by użalać się nad sobą. Teraz potrzebuję zajęcia.

Pokiwała głową.

— Lecz czy nie sądzi pan że jest mi pan winien pewne wyjaśnienia po tym, jak powiedział pan coś takiego o sobie?

— Nie ma wiele do wyjaśnienia. To wszystko jest prawdą, z wyjątkiem tego, że zostałem zwolniony. Byłem zawieszony, ale zrezygnowałem dobrowolnie, gdy tylko zrozumiałem, że nie nadaję się do policyjnej roboty. Właśnie to sprawiło mi ból.

— Rozumiem, że to nie mój interes — rzekła stanowczym tonem — ale dalej uważam, że jest mi pan winien wyjaśnienie. Niedawno pan mówił, że jestem pana przyjacielem, a to mnie daje również pewne prawa. Czy ten człowiek był w areszcie?

— Nie.

— A więc — powiedziała już spokojniej — to zmienia postać rzeczy, prawda? Czy to była sprawa osobista?

— Nie — odrzekłem. — Ale chwileczkę. Właśnie o to chodzi. To nie była sprawa osobista, lecz ja sprawilem, że taka się stała. Nie byłem już profesjonalistą; stałem się fanatykiem.

— Co on zrobił?

— Był handlarzem narkotyków.

— Och.

— To niczego nie usprawiedliwia. Nie może. Przestrzeganie poszanowania prawa powinno być pilnowane przez bezstronnych funkcjonariuszy, nie przez krzyżowców czy fanatyków. Faktycznie, miałem zimną krew jak żaden z nich, dopóki nie przytrafiło mi się zostać przydzielonym do resortu walki z narkotykami, ale właśnie w tym interesie jest coś, co na mnie podziało. Jest on brudny w taki sposób, w jaki nie może być nic innego, szczególnie gdy dotyczy dzieci. Pani może nie być z tym wszystkim obeznana, nie wie pani, co zrobi szesnastoletnia dziewczyna za cenę działki, kiedy musi ją mieć, a jeżeli pani nie wie, niech nie zawraca sobie pani głowy wnikaniem w to...

Przerwałem.

— Dajmy temu spokój ; nie zamierzam wygłaszać truizmów. W każdym razie to ostatecznie wyгнаło moją żonę. Widziała, dokąd mnie to prowadzi, nawet gdy ja nie widziałem, i miała taką dziwną zachciankę, że raz na jakiś czas powinienem bywać w domu. Kosztowało mnie to w końcu pracę. Tropiłem jednego szczególnego handlarza, cwanego śmiecia, gdzieś dwudziestotrzyletniego, który wciskał swój towar dzieciakom, i byłem tak napałony i gorliwy, chcąc go dostać, że sfuszerowałem. Gdy go dopadłem, nie

miałem solidnych dowodów. Obdarzył mnie końskim śmiechem i odszedł. W ciągu trzech dni był z powrotem w biznesie. Potem pewnej nocy wpadłem na niego w barze. Rzucił mi jakąś cwaniacką uwagę, a wtedy nie pozostało mi nic innego, jak iść za nim do łazienki. Przerwałem znowu, utkwivszy wzrok w papierosie.

— To wszystko. Podniósł się wielki harmider oczywiście, lecz nawet bez tego zawieszenia zrozumiałem, co się ze mną dzieje i że muszę się z tego wyrwać.

Pokiwała głową.

— Tak, przypuszczam, że to było nie w porządku, ale myślę, że jest pan dla siebie zbyt surowy. Nikt nie może całkowicie oderwać się od emocji.

— Nie. Ale gliniarz jest zobowiązany dostarczyć dowód, który może być rozpatrywany w sądzie, a nie załatwiać to za pomocą pięści w zamkniętej ubikacji. Ale zmienmy temat. Chciałem porozmawiać o interesach.

Popiła swojego drinka.

— O motelu?

— To prawda. Mówiła pani, że nie chce go sprzedawać za bezcen. Czy zechce pani go sprzedać, gdy ktoś zaproponuje pani godziwą cenę?

Skinęła głową.

— Niech mi pani coś o nim powie. Ile pani zapłaciła, wysokość zastawu hipotecznego — jeśli jest — i ile teraz według pani jest wart.

— Zapłaciliśmy dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, nieco ponad rok temu. Trzydzieści pięć gotówką, a resztę na pięć procent. Zamierzaliśmy sami zadbać o zagospodarowanie terenu, lecz zdrowie mojego męża coraz bardziej podupadało i nigdy nie mogliśmy tego zrobić. A od jego śmierci motel jeszcze bardziej podupadł. Sama nie mogę nic zrobić. Faktycznie, przypuszczam, że jedyną sensowną rzeczą byłoby sprzedanie go ze stratą, zanim będę musiała ponieść większą, ale jestem zbyt uparta, by to zrobić. Ostatni raz, gdy musiałam oszacować jego wartość, przedstawiciele firmy w Tallahassee, która specjalizuje się w handlu nieruchomościami, powiedzieli, że nie byłiby zainteresowani ceną wyższą niż siedemdziesiąt pięć tysięcy.

— Można by go rozwinąć — stwierdziłem. — Sądzę, że mogłaby pani dostać ponad sto tysięcy. To nie podstawowe wyposażenie — to jedynie otaczający teren wygląda tak ponuro. Potrzebny jest tu basen, plac zabaw dla dzieci, trawniki, krzewy, klomby...

— Oczywiście. Ale ja nie mam pieniędzy. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam odremontować ten pokój...

— I tu właśnie zaczyna się moja rola. Mam trochę pieniędzy, pozostawionych mi przez rodzinę matki, i mówiłem pani, że rozglądam się za jakimś zajęciem, za jakąś ciężką fizyczną pracą, która pozwoliłaby mi zapomnieć o pewnych rzeczach. Lubię pracę na powietrzu; jeden z moich wujów był architektem krajobrazowym pod San Francisco i lubiłem pracować u niego w czasie wakacji, gdy byłem w szkole średniej, a potem przez dwa lata, gdy chodziłem do Stanford. Wiem, jak to wszystko zrobić, nawet basen, i chciałbym spróbować. Myślę, że mógłbym z motelu zrobić całkiem atrakcyjne miejsce.

Zamyślona pokiwała głową.

— Chciałby pan kupić połowę i zagospodarować go?

— Właśnie tak. Dorównałbym obecnej wartości pani wkładu w gotówce, wkładając to w zagospodarowanie. A przy wykonaniu większej części pracy przeze mnie, co właśnie chcę zrobić, ze sprzedaży uzyskalibyśmy całkiem niezły zysk. Mam nadzieję.

— Ale czy pan o czymś nie zapomniał? Miał pan już przykład — co się stało z pokojem. Skoro ktoś nienawidzi mnie tak, by coś takiego zrobić, nie zatrzyma się po prostu dlatego, że mógłby skrzywdzić także kogoś innego. Jest pan pewien, że chce pan się na coś takiego narazić?

— Właśnie do tego zmierzam. Trzeba go powstrzymać. Jest to do zrobienia. Wydaje mi się, że pani myśli, że to robota jakiegoś czubka? Jakiegoś faceta z wypaczonym umysłem, który wyładowuje swoją złośliwość na pani, ponieważ sądzi, że jest pani odpowiedzialna za śmierć swojego męża?

— Tak — powiedziała, zmarszczywszy brwi. — Pan tak nie uważa?

— Nie. Myślę, że robią to ludzie, którzy go zabili.

Otwarcie unikała popijania swojego drinka. Odstawiła go.

— Przecież to był Strader...

— I jakaś kobieta. Cóż, ona jest ciągle tutaj i ma pomocnika. Może kolejnego przyjaciela, nie wiem. Niech pani słucha — czy w czasie, gdy panią przesłuchiowano, zakładano możliwość, że ktoś mógł próbować świadomie panią zrobić?

— Na Boga, nie! — odpowiedziała zdumiona. — Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

— Mogli to przypuszczać, oczywiście nic pani nie mówiąc. W każdym razie powinni byli.

— Naprawdę pan tak uważa?
— Tak. Nie mam na myśli tylko tego, że tu pozostawiła ten samochód; musiała się go pozbyć w jakimś miejscu, które nie mogłoby jej obciążyć, i logiczne było odprowadzenie go tu, gdzie sam Strader musiałby go zostawić. Ja myślę o rozmowie telefonicznej.

— O tym telefonie, który mnie przebudził?

— Tak. Widzi pani... — przerwałem. — Przepraszam. Nie zamierzałem zacząć tego rozgrzebywać i psuć pani wieczoru. Chcę, żeby pani zjadła ten stek.

Uśmiechnęła się.

— Niech pan się nie przejmuję. Zamierzam go zjeść i to nie popsuje mi wieczoru. Po tym, co przeszłam, małe, życzliwe przesłuchanie jest prawie jak posiadanie ramienia, w które można się wyplakać.

— Było tak surowe? — zapytałem. — To znaczy, to przesłuchanie?

— Wystarczająco. Było dość... męczące.

— Kto panią przesłuchiwał? Szeryf?

— Głównie. I czasami Redfield. I często obaj naraz.

— Jakim człowiekiem jest szeryf?

Zastanowiła się chwilę.

— Powiedziałabym, że bardzo kompetentnym. Ma ponad sześćdziesiąt lat i jak się orientuję, zajmuje to stanowisko od ponad dwudziestu lat. Lecz podupada na zdrowiu; od ubiegłego miesiąca czy nawet dłużej, jak sądzę, znajduje się w Mayo Clinic. Ale nie byłam źle traktowana, jeśli to miał pan na myśli, byłam tylko okropnie przerażona. Sam szeryf jest bardzo uprzejmym starszym panem, podczas gdy Redfield, jak niebawem zaczęłam odzuwać, nie lubi mnie, chociaż nie traktował mnie złośliwie. No i oczywiście nie stosowali metod przesłuchania trzeciego stopnia.

— Była pani aresztowana?

— Tak, ale nie od razu. Najpierw próbowali odkryć, czy mój mąż znał Stradera i czy planowali wspólny wyjazd na ryby, i o której wyszedł, i czy słyszałam samochód Stradera odjeżdżający bądź wracający, i tak dalej. Potem około dziewiątej tego ranka dowiedzieli się od kucharza z Silver King, że widział podjeżdżający wóz i że wysiadła z niego kobieta. Zostałam zabrana do biura szeryfa, a później, po południu, oskarżona o popełnienie morderstwa i wpakowana do aresztu. Przez trzy dni byłam przesłuchiwana po kilka godzin bez przerwy, zanim w końcu odrzucili oskarżenie w braku dowodów i wypuścili mnie.

— I przez ten czas panią maglowali? Chcieli przyznania się albo jakiegoś dowodu, że pani i Strader byliście — to znaczy...

Uśmiechnęła się lekko.

— Kochankami — odpowiedziała spokojnie. — Tak. Po pewnym czasie zaczęłam się bać. Wydawało się niemożliwe, by mogli w to uwierzyć, ale wtedy zaczęłam rozumieć, że nie tylko mogli, lecz że to wszystko wygląda dla mnie tak niekorzystnie, że mogli nawet przekonać o tym ławę przysięgłych. Najpierw powiedziałam im, że nie znam Stradera i że nawet nie wiedziałam, że był tu zameldowany. Właśnie dowiedziałam się, że mój mąż został zabity, i byłam w szoku, więc naturalnie to nazwisko nie dla mnie nie znaczyło. Nawet nie miałam go w pamięci. Później, kiedy trochę się uspokoiłam, przypomniałam sobie, że byłam w biurze wtedy, gdy on przyszedł i prosił o pokój. Chcieli więc wiedzieć, czy widziałam go kiedykolwiek wcześniej. Powiedziałam im, że nie, co według mnie było prawdą. A oni pokazali mi karty meldunkowe z poprzedniego miesiąca — października — obie z nazwiskiem Stradera i numerami jego samochodu. To tylko znaczyło, że za każdym razem, gdy on się meldował, w biurze był mój mąż, ale od teraz to zaczęło się nawarstwiać i wszystko wyglądało podejrzanie. Doszedł do tego fakt, że sama pojechałam do Miami, gdzieś w środku października, między pierwszym a drugim przyjazdem Stradera...

— Wyjeżdżała pani do Miami? — Nie słyszałam tego wcześniej.

— Tak. — Wzięła drugiego papierosa, podałam jej ogień. — Pojechałam do doktora. Chcieli wiedzieć dlaczego, skoro mieliśmy tutaj swojego lekarza — doktora Grahama. W tym czasie moje nerwy były w punkcie krytycznym i znajdowałam się na skraju hysterii, więc moja reakcja sama w sobie wzbudziła podejrzenia. Wpadłam w furję i odmówiłam powiedzenia im, dlaczego. Naturalnie, skoro tylko zrozumiałam głupotę tego postępu, wyjaśniłam wszystko, a oni sprawdzili to, telefonując do tego doktora, ale to było ciągle obciążające, ponieważ mogłam to z premedytacją zaaranżować, jako wytłumaczenie wyjazdu do Miami na spotkanie ze Straderem, skoro dalej z nim romansowałam. To znaczy miałam umówione wizyty z doktorem rano w ciągu dwóch kolejnych dni, a potem spotkałam się raz czy dwa ze starym przyjacielem, lecz przez większą część dwóch popołudni i przez dwie noce byłam sama. A poza tym nie było dowodów mojej... hmmm... choroby... — zawahała się.

— Wszystko w porządku. Nie musi pani się w to zagłębiać.

Machnęła lekko ręką i uśmiechnęła się.

— Och, dlaczego to miałyby być krępujące? Mój mąż i ja bardzo pragnęliśmy mieć dziecko i zaczęliśmy się niepokoić. To niby normalne. Ale byłam taka wściekła, gdy mnie przesłuchiwali.

— No dobrze, pomyślmy nad tym — powiedziałem. — Jednym z głównych punktów świadczących przeciw pani jest fakt, że kiedy zapukali do drzwi nieco przed piątą trzydzieści tego ranka, pani była już całkiem rozbudzona. Wyjaśniła pani, że to z powodu telefonu. Nie wie pani, czy oni kiedykolwiek próbowali to sprawdzić?

Potrząsnęła głową.

— Niee. To znaczy ja o niczym nie wiem. A dlaczego to takie ważne?

— Ponieważ to jest punkt, który powinien zacząć uświadamiać im, że być może są na niewłaściwym tropie. Rozumiem, że kobieta, która chciała porozmawiać z tym kimś, kto nawet nie był zameldowany, i która wydawała się na wpół pijana, była na tyle jeszcze uparta, by chcieć się o to wykłócić?

— Tak.

— Czy pamięta pani nazwisko tego człowieka, którego szukała?

— Tak. Chodziło o pana Carlsona.

— No tak, ale czy pani wie, czy oni próbowali zbadać, czy w tym czasie w jakimś innym motelu czy hotelu w okręgu był zameldowany jakiś Carlson?

— Jeżeli coś robili, to nigdy nic o tym nie mówili.

— Oczywiście, mogli to robić, nie troszcząc się, by pani powiedzieć. Przynajmniej powinni byli to zrobić, ponieważ piąta piętnaście rano jest raczej dziwną porą na wydzwanianie w miasteczku, w którym bary pozamykano kilka godzin wcześniej. I jest albo trochę za wcześnie, albo trochę za późno, by próbować szukać kogoś w motelu. Czy kwestionowali pani zeznania na ten temat?

— Tak. Kilka razy zarzucali mi kłamstwo.

— Jasne. A zatem to mogło znaczyć, że nigdzie nie znaleźli zameldowanego żadnego Carlsona. Więc wydawało się całkiem możliwe, że nikt nie próbował się z nim skontaktować. I jeśli pani kłamie, to znaczy, że jest pani winna. Ale gdyby oni to zaakceptowali, to byłiby również moralnie zobowiązani do przyjęcia drugiej strony monety. A to znaczy, że jeżeli pani nie kłamie, to jest pani nie tylko niewinna, ale że rzeczywiście rozmawiała pani z kobietą, która zabiła pani męża.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Jaką kobietą musiałyby być, żeby zrobić coś takiego?

— Ostrą i cwana — powiedziałem. — Niech pani posłucha. W przeciągu nieco ponad godziny pomogła zabić człowieka, widziała, jak jej kochanek został zastrzelony przez policjanta, i ciągle potrafiła trzeźwo myśleć, aby odprowadzić samochód i zaaranżować rozmowę z panią. Może nie jest artystką pierwszej klasy, ale jest tak przebiegła i szybka jak kobra.

Rozdział 9

Po chwili upiekłem steki i zjedliśmy obiad, nie poruszając tego tematu, dopóki nie usiedliśmy przy kawie. Była milcząca, ale zjadła kawałek steka i wypila nieco wina. Zapaliłem jej papierosa.

— Jest pani przekonana, że mąż nie znał Stradera?

— Tak — odpowiedziała stanowczo. — Nigdy nie słyszałam, by wymieniał to nazwisko.

— A zatem czy zdaje pani sobie sprawę, że musiał znać tę kobietę?

— Dlaczego? — zapytała.

— Jedno z nich musiało pozostawać z nim w jakimś dającym się udowodnić związku; w przeciwnym razie bowiem bezcelowe byłoby upozorowanie tego morderstwa tak, by wyglądało na wypadek. Strader nie byłby podejrzany po prostu dlatego, że przypadkowo zatrzymał się w tym motelu. A więc ta kobieta wiedziała, że ona by była czy mogłaby być. Proszę zauważyć — to wyprowadziło policję w pole. Cała sprawa zataczała doskonale koło i zawsze wracała do punktu wyjścia. Ta kobieta wiedziała, że byłaby podejrzana, gdyby doszło do śledztwa w sprawie zabójstwa; do śledztwa doszło, a pani była jedyną kobietą, która kiedykolwiek była podejrzana. Q.E.D.* * QED — *quod erat demonstrandum* — łac. co było do dowiedzenia. Z wyjątkiem tego, że nie mają żadnego istotnego dowodu, że pani kiedykolwiek znała Stradera czy miała nim romans. I gdyby spróbowali iść do sądu bez takiego dowodu, każdy adwokat, który przed godziną ukończył studia prawnicze, porwałby ich na strzępy. Redfield prawdopodobnie budzi się krzycząc i gryząc pościel.

Tym niemniej to jego problem; moim problemem jest coś innego.

— Co?

— Po prostu: co, u diabła, stało się z tą drugą kobietą? Tą, która wiedziała, że byłaby podejrzana, a nigdy nie była.

— Może się pomyliła albo wyolbrzymiła możliwość niebezpieczeństwa.

— Nie. Według dowodów jest ona byстрыm, opanowanym typem, który nie przestraszyłby się czy zdenerwował głupimi konkluzjami. Więc dlaczego się przestraszyła?

— Powiedział pan, że myśli, iż jest w to zamieszany jeszcze jeden człowiek. Może więc on znał się z moim mężem?

— Nie sądzę. Strader przyjechał tu, by spotkać się z kobietą; wpada się na to wszędzie, gdzie by się człowiek nie obrócił. Kobieta była u podstaw całej sprawy i siedziała w niej po szyję. Ale założmy, że to ten drugi człowiek — dlaczego on nie był podejrzany? Z tego, co pani mówiła o szeryfie, wynika, że nie mógłby rozmyślnie zataić żadnych dowodów. I nie myślę, by mógł to zrobić Redfield.

— Nie. Jestem pewna, że żaden z nich tego nie zrobił. Redfield jest bardzo twardym człowiekiem, ale sprawiedliwym. I uważam, że jest całkowicie uczciwy.

Zmarszczyłem brwi.

— Też w ten sposób go odebrałem. Ale coś go gryzie. Mam wrażenie, że on pani nienawidzi i nie przejmuje się tym, co oni tu pani robią, i równocześnie nienawidzi siebie za to, ponieważ z gruntu jest uczciwym gliną.

Pokiwała głową.

— Myślę, że rozumiem, o co panu chodzi. Pamięta pan, mówiłam, że w czasie przesłuchania zaczęłam odczuwać, że on mnie nie lubi. Wynika to z dwóch powodów. Mój mąż znał go dość dobrze i przypominam sobie jego uwagę, że Redfield był znany jako policjant z powołania. Nie było dla niego nic gorszego, niż widzieć, że przestępca wykręca się sianem. A drugą przyczyną jest chyba to, że mój mąż był dla Redfielda pewnego rodzaju bohaterem lat chłopięcych, podobnie jak dla wielu innych młodszych od siebie. Myślę tutaj o tym, że kiedy byli w podstawówce, okazał się najbardziej zdolnym uczniem, jaki kiedykolwiek był w miejscowej szkole, a kiedy byli w szkole średniej, został wytypowany do All-American* na Georgia Tech ze

* All-American — nazwa nadawana osobom cieszącym się dużą popularnością w swoim środowisku, posiadającym cechy cenione przez Amerykanów, takie jak: atrakcyjna powierzchowność, inteligencja, dążenie do osiągnięcia sukcesu zawodowego i pozycji społecznej itp.

zdjęciem i dużym artykułem w gazetach na Florydzie. Chłopięce uczucia, być może, ale przetrwały. Zawsze był popularny, szczególnie wtedy, gdy został bohaterem wojennym, a potem wyrobił sobie markę w interesach w Miami. No i głównie tutaj, w swoim mieście rodzinnym, zwłaszcza gdy wrócił, kiedy jego zdrowie podupadło i musiał się wycofać z interesów. Więc dla Redfielda i wielu innych to źródło jest krystalicznie czyste. To ja jestem przybędą i dziwką i popełniłam morderstwo, i uszło mi to płazem.

Powiedziała to dość spokojnie, bez śladów załamania. Trzeba było popatrzyć na nią z bliska, by dostrzec trzymane na wodzy zmęczenie i ból. Pragnąłem w jakiś sposób dodać jej otuchy, lecz w tym samym czasie zrozumiałem, że nic nie mogę zrobić. Z wyjątkiem posuwania sprawy naprzód.

— O której zameldował się Strader? — zapytałem.

— Około szóstej wieczorem, jak sądzę.

— I był sam? Przytaknęła.

— A wtedy w paździenniku, czy na kartach meldunkowych też jest wpisany sam?

— Tak.

— Nie przypomina sobie pani, czy były jakieś dowody wskazujące, że w pokoju była z nim kobieta?

— Nie — powiedziała. — Nawet jeśli były, to pokojówka robiąc porządki, mogła przypuszczać, że pokój był wynajęty dwóm osobom i nic nie powiedzieć. Ostatnio oczywiście było to bardzo dokładnie sprawdzane przez policję. Nie znaleźli żadnego śladu kobiety.

— A więc mieszka ona tu, w mieście, i on najwidoczniej nie przyprowadził jej do swojego pokoju, nawet późno w nocy. Albo przynajmniej nie ostatnim razem. Czy sprawdzali dokumenty w innych motelach, by się upewnić, że nie był tu kiedy indziej i nie zatrzymywał się w innym miejscu?

— Tak. Wyszło, że przyjeżdżał tu tylko trzy razy i z jakiegoś powodu zatrzymywał się u nas. To także oczywiście było obciążające.

— Przypomina sobie pani, czy widziała go później tego samego wieczora? To znaczy, gdy pani wyszła na zewnątrz, nie zauważyła pani, czyjego wóz

stał ciągle przed pokojem?

Potrząsnęła bezradnie głową.

— Nie. Pytali mnie o to, ale nie pamiętam. Wtedy było wynajętych osiem pokoi, więc miałam niewielkie szanse, by dostrzec, czy jakiś samochód był, czy go nie było.

— A pani mąż pojechał na ryby sam?

— Tak.

— O której godzinie wyszedł? Czy pani także wstała?

— Nie — odparła. — Zawsze proponowałam, że zrobię mu kawy do piersiówki, lecz on upierał się przy zrobieniu tego samemu. Rzadko zabierał jedzenie, bo zwykle wracał przed południem. Tego ranka wstał o trzeciej trzydzieści — pamiętam, jak wyłączał budzik. Dzwonek mnie też obudził, oczywiście, i słyszałam, jak mąż krząta się po kuchni, pije kawę i nalewa ją do butelki. Cały wędkarski ekwipunek i silnik do łodzi znajdowały się już w samochodzie, zawsze ładował je wieczorem. Zanim odjechał, wszedł do sypialni, jak zawsze to robił, i pocałował mnie, gdy zobaczył, że nie śpię. Tradycyjnym zwyczajem zażartowałam, że złapie takiego wielkiego okonia, że pokazując rękoma jego rozmiar nie będzie mógł skłamać, a potem usłyszałam, jak odjeżdża. Ja... ja... — Gwałtownie i drżąc złapała powietrze i pochyliła się, by zgasić papierosa.

— Nie słyszała pani innego samochodu? — zapytałam szybko, by nakłonić ją do przejścia przez ten zbyt bolesny fragment.

— Nie. — Teraz wszystko było w porządku. — Po chwili zasnęłam. Obudził mnie dopiero telefon od tej kobiety, która chciała rozmawiać z panem Carlsonem. Gdy w końcu przekonałam ją, że nie ma tu takiej osoby, byłam zbyt rozbudzona, by wracać do łóżka. Umyłam twarz i podgrzałam kawę — zawsze trochę dla mnie zostawiał. Po mniej niż dziesięciu minutach do drzwi zapukał szeryf.

— Czy wie pani dokładnie, o której wyszedł pani mąż? — zapytałam.

— Gdzieś między za dziesięć czwarta a czwartą. Prawie zawsze wychodził o tej samej porze. Od dzwonka budzika do wyjścia upływało dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.

— Ile czasu zabiera droga do Cut, gdzie trzymał swoją łódź?

— Około dwudziestu minut.

— Czy ustalili, o której dokładnie Calhoun zaskoczył Stradera?

Pokiwała głową.

— W czasie dochodzenia Calhoun oświadczył, że usłyszał pisk hamulców. Spojrzał na zegarek — była czwarta dwadzieścia pięć.

— Hmm. To coś już wiemy. Czy kiedykolwiek miała pani dowód, by podejrzewać, że mąż był związany z inną kobietą?

— Nie — powiedziała. — Oczywiście, że nie.

— Cóż, czasami w tym wieku...

W jej oczach pojawiła się złość.

— Mówiłam panu... — Przerwała raptownie. — Przepraszam. — Uśmiechnęła się. Przeciągnęła ręką po włosach typowym dla niej, pełnym zmęczenia gestem. — Nie zamierzałam warczeć na pana w ten sposób.

Była zmęczona. Uświadomiło mi to, że dość kiepsko wypełniam zalecenia doktora. Zgasilem papierosa i podniosłem się.

— Niech pani wraca do łóżka. Dam pani lekarstwo.

Przyniosłem jedną tabletkę nasenną ze swojego pokoju. Uśmiechnęła się.

— Pan i doktor Graham jesteście parą niezgrabnych konspiratorów. Nie przyszło panom na myśl, że gdybym chciała załatwić to w ten sposób, to zrobiłabym to dawno temu?

— Szczerze mówiąc, żaden z nas nie był zbyt pewien, jak pani to zniesie. Jest pani silniejszą kobietą, niż nam się wydawało.

Wstała i wyciągnęła do mnie rękę.

— Cóż, niech pan ucieka, zanim zorientuję się, że pan kłamie. Nigdy nie będzie pan wiedział, jak był pan miły.

— Dobranoc — powiedziałem szybko. — Rano porozmawiamy o interesach...

Zamknąłem drzwi i wyszedłem. Usiadłem na boku betonowej płyty przed swoim pokojem, paląc i obserwując okolicę. Czekałem na powrót Josie. Trudno powiedzieć, co mogli zrobić następnym razem.

Gdy Josie wróciła około dziesiątej trzydzieści, Georgia Langston spała spokojnie. Ustawiłem jej łóżko w bawialni, powiedziałem, by zaryglowała frontowe drzwi, i poszedłem do siebie.

Sprawdziłem, czy okno z tyłu jest zamknięte, a zasłony dokładnie zsunięte. Było coś deprymującego w myśli o tej śrutówce. Mogłem ciągle widzieć puste oczy na końcu jej dubeltowej lufy, ścigające mnie w mroku jak jakiś koszmarny radar. Tylko głupiec nie byłby przestraszony. Był sprytny i groźny, a ja nie miałem najmniejszego pojęcia, kim on jest. I jeżeli nie dopadnę

go, zanim spróbuje drugi raz, mogę prezentować się niezbyt pociągająco, gdy mnie znajdą.

Leżałem na łóżku w ciemności, słuchając cichego mrużenia klimatyzatora i próbując coś z tego zrozumieć. Langston żył jeszcze za dziesięć czwartą, a przybył tam o czwartej dwadzieścia pięć z rozwaloną głową, owinięty w brezent, na tyle swojej własnej furgonetki. To była dwudziestominutowa jazda. Zatem w ciągu najwyżej piętnastu minut pojechał dokądś i dał się zabić. Nie mógł odjechać bardzo daleko. Ale to nic nie znaczyło. To małe miasto, a o tej porze, bez ruchu ulicznego, człowiek mógł przejechać je z jednego końca w drugi przez mniej niż pięć minut.

Lecz skąd się wzięła ta kobieta? Nawet jeśli był podrywaczem, czego nikt ani razu nie powiedział, to nie wybrały się na „łowcy” o czwartej nad ranem w takim miasteczku. Nie ze sprzętem na okonie, zaburtowym silnikiem i butelką kawy. To było absurdalne.

Kobieta znalazła się w tym układzie, ponieważ była przyjaciółką Stradera, osobą, do której przyjechał. Ale jaki związek mógł zachodzić między przyjaciółką Stradera a Langstonem? Łatwo na to odpowiedzieć, oczywiście, z policyjnego punktu widzenia. Langston był jej mężem. Więc idźmy dalej tym tropem. Mieszkała tutaj. Gdzieś wcześniej musiała poznać Stradera. Przyjeżdżał tu trzy razy w ciągu dwóch miesięcy, by się z nią spotkać, a to tysiącmilowa przejażdżka. Strader, jak wszystko na to wskazuje, nie był spragnionym miłości młodzieniaszkiem, więc ona musiała być niezłą babką. Oczywiście, trudno jest mi wyczuć, do czego może być zdolny inny mężczyzna, ale ile do tej pory widziałem takich kobiet, które mogłyby sprawić, że pędziłbym do nich przez całą długość stanu Floryda?

Jedną. Znow wróciłem do policyjnego punktu widzenia.

Westchnąłem w ciemności i zapaliłem papierosa. Ta kobieta była gdzieś tutaj i ja musiałem ją znaleźć.

Miałem jedną bardzo mizerną wskazówkę. Gdy do mnie zadzwoniła, nie próbowała nawet zamaskować swojego głosu, czy ukryć go pod niewyraźnym belkotem pijaczki, jak to zrobiła, gdy telefonowała do pani Langston. To po prostu nie było konieczne, ponieważ pół godziny później miałem nie żyć. To nie było wiele, ale zawsze coś.

Ale jak wytłumaczyć tę męczącą sprawę wentylatora?

Wtedy usiadłem wyprostowany na łóżku, wyzywając się od idiotów. Dlaczego nie dostrzegłem tego wcześniej? Nie było w tym nic tajemniczego. W

czasie pierwszej rozmowy, kiedy odwiesiła słuchawkę, nikt jej nie przeszkodził, jak myślałem, ani nie zrobiła tego dla uwiarygodnienia swojej historii. Albo nie jedynie. To był również test. Sprawdzali mnie.

Gdzieś zobaczył, jak wchodzę i wychodzę z kabin telefonicznych, i domyślił się, po co to robię, ale chciał być absolutnie pewien. Więc czy mogło być coś prostszego od dania mi do posłuchania innego hałaśliwego wentylatora postawionego obok jakiegoś innego telefonu i obserwowanie mnie w czasie, gdy do mnie dzwoniła? Gdybym przebiegł przez ulicę próbując ją złapać, kiedy przerwie rozmowę, wtedy byłby wiedział na pewno. Zrobiłem to. I on już wiedział. Więc zadzwoniła drugi raz i wysłała mnie na spotkanie z dubeltówką. Bardzo sprawna praca zespołowa; człowiek musiał to przyznać, nawet gdy to go przerażało.

Im dalej, tym lepiej. Bo to znaczyło, że musiał być jednym z tej czwórki, która siedziała w lokalu za pierwszym razem — Rupe, Dunleavy, Ollie czy Talley? Niekoniecznie, pomyślałem; wyglądało na to, że oni wiedzieli o wszystkim, co robię w tym mieście, więc nawet jeśli on zauważył mnie gdzieś indziej i śledził, by się upewnić, co robię, mógł dowiedzieć się od wielu ludzi, że w końcu wyjechałem za miasto i sprawdziłem kabinę w Silver King. Ale ostatecznie byłoby bardziej sensowne, gdyby to był jeden z tej czwórki. Wiedział, że mam więcej powodów, by go podejrzewać, ponieważ był na miejscu.

Zakładając, że był jednym z tych czterech. Który? Dunleavy pracował na stacji benzynowej właśnie przy tej drodze. Mógłby widzieć mnie, gdy jeździłem w tę i z powrotem. Ollie cały czas tam był. Pearl Talley wszedł wkrótce po mnie. Tylko dla Rupe'a nie było wytłumaczenia. Czy to czyniło go bardziej czy też mniej podejrzanym od innych? Mógł obserwować mnie skądkolwiek i pozostawać poza zasięgiem wzroku.

Czy to nie byłoby bardziej naturalne, zamiast wejść otwarcie, jak zrobił to Talley? Pewnie, pomyślałem, pomijając jedną rzecz. Mój tok rozumowania dla tego faceta nie miał żadnego znaczenia. Po prostu później miałem być martwy.

Więc równie dobrze mógł to być Talley. Nie, pomyślałem. Nie z tym papkowatym akcentem chłopaka z Georgii. Kimkolwiek by ten człowiek nie był, słyszałem go dwukrotnie przez telefon i mimo że za pierwszym razem szeptał, a za drugim bardzo cicho mówił, to gdyby to był Talley, taki akcent zdołałby usłyszeć. Zostało zatem trzech.

Teraz więc miałem dwie bardzo cienkie nici, za którymi miałem pójść, obie dowodzące, że nie docenili mojego pragnienia, by jeszcze trochę pożyć.

Teraz wiedzieli, że je mam, więc nie popełnią drugi raz tego samego błędu.

Upłynęło dużo czasu, zanim w końcu zasnąłem.

Świtało, gdy minąłem dwie skrzynki pocztowe i ruszyłem gruntową drogą wśród sosen. Przy żadnym z dwóch domów nie było nikogo. Minąłem pochylnię do wprowadzenia bydła, stado młodych przepiórek przecięło mi drogę i zerwało się, eksplodując jak pierzaste pociski, żeglujące ponad gałęziami palmetto. Po kilku minutach skręciłem i zatrzymałem się pod drzewem przed osmalonym kominem.

Obudziłem się przed świtem i prawie natychmiast zostałem uderzony przez myśl, że wczoraj na tej drodze prawie na pewno nie było żadnych śladów jadącego przede mną samochodu, przynajmniej po tej stronie zabudowań. Wobec tego jak on się tu dostał? Jakaś droga musiała prowadzić w lesie za polami. Gdybym ją znalazł, mógłbym zlokalizować miejsce, gdzie zostawił swój wóz.

Było wilgotno i ciepło, a powietrze było kompletnie nieruchome, jak gdyby dzień zawisł w powietrzu i wstrzymał oddech, czekając, by wybuchnąć. Panowała cisza, tylko od czasu do czasu gdzieś na polu rozległo się przepiórcze bob-bob-wiit. Wciąż nie było całkiem widno, ale widziałem na tyle dobrze, by dostrzec ślady opon obok tych, które pozostawiłem wczoraj. Rudowłosy pomocnik szeryfa, pomyślałem. Gdy nie udało mu się sprowokować mnie do czynnego znieważenia funkcjonariusza, był dostatecznie znudzony, by przyjechać tutaj i zrobić ślad sugerujący, że odwalił swoją robotę. Przez chwilę prawie czułem współczucie dla Redfielda. Była to smutnie uboga placówka, z jednym gliną i dwoma pajacami.

Wchodzenie do stodoły nie miało sensu — było w niej zbyt ciemno, bym mógł coś zobaczyć. Minąłem ją, słysząc, jak sucha trawa chłoszcze mnie po butach, i czując ziąb między łopatkami, gdy myślałem o tej dubeltówce wypalającej ponad moją głowę. Jakieś dwieście jardów dalej, przy końcu najmniejszego pola, przepełnąłem między pasmami kolczastego drutu i wszedłem do lasu. Rosły w nim głównie dęby i karłowate sosny. Dotychczas nie widziałem żadnych odcisków stóp, ale nie ludziłem się, że jestem skautem czy tropicielem. Przez całe życie mieszkalem na sztucznej nawierzchni. Tym, czego szukałem, była droga; ją mógłbym zauważyć.

Przeciąłem piaszczysty wawóz, w którym płynęła mała struga; za nim znajdował się łagodnie nachylony stok. Szedłem dalej. Była to łatwa wędrówka,

podszycie było niezbyt gęste i tylko gdzieniegdzie rosły kępy wyschniętej trawy i pokrzyw. Świtało. Po kilku minutach znalazłem drogę. Były to zaledwie dwie wyryte w ziemi koleiny, wijące się wśród drzew, ale były w nich wyglądające całkiem świeżo ślady opon. A przynajmniej nie powstały przed ostatnim deszczem. Droga w przybliżeniu biegła z północy na południe, równoległe do szosy. Zaznaczyłem to miejsce, rzucając patyk w jedną z kolein, i skręciłem w prawo, idąc na południe, w kierunku drogi głównej. Po przejściu pół mili nie ujrzałem żadnego śladu wskazującego, że samochód się zatrzymał albo skręcił z kolein. Zawróciłem i poszedłem z powrotem, a kilkaset jardów na północ od znaku znalazłem to, czego szukałem. W lewo odbijała jeszcze słabiej widoczna para kolein, prowadząca w kierunku pół za stodołą, i w gruncie widoczne były świeże odciski. Miały one standardowy geometryczny wzór, co nic nie znaczyło — wszędzie były tysiące takich. Wschodziło słońce.

Poszedłem za śladami, wędrując między koleinami. W miejscach, gdzie grunt był przykryty dywanem sosnowych igieł, nie były one wcale widoczne, ale w innych znajdował się piasek i tam zbadalem je dokładnie, szukając usterek czy nacięć, które pomogłyby mi zidentyfikować opony. Nic nie zobaczyłem. Po około dwustu jardach doszedłem do miejsca, w którym się zatrzymał i zawrócił. Całkiem duża sosna upadła w poprzek drogi i nie było sposobu, by ją objechać. Zbadalem ślady. Pociągnął w lewo, skręcając, jak tylko było to możliwe, a następnie wyjechał tyłem na drogę, przodem w stronę, z której przyjechał. Kilka kropel oleju wsiąkło w piasek między koleinami, co znaczyło, że ktokolwiek by to nie był, to nie tylko zawrócił w tym miejscu, ale zatrzymał się na dłużej. Pokiwałem głową i zapaliłem papierosa. To miejsce znajdowało się mniej niż pół mili od stodoły; taak, to był mój chłopak.

Jednak nie było nic, co mogłoby go zidentyfikować czy pomóc ustalić, że był sam. W jednym czy dwóch miejscach znalazłem wprawdzie odciski stóp, ale okazały się za mało wyraźne. Potem coś jednak zauważyłem. Zawracając, miał ograniczoną przestrzeń z powodu rosnących wszędzie wokół drzew i w jednym miejscu wjechał na młodą sosnę. Stałem, przyglądając się jej. Małe zadrapanie w korze nie budziło wątpliwości, z tym że znajdowało się zbyt wysoko, co najmniej osiemnaście cali nad miejscem, w którym powinno być. Wtedy domyśliłem się, co je wyłobilo. Nie zderzak samochodu; tył pikapa.

Talley jeździł taką ciężarówką. Jej obraz rozbłysnął w moim umyśle — samochód z kurzym łąjnem na bokach, stojący przed Silver King.

Wzruszyłem ramionami, zastanawiając się, dlaczego zawracam sobie głowę, tym akurat błaznem. Okrążywszy zwałone drzewo, poszedłem na zachód, w kierunku pola. Gdzieś między starymi koleinami były widoczne ślady stóp, a około stu jardów dalej natknąłem się na wpół wypalonego papierosa, wgniecionego obcasem w ziemię. Miał on biały ustnik z filtrem, a gdy rozprostowałem rozdartą i zgniecioną bibułkę, mogłem przeczytać nazwę gatunku. Był to kent.

Gdy wróciłem do stodoły, słońce stało już dość wysoko i było na tyle jasno, że w środku udało się coś zobaczyć. Nic nie znalazłem, z wyjątkiem ostro poharataney deski przy wierzchołku drabiny, gdzie uderzył nabój. Puste łuski zostały zabrane. Stałem, patrząc na pokaleczoną deskę, i czułem zimny niepokój. Co zrobią następnym razem? I gdzie? Wiedzą, że zwabienie mnie w pułapkę będzie teraz o wiele trudniejsze, więc nie mogą załatwić mnie tu na wsi. Czy ośmielią się spróbować w mieście, z samochodu? Prawdopodobnie w nocy, pomyślałem; musiałem być czujny przez cały czas. Na samą myśl człowiek dostawał gęsiej skórki.

Pojechałem do miasta, zjadłem śniadanie w Steak House i zadzwoniłem do biura szeryfa. Zgłosił się Magruder. Powiedział, że Redfield wziął wolny dzień.

— Czego pan chce? — zapytał zaczepnie.

— Prawdziwego gliniarza — odparłem i odłożyłem słuchawkę.

W książce telefonicznej znalazłem domowy numer Redfielda i zadzwoniłem. Bez skutku.

Zaczęto otwierać sklepy. Wszedłem do tego z towarami żelaznymi i kupiłem stustopową taśmę mierniczą, a w sklepie z drobiazgami — tanie przybory do rysowania. Nim wróciłem do samochodu, spróbowałem jeszcze raz dodzwonić się do Redfielda. Ciągłe nikt nie podnosił słuchawki. Spojrzałem na adres; istniała możliwość, że pracował na podwórzu i nie słyszał telefonu. Mieszkał na Clayton 1060. Była to trzecia ulica na północ od Springer. Pojechałem tam. Za ostatnią przecnicą ulica kończyła się ślepo przed ogrodzonym sadem brzoskwiniovym. Po lewej stronie znajdował się plac zabaw i boisko do baseballu, ogrodzone wysoką drucianą siatką. Dom stał po prawej, jedyny w całym kwartale. Był niski, w stylu rancza, świeżo wymalowany białą farbą. Wiejska skrzynka na listy przed frontem nosiła starannie wykligrafowane nazwisko: K. R. Redfield. Zatrzymałem się i wysiadłem.

Jedno z nich, on lub żona, musiało być ogrodnikiem. Była to duża parcela, prawdopodobnie pół akra, a trawnik przed frontem świadczył o starannej

opiece. Po lewej stronie znajdował się betonowy podjazd i wysoka na sześć stóp krata z rozpiętym przepięknie ognikiem szkarłatnym. Ogrodzenie tego samego typu, z pnącymi różami, stało po prawej, z kolejnym pasem trawnika i chodnikiem z cegieł położonych w piasku. Wszedłem na werandę i zadzwoniłem. Bez odpowiedzi. Zajrzałem na tyły domu.

Garaż znajdował się co najmniej sto jardów dalej, obok skrzydła tego L-czy J-kształtnego domu. Drzwi były zamknięte. Obok nich jak płomień pyszniła się bugenwilla. Cofnąłem się i skręciłem za róg, mając nadzieję, że może pracuje na podwórzu. Po prawej stronie rósł duży dąb, pod nim znajdował się wykładany ceglami chodnik, dwie brzoskwinie i kolejny pas akksamitnego trawnika. Musiał tu pracować, najwidoczniej kładąc niski ceglany murek do podniesienia kwietników z tyłu trawnika, lecz teraz nie było nikogo w zasięgu wzroku. Obok miejsca pracy ciągle leżały narzędzia, a na jednym końcu chodnika leżała kupa piasku i worek cementu.

Minąłem cicho narożnik skrzydła i gdy odwróciłem się, by odejść, rzuciłem leniwe spojrzenie na zakątek utworzony przez dwa skrzydła domu. Znieruchomiałem z zakłopotania. Prawie u moich stóp na ogromnym plażowym ręczniku leżała na plecach, stopami zwrócona w moją stronę i z rękoma pod głową, dziewczyna o wiśnioworudych włosach. Była kompletnie naga, pomijając ciemne okulary, które mierzyły prosto w moją twarz pustym, tajemniczym spojrzeniem. Zawróciłem i umknąłem za róg, zanim zrozumiałem oczywisty, ale pocieszający fakt, że była pogrążona we śnie. Mimo wszystko, gdy śpieszyłem do wyjścia i wsiadałem do samochodu, cały czas byłem czerwony.

Ciągle ją widziałem. Była żoną Redfielda i nie chciałem jej tak zobaczyć. Pelen poczucia winy próbowałem wymazać jej obraz z pamięci, ale tkwił w niej jak oślepiający płomień elektrycznego łuku spawalniczego widoczny pod powiekami, gdy za późno zamknie się oczy. Widziałem ciemne włosy rozrzucone na ręczniku i plastikową butelkę olejku do opalania obok jej biodra, i wklęsłość brzucha... Zakląłem i zawróciłem samochód.

Przy końcu kwartału skręciłem w lewo i wyjechałem na szosę obok Spanish Main. Dom Redfielda znajdował się niemal za motelem Magnolia. Nie dalej niż ćwierć mili, pomyślałem.

Rozdział 10

Georgia Langston jeszcze spała. Wypiłem w kuchni z Josie filiżankę kawy, przebrałem się w wypłowiałe drelichowe spodnie i zabrałem do pracy. Z pokoju numer pięć wyciągnąłem resztę zniszczonego dywanu, rzuciłem go na żwir na kupę resztek materaców, pościeli i zasłon i zadzwoniłem po ciężarówkę, by przewiozła to na miejskie śmietnisko. Gdy odjechała, jeszcze raz umyłem pokój węzłem i miotłą wygarnąłem wodę za drzwi. Reszta kwasu powinna być już na zewnątrz, a za cztery czy pięć dni, gdy pokój będzie zupełnie suchy, będę mógł go wymalować i położyć nowy dywan.

Złość na tę całą bezsensowną dewastację zaczęła mi trochę przechodzić i poczułem się lepiej. Cudownie było znów coś robić. Słońce paliło i pot spływał mi po ramionach, gdy wziąłem taśmę, duży blok i ołówek i wyszedłem przed motel. Stałem przy znaku, skąd widziałem cały front, i kiedy zacząłem sobie wyobrażać, jak to wszystko może wyglądać, chciałem rzucić się na narzędzia i zaraz zacząć podbój, wściekle, w gorącym słońcu. Zrobiłem surowy szkic parceli i budynków, rozwinąłem taśmę i zacząłem zapisywać wymiary. Zabrałem wszystkie dane do pokoju, włączyłem klimatyzację i narysowałem to w skali na potężnym arkuszu rysunkowego papieru, umieszczając w środku, prawie przed biurem, basen o wymiarach piętnaście na trzydzieści stóp, z betonowymi krawężnikami i trawnikiem naokoło. Podjazd od drogi miałby nawierzchnię asfaltową, tak samo jak parking przed pokojami. Sąsiadowałyby z nim dwie rabaty z kwiatami, a zewnętrzne krańce trawników obsadzone byłyby gęstymi bambusami. Powinny tutaj rosnąć, i to szybko. Podświetlić je od dołu kolorowymi reflektorami — może wyglądałoby to kiczowato i nieco przesadnie, ale byłoby widowiskowe i wręcz pożądane. Plac zabaw dla dzieci tutaj, w tym końcu trawnika.

Dzieliłem to wszystko na jardy kwadratowe trawnika, asfaltu i betonowych płaszczyzn, stopy bieżące podziemnych przewodów i rur wodociągowych, i ilość zraszaczy, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Spojrzałem na zegarek i byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem, że jest po jedenastej. To mnie naprawdę wciągnęło.

— Proszę — powiedziałem.

Była to Georgia Langston. Miała na sobie białą spódniczkę i bluzkę z krótkimi rękawami w kolorze cynamonu i wyglądała na wypoczętą i już spokojniejszą. I uśmiechała się.

— Nie przeszkadzam? — spytała.

— Nie. Niech pani wejdzie. Chcę pani coś pokazać.

Podniosłem się. Podeszła i stanęła przy moim ramieniu, gdy objaśniałem jej rysunek.

— I co pani myśli?

— Myślę, że to byłoby absolutnie cudowne — powiedziała cicho. — Lecz czy jest pan pewien, że chce pan to robić?

— Tak. Im dłużej na to patrzę, tym bardziej mi się podoba. A zatem ubijamy interes?

Skinęła głową. Potem nagle uśmiechnęła się ciepło i wyciągnęła rękę.

— Przeleję pieniądze na konto w miejscowym banku — powiedziałem.

— Zajmie to kilka dni. W międzyczasie niech pani prawnik przygotowuje umowę o współpracy.

— W porządku. — Chwilę później powątpiewająco potrząsnęła głową. — Ale, Bill, czy możemy znów otworzyć motel? Nie wiemy, co zrobią następnym razem.

Złapałem ją za ramiona.

— Pracuję nad tym. Mam kilka małych wskazówek i teraz próbuję złapać Redfielda.

— Czy sądzi pan, że on kiedykolwiek coś zrobi?

— Tak — powiedziałem. — Spróbujemy razem.

Kiedy poszła z powrotem do biura, zdjąłem przepocone ubranie, wzięłem prysznic i zmieniłem opatrunek na ramieniu. Założyłem świeżą sportową koszulkę i nowe spodnie i przygotowałem tobolek z rzeczami, by oddać je do pralni w mieście.

Była za piętnaście dwunasta, gdy pojawiłem się u Redfieldów, i tym razem miałem więcej szczęścia. W chwili, gdy się zatrzymałem, wyłowilem go wzrokiem po prawej stronie domu. Pracował na podwórzu. Raczej niepewnie ruszyłem chodnikiem, lecz kiedy mnie zobaczył i nie wykonał żadnego ruchu, by mnie wyrzucić, wywnioskowałem, że wszystko w porządku. Żony nie było na zewnątrz.

Był bez koszuli, klęczał przy niskim ceglany murku. Obok niego, w cieniu potężnego dębu, stały taczki z zaprawą murarską. Popatrzył w górę.

— Dzień dobry — powiedziałem.

Skinął głową, ale nie odpowiedział. Zastanowiłem się, czy myśli, że przyszedłem narobić kłopotów. Gdy stracił panowanie nad sobą, potraktował mnie w biurze dość brutalnie, a ja ważyłem sporo więcej; i teraz znajdował się daleko od swojego pistoletu. Lecz jeśli nawet taka myśl przyszła mu do głowy, to nie wydawał się tym przejmować.

Zapaliłem papierosa i przykucnąłem, obserwując go. Był dobrym gliną, ale jako murarz amator Churchillowi nie dorastał do pięt.

— Chciałem coś panu powiedzieć — odezwałem się. — Pojechałem tam dziś rano. I znalazłem miejsce, gdzie zaparkował swój samochód.

— Nie zabieram roboty do domu. — Nawet na mnie nie spojrzął.

Niezgrabnie posługiwał się kielnią, większą część zaprawy wpychał między cegły i wyrównywał palcami.

— Niedługo straci pan czubki palców — zauważyłem. — Ten materiał jest bardzo ostry.

— Wiem. Po półgodzinie bolą tak, jakbym pocierał je papierem ściernym.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli coś panu pokażę?

— Jest pan murarzem?

— Niezrzeszonym. Ale robiłem takie rzeczy na patiach — chodniki, murki, wykończenia.

Przez chwilę nic nie mówił i pomyślałem, że się nie zgodzi. Raptem podał mi kielnię i przesunął się nieco do tyłu. Pokazałem mu, jak rzucać zaprawę, rozkładać czubkiem kielni w kierunku brzegów i jak pociągnięciem kielni smarować koniec nowej cegły. Położyłem ją na miejsce, zgarnąłem nadmiar zaprawy i zająłem się następną. Położyłem jeszcze trzy.

Obdarzył mnie szybkim, twardym uśmiechem.

— Jak pan to robi, to wygląda diabelnie łatwo.

— Kwestia praktyki — odparłem. — Powinien pan bardziej namoczyć cegły. Są zbyt suche.

— Co to daje? — zapytał.

— Cegły są porowate, więc pochłaniają zbyt szybko wilgoć z zaprawy. Staje się ona zbyt krucha i nie wiąże. Ma pan jakiś pojemnik, by je namoczyć?

— Jasne. — Poszedł do garażu i wrócił z małą blaszanką na odpadki. — Nadaje się?

— Idealnie. — Załadowaliśmy cegły do pojemnika i włożyliśmy wąż. — Niech im pan pozwoli przez parę minut nasiąkać, a potem niech je pan powymuje.

Pokiwał głową i wytarł pot z twarzy.

— Co pan powie na małe piwo?

— Nie odmówię — odpowiedziałem.

Przez tylną werandę wszedł do kuchni i po minucie pojawił się z dwiema puszkami piwa. Przykucnęliśmy w cieniu. Popatrzyłem na resztę patio. Drugie skrzydło domu rozpościerało się za nami w stronę podjazdu, na którym widziałem przednie koła i maskę starego samochodu, stojącego tuż za rogiem. W centralnej części znajdowało się olbrzymie okno, pod nim rosły kwiaty, a ceglany chodnik prowadził do wewnętrznej części litery L. Tam, gdzie ona leżała. Próbowałem o niej w ogóle nie myśleć i miałem nadzieję, że się nie pojawi.

Wskazałem na gąszcz bugenwilli, rozpiętej na garażu.

— Nie marznie panu tutaj? Jak pan ją chroni?

Pociągnął lyk piwa.

— Mieliśmy tylko dwie czy trzy zimy na tyle ostre, by mogły ją skrzywdzić. Ocieplam donicę i to ją chroni.

Omówiliśmy też miejscowe odmiany traw. Był w tym zorientowany i nieco surowości ustąpiło z jego oczu, gdy się zapalił do tematu. Spoglądał na mnie z zainteresowaniem.

— Mówi pan jak ogrodnik. Jak to się stało, że wie pan tyle o tych sprawach?

— Miałem wuja, który był architektem krajobrazowym. Czasami pracowałem u niego. — Opowiedziałem mu o interesie z Georgią Langston i o tym, co chciałem zrobić na jej gruntach.

Pokiwał głową.

— Więc to interesy? — Obrócił puszkę piwa w rękach, przypatrując się napisom. Potem rzucił lakonicznie, trochę skonfundowany: — Przepraszam za to zajście w biurze.

— Nie ma o czym mówić.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął paczkę papierosów i wysunął w moją stronę. — Zapali pan? To były kentys.

— Dzięki. — Wziąłem jednego i zapaliliśmy. Skończyliśmy piwo i Redfield wstał.

— Muszę wyładować resztę cegieł — rzekł. — Podjadę tyłem.

— Pomogę panu. — Byłem w dobrym nastroju, bo cały czas miałem co do niego rację.

Skręcił za rogiem przeciwnego skrzydła i usłyszałem trzaśnięcie drzwi w samochodzie. Wjechał w pole widzenia. Okazało się, że to pikap. Skręcił, podjechał kawałek tyłem i zatrzymał się. Rzuciłem szybkie spojrzenie na tylne koła. Ślady miały taki sam geometryczny wzorek, jaki widziałem tam w lesie.

Nie dałem nic po sobie poznać. To nic nie znaczy, pomyślałem. Mnóstwo ludzi pali ten gatunek papierosów, dookoła są setki pikapów, a takie opony są jednymi z najbardziej popularnych. Ale *wtedy* nie było go w biurze, gdy ja tam przyszedłem.

Rozładowaliśmy cegły i ułożyliśmy je w stos. Oparł się o klapę i patrzył na mnie zamyślony.

— Mówi pan, że był pan tam dziś rano? I znalazł pan miejsce, w którym się zatrzymał?

— Tak.

— A zatem wie pan, czym przyjechał?

Nie byłem zbyt pewien tego, co zrobię później, ale robienie uników nie miało sensu.

— Tak — odparłem. — Pikapem.

Pokiwał głową z aprobatą.

— Zastanawiałem się, czy dostrzeże pan tę rysę na młodym drzewku.

Bądź co bądź, przyniosło mi to pewną ulgę. Tamten osobnik, którego nie znałem, był dostatecznie niebezpieczny, ale Redfield byłby gorszy.

— A więc był pan tam również? — zapytałem.

— Tak, po tym, jak Mitchell wrócił i powiedział, że prawdopodobnie było tak, jak pan mówi. Domyślałem się, jak on tam się dostał, więc znalazłem tę drogę z tyłu i dojechałem do miejsca, w którym zawracał przy zwałonym drzewie.

— Poszedł pan do stodoły?

— Jasne. — Wyszczrzył zęby w twardym uśmiechu. — Jeśli ma pan na myśli ten niedopałek, to ja go zostawiłem. Nie sądzi pan chyba, że byłby na tyle głupi, by zostawiać po sobie ślady?

— Nie — powiedziałem. — Po zastanowieniu się nad tym, przypuszczam, że nie.

W tej chwili na podjazd wjechał drugi samochód, kombi, i zatrzymał się przed garażem, a ja zdałem sobie sprawę, że zostałem tu zbyt długo. Dziewczyna, która wysiadła, mogła być piękną nieznajomą, gdyby nie fakt, że ja musiałem z sobą mocno walczyć, by przywitać ją tak, jakbym ujrzał ją po

raz pierwszy. Żywiłem nadzieję, że moja twarz jest uprzejmą, pozbawioną tego *innego* wyrazu maską.

Ciemnorude włosy miała uczesane w sięgający do ramion koński ogon, ubrana była w sandały i bawełnianą sukienkę i miała klasyczną owalną twarz. Była bardziej niż piękna. I prawdopodobnie bardziej opalona... zakląłem w duchu.

Redfield przedstawił nas raczej sztywno. Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się.

— Pan nie jest stąd, panie Chatham, prawda? — zapytała uprzejmie.

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Z San Francisco.

Przyglądała mi się zamyślonym wzrokiem.

— A jednak to dziwne. Odnoszę wrażenie, że gdzieś wcześniej pana widziałam.

Udało mi się cudem zachować opanowany wyraz twarzy.

— Cóż jestem w mieście od dwóch czy trzech dni.

— To może stąd... — Uśmiechnęła się uroczo. — Miewał pan chyba takie uczucie, panie Chatham...? To znaczy takie wrażenie, że widział pan kogoś wcześniej?

— Och, pewnie — odpowiedziałem. — Przypuszczam, że każdy je czasem miewa.

Byłem wściekły i jednocześnie niespokojny, bo nie wiedziałem, do czego zmierza. A więc nie spała. Wobec tego musiała zdawać sobie sprawę, że natknąłem się na nią przypadkowo i że uciekłem w chwili, gdy tylko ją zobaczyłem.

— Jak podoba się panu nasz ogród? — zapytała. — Nie sądzi pan, że Kelly zrobił cudowną robotę?

— Tak. Jest rzeczywiście ładny.

Naprawdę była szalona. Minęły jedna czy dwie minuty, zanim mogłem wycofać się tak, by nie wyglądało to niegrzecznie. Redfield nie powiedział nic, z wyjątkiem podziękowania mi za pomoc.

— Musi pan tu wrócić, panie Chatham — dodała ona.

— Oczywiście — odrzekłem. — Dzięki.

Poszedłem do samochodu, zastanawiając się, czy zostawiam krwawe ślady na podjeździe. O co jej chodziło, co próbowała zrobić? Dlaczego wystąpiła tak otwarcie? Czy to w ogóle było to? Może chodziło jej o sprowokowanie mnie? A może o zaproszenie?

W obecności swojego męża? *Redfielda*? Jeśli lubi takie niebezpieczne życie, dlaczego nie gra w rosyjską ruletkę z załadowanymi wszystkimi komorami?

Kiedy wróciłem do motelu, Georgia Langston siedziała za biurkiem, uzupełniając księgi motelowe. Josie mruczała z oburzeniem.

— Nie mogę nic z nią zrobić, panie Chatham.

— Ja mogę. — Zamknąłem księgi, złapałem ją pod ramię i zaprowadziłem do sypialni. Poprawiając poduszki, powiedziałem ostro: — Do łóżka.

Westchnęła w przesadzonej udręce, ale położyła się. Zdjąłem jej sandałki, rzuciłem je obok łóżka i usiadłem w fotelu. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

— Jest pan brutalny. Ale miły.

— Tak się składa, że uważam, iż pani jest również bardzo miła — odparłem. — A ja nie lubię, gdy sami się wykańczają ci, których lubię, więc pani zostanie tutaj. Poza tym, chcę z panią porozmawiać.

Zrobiła nadąsaną minę.

— Dobrze, czy myśli pan, że mogę zapalić, doktorze?

Przypaliłem jej papierosa, sam też wziąłem.

— Jak dobrze pani i pani mąż znaliście *Redfieldów*? — zapytałem.

— Niezbyt dobrze. Rzadko bywaliśmy gdziekolwiek. Nie można się bawić i jednocześnie kierować motelem. Chyba dwa czy trzy razy graliśmy w brydża. Ale on i mój mąż całkiem często jeździli na ryby.

— To kolejna sprawa, o jaką chciałem panią zapytać. Czy nie bała się pani o niego, gdy sam wyjeżdżał na ryby? Mam na myśli to, że był po dwóch atakach serca.

Pokiwała głową.

— Oczywiście, ale właściwie to nigdy sam nie jeździł. Jedynym powodem, dla którego tym razem wybrał się sam, było to, że w ostatniej chwili *Redfield* musiał wyjechać z miasta, a mąż nie mógł znaleźć nikogo innego...

— Zaraz, zaraz — wtrąciłem szybko. — Chce pani powiedzieć, że mąż i *Redfield* planowali wspólny wyjazd, ale *Redfield* musiał go odwołać? Niech mi pani dokładnie opowie, jak to się stało.

Popatrzyła na mnie pytająco.

— Wie pan, to wszystko miało miejsce w czwartek. Wyjazd planowali od poniedziałku, czy coś koło tego, ale około południa w środę *Redfield* zadzwonił. Zaraz potem wyjeżdżał z miasta, udając się gdzieś do Alabamy,

jak pamiętam. Jakaś ekstradycja więźnia czy coś podobnego... Powiedział, że przeprasza, że nie zadzwonił wcześniej.

— Rozmawiał z panią? Nie z pani mężem?

— Ze mną. Kendall był gdzieś na zewnątrz.

— I pani przekazała mu tę wiadomość? Jest pani tego pewna?

— Oczywiście. Ale dlaczego pyta mnie pan o to wszystko?

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Jednak coś mnie w tym intryguje. Powiedziała pani, że Redfield przepraszał, ponieważ nie zadzwonił wcześniej? Czy powiedział, że to dlatego, że nie wiedział o tym wcześniej, czy też że zapomniał go uprzedzić?

Zastanowiła się.

— Chwileczkę. Teraz sobie przypominam. Jestem całkiem pewna, że powiedział, że uciekło mu to z pamięci.

Pokiwałem głową.

— Dobrze, jeszcze minutę. Mówiła pani, że Redfield przesłuchiwał panią razem z szeryfem. To znaczy następnego dnia? Czy jego wyjazd został odwołany, czy też pojechał i zdążył wrócić?

— Niech pomyślę — powiedziała. — Zabrali mnie do biura szeryfa około dziewiętej trzydzięci... Wiem, że Redfielda wtedy nie było. Przyszedł gdzieś koło południa czy pierwszej.

Wobec tego najwyraźniej wyjeżdżał z miasta. I wiedział o tym przed południem poprzedniego dnia, możliwe, że wcześniej rano. Zacząłem odczuwać podniecenie. Chwilę później ustąpiło. Jaki związek mógłby go łączyć z Langstonem, zakładając, że moje dzikie przypuszczenie było prawdziwe?

— Czy wie pani coś o pani Redfield? Skąd pochodzi, jak długo są małżeństwem i tak dalej?

— Niece. Nie wiem za dużo. Jak mówiłam, spotkałam ją tylko kilka razy. Ale wydaje się być bardzo miła. Była nauczycielką i, jak kojarzę, pobrali się trochę ponad dwa lata temu.

— Czy jest tutejsza?

— Zdaje się, że przybyła z Warren Springs. To około sześćdziesięciu mil stąd. Ale ma tutaj krewnych; nigdy pan nie uwierzy, jeśli pan ją spotka, że taka atrakcyjna dziewczyna jest kuzynką tego okropnego Pearlę Talleya...

— Talleya? — przerwałem jej ostro.

— Ho-ho. — Uśmiechnęła się. — Ze sposobu, w jaki pan to powiedział, wnioskuję, że jego już pan spotkał.

— Dwukrotnie... — Opowiedziałem jej o tym.
— Cały Talley, bez dwóch zdań. Zagrywka ze szminką jest dla niego typowa. Większość tu uważa, że jest zabawny, lecz według mnie zachowuje się oburzająco. Te zdeprawowane dziewczyny, z którymi się zadaje... I nie chodzi o to, że jest głupi czy nie zna żadnej porządnej panny. To bardzo inteligentny i chyba najbardziej bystry biznesmen w okręgu. Jest współwłaścicielem kina, posiada złomowisko i nie wiem ile nieruchomości.

— Wiem, a przynajmniej słyszałem o jego farmach. Ale co jeszcze wie pani o żonie Redfielda?

— Cóż, wydaje mi się, że ją również pan już spotkał — rzekła chłodno.
— Jest najbardziej atrakcyjną dziewczyną w mieście, prawda?

— Powiedzmy, że drugą najbardziej atrakcyjną — poprawiłem. — Ale do czego zmierzam: Wszyscy zgadzają się, że Strader przyjechał tu na spotkanie z jakąś kobietą. A z tego, co o nim słyszałem, wnoszę, że to nie była brukowa flądra.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Chyba nie myśli pan o niej?

— Dlaczego nie?

— Nie wiem, ale nie wydaje się kobietą tego typu. I oni są małżeństwem tylko dwa...

— Jeszcze raz zajrzyjmy do akt — przerwałem jej. — Pani sama nie wydaje się kobietą tego rodzaju. I była pani jego żoną tylko jeden rok. Ale to nie przeszkadzało tutaj nikomu, by uwiesić panią u szyi Stradera. Wobec tego dlaczego nie mielibyśmy przymierzyć do układu z nim pani Redfield?

— Ale na jakiej podstawie?

— Na razie głównie na podstawie zgodności faktów i wariackich przypuszczeń. On zawsze zatrzymywał się tutaj, a ona mieszka około ćwierć mili od motelu. Wiemy, że tej nocy Redfield był poza miastem, a przynajmniej...

Wyglądała na zaniepokojoną.

— Bill, czy ma pan pojęcie, ile czasu będzie pan żył, gdy kiedykolwiek powie pan to głośno w tym mieście?

— Tak — odparłem. — Niestety, zdaję sobie z tego sprawę.

W tej stodole mógł być Redfield. Jego gadka, że pojechał tam później, nie miała znaczenia. Powiedziałem mu już, że tam byłem, on wiedział, że jestem wyszkolonym gliną i że zauważyłem ślady, więc musiał je w jakiś

sposób wytłumaczyć. Cóż mogło być bardziej chytre i przekonujące od tej wzajemnej adoracji, w której zresztą *każdy z nas* był całkiem niezły?

I pani Redfield mogła sądzić, że absolutnie nie jej grozi.

Rozdział 11

Aż do teraz.

— Możemy się mylić — zaznaczyłem. — Oboje mamy wyrobiony pewien pogląd na to, jakim człowiekiem jest Redfield. A zatem dlaczego z góry zakładamy, że ją osłaniał, skoro wiedział, że zdradzała go ze Straderem? Bardziej prawdopodobne, że by ją zabił.

— Tak — powiedziała zadumana. — O ile *wiedział*.

— Właśnie. O to chodzi. Nie wie i nie chce wiedzieć. To wyjaśnia jego postępowanie. Do tej pory, dopóki miał wątpliwości, mógł wszystko puścić w niepamięć i próbować zignorować, a jak go znam, to będzie się tego trzymał nadal. Niech pani mi przypomni, kiedy poprzednio był tu Strader...

— Szóstego i dwudziestego dziewiątego października.

— Oczywiście te daty wyszły na jaw w czasie śledztwa — kontynuowałem. — Przyjmijmy, że Redfield sprawdził to i odkrył, że właśnie wtedy przez całą noc nie było go w mieście.

Zastanowiła się nad tym.

— To ciągle raczej kruchy dowód, by mężczyzna mógł podejrzewać swoją żonę.

— Jasne. Więc musiał mieć coś więcej. Ale nie dużo więcej. Jest inteligentnym człowiekiem i bardzo surowym, więc to określa granicę okłamywania samego siebie, poziom, do którego mógł się ze wszystkim godzić czy żyć z tym — obojętnie, jak desperacko jest w niej zakochany — czy zauroczony nią. Oczywiście, jeśli założy się, że rzeczywiście tak było.

— Ale co pan zamierza z tym zrobić? — zapytała lękliwie.

— Jeszcze nie wiem.

Tak czy owak, było to przerażające, gdy człowiek bliżej się temu przyjrzał. Redfield był ogólnie szanowanym policjantem. Wszędzie miał swoje źródła informacji. Ja stałem się podejrzany z powodu mojego powiązania z Georgią Langston. Wszystko, co robiłem, i każde pytanie, jakie komukolwiek zadawałem, docierało do niego w ciągu godziny. Nawet jeśli ona była całkowicie niewinna, mógł mnie zabić nie narażając się na sankcje karne większe niż rutynowy proces. Tu było Południe, i w dodatku małomiasteczkowe Południe; tutaj człowiek publicznie nie kwestionuje moralności czyjejś żony, chyba że jest zmęczony życiem.

A ponadto czy istniały jakieś przesłanki, by zakładać, że ona kiedykolwiek spotykała się ze Straderem? Jeśli tak, jak można to udowodnić? I jeżeli odkryjemy, że faktycznie była przyjaciółką Stradera, to czy koniecznie musiało się to wiązać ze śmiercią Langstona? Po prostu nie było motywu, dla którego mieliby go zabić. I kim był ten człowiek, który próbował doprowadzić do obłędu czy też do ruiny Georgię Langston? I dlaczego? Jaki był związek między nim a panią Redfield? Czy to był Talley? To nie miało żadnego sensu.

Cała ta sytuacja była nie tylko przerażająca, ale kompletnie bez wyjścia. Gdybyśmy dowiedzieli się ponad wszelką wątpliwość, że Strader przyjeżdżał do niej, to dokąd mielibyśmy zanieść swoje oskarżenie? Do Redfielda? Dlaczego nie, w rzeczy samej. Przecież to stało się na podlegającym mu obszarze, prawda?

Redfield, przyjacielu, jeśli masz wolną chwilę, słuchaj, właśnie dowiedziałem się, że twoja żona jest dziwką, i chciałbym, żebyś ją aresztował za cudzołóstwo i morderstwo, i wiele innych rzeczy — popatrz, mam tutaj listę...

W tym miejscu człowiek opróżniał magazynek.

Cóż, coś musieliśmy zrobić.

— Nie wie pani — zapytałem — czy istnieją jakieś szanse, by szeryf wrócił wkrótce do pracy?

Potrząsnęła głową.

— Jak się orientuję, praktycznie żadne. Słyszałam, że rak żołądka, z powodu którego znalazł się w szpitalu, nie był złośliwy, ale on ma ponad sześćdziesiąt lat i te wrzody są na tyle groźne, że lekarze powiedzieli mu, że powinien przejść na emeryturę. Redfield prawdopodobnie nadal będzie pełnił jego obowiązki i stanie do następnych wyborów.

— No cóż — westchnąłem. — Zaczniemy jeszcze raz od początku. Od pani Redfield. Coś więcej pani o niej wie?

— W zasadzie to już niewiele, jak panu mówiłam. Ma na imię Cynthia. Z tego, co wiem, ma dwadzieścia osiem albo dwadzieścia dziewięć lat i wyszła za męża dwa lata temu, w czerwcu, tuż po zakończeniu roku szkolnego. Wydaje mi się, że uczyła w trzeciej klasie i tylko przez jeden semestr, i ktoś mi mówił, że przyjechała tu na samym początku roku szkolnego, we wrześniu. To musiało być w 1954. Nie wiem, czy przybyła tu prosto z Warren Springs czy nie, ale coś kojarzę, że tam właśnie ostatnio uczyła.

— Nie wie pani, jakie było jej panieńskie nazwisko? Mogła nazywać się Talley, ale niekoniecznie.

— Przykro mi, ale nie wiem.

— Cóż, łatwo sprawdzić.

Poszedłem do biura i zadzwoniłem do urzędu miejskiego, by zapytać o nazwisko inspektora do spraw szkolnictwa. Był nim J. P. Wardlaw. Znalazłem jego numer i zatelefonowałem do domu.

— Próbuję zlokalizować pannę Talley czy Tanner — powiedziałem. — Uczy albo uczyła tutaj w jednej z młodszych klas i pomyślałem, że może będzie pan mógł mi pomóc.

— Hmm, nie. Nie mam w domu żadnych dokumentów, oczywiście, a to nazwisko nic mi nie mówi.

Zaśmiałem się z zakłopotaniem.

— Cóż, to powiem może więcej, panie Wardlaw. Widzi pan, jest ona dawną przyjaciółką mojej żony, a ja zobowiązałem się odwiedzić ją, będąc tu przejazdem, ale zgubiłem kartkę, z adresem, którą żona mi dała. Wszystko, co pamiętam, to to, że ma na imię Cynthia i że uczyła w trzeciej klasie...

— Zaraz. Wiem, o kim pan mówi. To mogłaby być pani Sprague. Cynthia Sprague. Teraz jest żoną pana Redfielda. Kelly'ego Redfielda. Może pan znaleźć ją w książce.

— Stokrotne dzięki — powiedziałem.

Zadzwoniłem do warsztatu dowiedzieć się, czy mój samochód jest już zrobiony. Dziewczynie było bardzo przykro, ale zaistniało pewne opóźnienie w sprowadzeniu chłodnicy z Tallahassee. Wóz powinien być gotów jutro rano. Znowu było jej przykro. Przyłączyłem się do chóru i mnie też było przykro.

Wróciłem do sypialni. Georgia Langston popatrzyła pytająco. Nie mogłem ciągle zrozumieć, dlaczego już sam jej widok działa na mnie pokrzepiająco.

— Oprócz tego, że jest pani bardzo uczciwą i wspaniałą dziewczyną o ślicznych nogach, ma pani też samochód, z którego korzystałem przez kilka ostatnich dni. Czy mogę jeszcze nim pojeździć?

Uśmiechnęła się.

— Jestem inwalidką, więc w jaki sposób mogłabym pana powstrzymać? Dokąd chce pan jechać?

— Do Warren Springs. Cynthia Redfield była już raz zamężna. Z człowiekiem o nazwisku Sprague. Gdzieś, jeśli cofniemy się dostatecznie daleko, możemy znaleźć jej powiązania ze Straderem. Gdybym długo nie wracał, niech pani zatrzyma Josie.

Byłem prawie za drzwiami, gdy zawołała mnie:

— Bill... Odwróciłem się.

— Proszę uważać na siebie — powiedziała po prostu.

Znajdowałem się dziesięć mil przed Warren Springs, gdy w końcu ołśniło mnie, że jestem idiotą albo że uganiam się za cieniem. Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej, ale nie było szansy, by Cynthia Redfield mogła być tą kobietą, która dzwoniąc do mnie wysłała mnie do tej stodoły. Miała głębszy głos, nisko w skali kontraltu, a jej modulacja i akcent były całkowicie odmienne.

Cóż, durniu, pomyślałem, poszanowanie prawa nic na tym nie ucierpi, gdy tam pojedziesz. Wzruszyłem ramionami i pojechałem dalej; zawracanie nie miałyby sensu.

Warren Springs okazało się nieco większe niż Galicia. Było zbudowane wokół placu, na którym wspaniałe stare drzewa robiły co mogły, by ukryć gmach sądu, pochodzący z przełomu wieku, od widoku którego bolały zęby. Jak na drugą piętnaście w czerwcowy czwartek było bardziej niż spokojnie. Nie miałem żadnych trudności w znalezieniu miejsca do zaparkowania i pogałem zaraz do najbliższego drugostoru. Zamówiwszy nieuchronną colę, wszedłem do kabiny telefonicznej. W spisie było dwóch Sprague'ów.

Pod pierwszym numerem nikt się nie zgłosił, a pod drugim odezwała się mała czarodziejka, która mówiła tak, jakby miała szeroką szczerbę w przednich zębach i która poinformowała mnie, że mamusia poszła do sklepu, a ona nigdy nie słyszała o Cynthii Sprague.

Miałem jeszcze trochę dziesięciocentówek, więc rzuciłem się na inspektora szkolnego. Kiedy wytropiłem jego nazwisko, zadzwoniłem do je go domu.

Nie było go w mieście, a żona nie wiedziała, czy Cynthia Sprague kiedykolwiek tu uczyła.

— Powinien pan skontaktować się z sekretarką mojego męża — powiedziała. — Pracuje z nim od piętnastu lat albo i dłużej i będzie wiedziała, kogo pan szuka.

— Świetnie — odrzekłem. — Gdzie mogę ją złapać?

— Nazywa się Ellen Beasley i latem zawsze pracuje w biurze naszej telekomunikacji. To na Stuart Street, tuż przy północnej stronie placu.

— Bardzo dziękuję.

Ellen Beasley okazała się niezamężną czterdziestolatką z drobną twarzą, małymi usteczkami i poważnymi, ale przyjaznymi oczyma. Spojrzała na mnie znad biurka i uśmiechnęła się pytająco.

— Nie przyszedłem w sprawie telefonu. Próbuję zlokalizować dziewczynę, która uczyła w tym mieście, i jak tutaj usłyszałem, jeżeli ktokolwiek mógłby mi pomóc, to tylko pani. Czy ma pani wolną chwilę na filiżankę kawy?

— Dlaczego nie, myślę, że tak.

Powiedziała coś do telefonu stojącego na brzegu biurka, zabrała torebkę i wyszliśmy. Tuż za rogiem na placu znajdowała się klimatyzowana kawiarnia. Usiedliśmy i zamówiliśmy kawę. Poczestowałem ją papierosem, ale odmówiła z przepaszającym uśmiechem.

— Ta dziewczyna nazywała się Cynthia Sprague — zagailem. — I uczyła tu prawdopodobnie trzy czy cztery lata temu.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się.

— Nie wie pan, czy pracowała w szkole średniej czy w starszych klasach podstawowej? A może w klasach młodszych?

— Nie wiem. Lecz była wtedy bardzo młoda. Miała nie więcej niż dwadzieścia cztery, pięć lat, więc przypuszczam, że w szkole podstawowej. Była zameżna, ale nie wiem, jak miał na imię jej mąż.

— Och, jasne, wiem, o kogo panu chodzi — powiedziała szybko. — Ale ona nie była nauczycielką; przynajmniej nie przez ostatnie dwa lata, gdy tu mieszkała. Była żoną nauczyciela. Jej mąż był dyrektorem szkoły średniej. Robert Sprague. Teraz przypominam sobie całkiem dobrze; jej panięskie nazwisko brzmiało Cynthia Forrest.

— Czy mieszkała tu od dawna?

— Tak. Myślę, że ona i jej matka przyjechały tu z Georgii w czasie, gdy chodziła do szkoły średniej. Po otrzymaniu dyplomu zaczęła uczyć w trzeciej

klasie — pomyślmy — to byłoby około 1950. Wydaje się mi, że ona i Robert Sprague pobrali się w 1952, na wiosnę, i ona zrezygnowała z uczenia. Ale pracowała na pół etatu jako urzędniczka w jego biurze. To znaczy, dopóki nie został zabity... Przeszyłem ją wzrokiem.

— Zabity?

Skinęła głową.

— To był wypadek. Jedna z tych strasznych rzeczy, przed którymi się zawsze ostrzega i w które nie można uwierzyć, gdy wydarzą się naprawdę. Widzi pan, większość tutejszych starych domów nie ma centralnego ogrzewania, więc oni mieli w łazience przenośny elektryczny grzejnik. Pani Sprague usłyszała, jak mąż upadł, wbiegła do środka i zobaczyła, że grzejnik znajduje się razem z nim w wodzie. Musiał próbować go włączyć albo wyłączyć w czasie, gdy siedział w wannie.

Czyżby? Żaden dorosły człowiek nie mógł być taki głupi czy nieostrożny, pomyślałem. Zatem wiedziałem, za czym gonię; to nie tylko mogło się wydarzyć, to trwało nadal. Przez cały czas. A policja i towarzystwo ubezpieczeniowe — o ile jakieś było — powinni byli dobrze się temu przyjrzeć.

— Kiedy to się stało? — spytałem. — Pamięta pani?

— Hmm. Byli małżeństwem mniej niż dwa lata, więc to musiało się stać na początku 1954. W styczniu lub w lutym. Poszłam na pogrzeb, oczywiście, i przypominam sobie, że było całkiem zimno, wiał północno-zachodni wiatr. Ona była bardzo załamana.

— Nie wróciła do pracy jako nauczycielka?

— Nie. Pan Snell powiedział jej, że może nadal pracować na pół etatu do początku następnego semestru, a potem z powrotem podjąć pracę w trzeciej klasie, ale ona powiedziała, że się wyprowadza. Jak pamiętam, jej matka zmarła rok wcześniej, więc naprawdę nic jej tu nie zatrzymywało. Musiała wyjechać krótko po pogrzebie. Być może pod koniec lutego.

— Czy wie pani, dokąd się udała?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie. Jeżeli pisała do kogoś, to nie pamiętam, bym o tym słyszała. Przykro mi; chciałam panu pomóc.

— Pomogła mi pani. — A więc wyjechała stąd w lutym, a w Galicja zaczęła uczyć we wrześniu. Gdzie była i co robiła przez sześć miesięcy? — Przypuszczam, że było jakieś ubezpieczenie?

— Niezbyt duże, obawiam się. — Uśmiechnęła się łagodnie. — Wie pan, nauczyciele nie zarabiają kokosów. Wydaje mi się, że polisa opiewała na około pięć tysięcy.

Dziesięć, z klauzulą o podwójnym zabezpieczeniu, pomyślałem.

— Czy jest w mieście ktoś, kto mógłby wiedzieć, dokąd wyjechała? — zapytałem. — Może ktoś z jego rodziny?

— Nie — odparła. — On przyjechał z Orlando. Mieszka tu kilku Sprague'ów, ale nie są spokrewnieni.

Skończyła swoją kawę. Podziękowałem jej i odprowadziłem ją do biura. Najwyraźniej znalazłem się w ślepym zaułku. Nie znalazłem nic łączącego ją ze Straderem i nie miałem żadnej wskazówki, gdzie mogła spędzić te sześć miesięcy.

Siedziałem w samochodzie i właśnie włączyłem zapłon, gdy uderzyła mnie pewna myśl. Jak można być takim bałwanem? Sięgnąłem po portfel i wyjąłem kartkę, na której nagryzmoiliłem wiadomość od Lane'a. Daty zgadzały się. Znów pełen zapału i podniecenia pognałem do drugostoru i wpadłem do kabiny telefonicznej.

Nie mogłem przed nią udawać, bo rozpoznałaby mój głos, ale mogłem od niej zacząć. Zadzwoiłem do biura telekomunikacji i poprosiłem Ellen Beasley.

— To znów ten ciekawski — powiedziałem. — Jeżeli zechce pani odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie, przestanę panią niepokoić.

— Proszę bardzo.

— Kto jest obecnie dyrektorem w szkole średniej?

— Pan Edson, Joel Edson. I myślę, że jest w mieście. Właśnie wrócił z jakiejś wakacyjnej pracy, którą zajmował się w Gainesville.

— Stokrotne dzięki.

Wyszukałem numer Edsona i zadzwoniłem. Miałem szczęście.

— Tak, słucham. Kto mówi?

— Nazywam się Carter, panie Edson — przywitałem się wylewnie. — A pan jest człowiekiem, którego miałem nadzieję złapać. Jestem z Bell and Howell i chciałem zorientować się, czy nie mógłbym przeprowadzić prezentacji dla pana i kilku członków rady szkolnej...

— Jaki rodzaj wyposażenia? — zapytał.

— Projektory filmowe. Pan wie, że...

Roześmiał się.

— Pana ludzie powinni lepiej pilnować dokumentów. Mamy już jeden z waszych aparatów, który zresztą działa wspaniale.

Poczułem, jak dreszcz podekscytowania przebiega przez moje ciało.

— To dziwne. Ciekaw jestem, jak biuro mogło się tak pomylić. Jest pan pewien, że to jeden z naszych?

— Jasne — odpowiedział. — Mamy go od, hmm, czterech lat, czy coś koło tego.

— Nie zakupiono go z drugiej ręki?

— Nie. Mamy go od waszego człowieka. Przypomniałem sobie, kiedy dokładnie to było. W październiku pięćdziesiątego trzeciego, parę miesięcy przed śmiercią Boba. Bob Sprague był dyrektorem przede mną. Ja uczyłem fizyki i chemii, dlatego przyszedłem na prezentację. Pamiętam, jak Bob i jego żona urabiali kuratora i radę szkolną. Pana człowiek był tu przez kilka dni i prawdę powiedziawszy naciągnął radę na zakupienie projektora także dla szkoły podstawowej.

— A zatem to nasza wina. Ktoś z biura musiał zaważyć sprawę. Przykro mi, że pana niepokoiłem.

— Żaden kłopot.

— Nie pamięta pan, jak nazywał się sprzedawca?

— Nieee. Nie przypominam sobie o nim nic, z wyjątkiem tego, że był całkiem potężnym facetem i ze znajomością rzeczy komentował jakiś mecz footballowy.

— No cóż, bardzo panu dziękuję.

Szczerście mi dopisywało. Byłem na tropie, czułem to. Wróciłem do stoiska z napojami, poprosiłem sprzedawcę o garść drobnych i zadzwoniłem do biura Lane'a w Miami.

— Nie ma go — powiedziała jego sekretarka. — Ale momencik. Pojechał na spotkanie z kimś do Miami Beach i zostawił mi numer. Niech pan da mi swój, on powinien oddzwonić za kilka minut.

Podąłem jej numer i usiadłem przy stoliku. Musiałem mieć rację; przecucie było zbyt silne i kawałki zaczynały pasować do siebie tak pięknie, że nie mogłem się mylić. Wyglądałem przez okno na zalany słońcem plac, myśląc o tym, a potem pomyślałem o Georgii Langston. Marnowanie czasu, pomyślałem. Ale to było przyjemne...

W kabinie zadzwonił telefon. Machnąłem sprzedawcy i zanurkowałem do środka.

— Międzymiastowa do pana Chathama — mechanicznie powiedziała telefonistka.

— Tu Chatham. — Zaakceptowałem opłatę i wrzucałem ćwierćdolarówki, dopóki nie była usatysfakcjonowana. — Halo. Lane?

— Tak. Sekretarka skontaktowała się ze mną. Cieszę się, że pan dzwoni; właśnie miałem do pana wykręcić.

— Dobrze — powiedziałem. — Ale najpierw mam pytanie. W pięćdziesiątym trzecim Strader sprzedawał systemy nagłaśniające i projektory filmowe szkołom, kościołom i tak dalej. Czyje projektory?

— Spółki Bell and Howell.

Doskonale, zgodnie z przewidywaniami.

— Czy miał wyłączność na swoim obszarze?

— Niece. Nie całkiem tak, jak panu mówiłem. Terytorium dystrybutora, którego panu podałem, miało wyłączność, ale myślałem, że pracowało na nim dwóch sprzedawców.

To już nie było tak całkiem dobre. Ale szanse ciągle były większe niż mogło wskazywać matematyczne fifty-fifty.

— Co ma pan nowego?

— Parę rzeczy. Ciągle nie mogę znaleźć kobiety, która pasowałaby do tej sprawy z Galicia, ale sporo jeszcze trzeba przekopać. Boże, co to za facet... Żałuję, że przed śmiercią nie napisał podręcznika z instrukcjami i nie zostawił nam swojego MO*. Ale do rzeczy. Uzupełniłem kilka luk w jego aktach zatrudnienia. Pamięta pan, mówiłem, że przez pewien czas myślałem, że mieszkał w Nowym Orleanie?

* MO — *modus operandi* — łac. sposób działania.

— Taaak.

— Więc wytropiłem ten ślad. To może pociągnąć za sobą dodatkowe wydatki — kilka rachunków telefonicznych i dwadzieścia pięć dolarów dla chłopaka, którym to wyszperał — ale rozumiem, że panu zależy na tej informacji.

— Jasne. Wszystko w porządku. Co on odkrył?

— Strader był tam w pięćdziesiątym czwartym. Wiosną i latem, od marca do końca lipca. Oczywiście, żyjąc na kocią łapę. Z dziewczyną o włosach koloru dobrego rocznika burgunda. Nazywał ją Sin**. Nie wiem, czy miał poczucie humoru, czy to po prostu był skrót od Cynthia. Ciągle brak śladu jakiegoś przestępstwa. Ale tym razem on nie pracował dla nikogo. Miał bar na Decatur Street. Przynajmniej dopóki nie zbankrutował. Nie wiem, skąd wziął pieniądze, by go kupić...

** Sin (ang.) — grzech.

— Od towarzystwa ubezpieczeniowego — powiedziałem. — Mąż Sin próbował wykapać się razem z włączonym piecykiem elektrycznym.

- Boże, i udał się im taki numer?
 - Chodziło o niezbyt duże pieniądze — pięć, a w przypadku podwójnej klauzuli — dziesięć tysięcy.
 - Taak...
 - No cóż, nigdy już tego nie udowodnią, ale my mamy własne bóle głowy. Ma pan jeszcze coś?
 - To drugi punkt. Odkryłem, co robił dla tej spółki Electronic Enterprises w Orlando. Sprzedawał systemy alarmowe. Jakiś nowy patent.
 - Co? — To było zastanawiające.
 - Tak! Miał do tego dobre podstawy dzięki szkoleniu w marynarce. W każdym razie systemy alarmowe i urządzenia kontrolujące. Na terenie Georgii, Alabamy i Florydy. Głównie sklepom jubilerskim. To tyle, czy chce pan, bym jeszcze coś wytropił? Wnioskuje, że odnalazł pan tę dziewczynę?
 - Tak. Odnalazłem ją. Mogę nigdy nic jej nie udowodnić, ale wiem, kim ona jest. — Przerwałem, wpatrując się z zamyśleniem w pustą ścianę kabiny. — Hm, jedno mógłby pan zrobić... Jaka jest największa gazeta, obejmująca swoim zasięgiem Florydę i Południe?
 - Herald.
 - Jeżeli zdobędzie pan stare egzemplarze, chciałbym ten z ósmego listopada ubiegłego roku. Z tego dnia, w którym został zamordowany Langston. Niech pan przyśle mi go pocztą lotniczą.
 - Sprawa Langstona była na pewno opisana dziewiątego. To poranna gazeta i nie zdążyliby tego zamieścić przed zamknięciem numeru.
 - Jasne.
 - Chociaż byłoby szybciej, gdybym znalazł to, czego pan potrzebuje, i zadzwonił do pana.
 - Problem w tym — powiedziałem — że sam nie wiem, czego szukam. Być może, że niczego. W każdym razie niech pan przyśle mi rachunek, a ja wyślę czek.
 - Jasne. Przyjemnie jest prowadzić z panem interesy, panie Chatham.
 - Zrobił pan dobrą robotę. Gdy będę w Miami, odnajdę pana i napijemy się.
 - Chętnie.
- Wyszedłem i wsiałem do samochodu. Teraz wiedziałem, kim była dziewczyna Stradera, ale musiałbym stracić głowę, żeby próbować powiedzieć to głośno. Nie mogłem tego udowodnić, nadal nic nie łączyło jej ze

Straderem. I ona ciągle nie była tą dziewczyną, która próbowała doprowadzić do mojej śmierci. W każdym razie jeszcze nie.

Rozdział 12

Była za piętnaście piąta, gdy podjechałem pod motel Magnolia i zatrzymałem się przed biurem. Georgia Langston, ubrana w spodnie, stała na składanej drabinie, malując ozdoby i kolumny podtrzymujące werandę.

— Nie mam już na panią siły — powiedziałem.

Uśmiechnęła się i zeszła na dół. Na głowie miała kubański czy meksykański słomkowy kapelusz z wystrzępionym rondem.

— I może pan już zrezygnować z tego niepewnego kawałka chleba — powiedziała. — Po południu byłam na badaniu u doktora Grahama i ze mną jest wszystko w porządku. Potrzebowałam dwudniowego wypoczynku i go miałam.

— Cudownie. Uczymy to, idąc razem na obiad. Ale niech pani wejdzie do środka; mam pani coś do powiedzenia.

Josie poszła do domu. Przyrządziłem dwa martini i usiedliśmy w bawialni.

— Niech pani zatrzyma to dla siebie — zacząłem. — Cynthia Redfield była dawną kochanką Stradera. W 1954 przez kilka miesięcy żyła z nim w Nowym Orleanie. Po tym, kiedy jej mąż zginął w wypadku, który wcale nie musiał być tak przypadkowy, jak na to wyglądało... — Opowiedziałem jej całą historię.

Postawiła drinka z przerażonym spojrzeniem.

— Ale... to wręcz niemożliwe. I dlaczego nikt nie odkrył tego wcześniej?

Zapaliłem papierosa. — Z kilku powodów. Po pierwsze, to co pani powiedziała — że to wręcz niemożliwe. Ona nie wygląda na taką. Dlaczego ktoś miałby ją podejrzewać? Jedyną rzeczą, którą rzeczywiście musiała ukrywać, był fakt, że w czasie, gdy tam mieszkała, znała Stradera. Reszta mogła być podana do publicznej wiadomości — była nieszkodliwa. Policja tu i w Miami sprawdzała Stradera, ale to się wydarzyło w innym stanie. Gdyby to była

sprawa FBI, wtedy mogliby to odkryć — ale nie była. FBI jedynie sprawdziło, czy był wcześniej notowany. I, dalej, ona jest żoną Redfielda. Kto by ją przesłuchiwał?

— Czy myśli pan, że tej nocy to była ona?

— Ja nie myślę, to nie ulega wątpliwości.

— Ale jak możemy to udowodnić?

— Nie możemy — przyznałem.

— Nijak? To straszne. To niewiarygodne...

— Wiem. Ale pomyślmy... moglibyśmy sprowadzić świadków z Nowego Orleanu — co wcale nie jest łatwe, niech mi pani wierzy — i jedyne, co byśmy udowodnili to to, że ona kiedyś знаła Stradera. Gdybym poszedł z tym do prokuratora okręgowego, on roześmiałby mi się w twarz. A gdybym poszedł do Redfielda, on by mnie zabił.

Bezradnie rozłożyła ręce.

— To co możemy zrobić?

— Na podstawie tego, co teraz mamy — nic. Musimy mieć więcej.

— Więcej dowodów?

— *Jakikolwiek* dowód byłby dowodem — odrzekłem. — To znaczy, że musimy mieć coś więcej, niż prosty fakt, że miała romans ze Straderem. To oczywiście dalej nie ma nic wspólnego z pani mężem i tym, że go zabili. W jakim celu?

Potrząsnęła głową zmęczonym ruchem.

— To jakiś koszmar.

— Niech pani słucha. Raz już panią o to pytałem, ale znów muszę zapytać, więc niech pani nie skacze mi do gardła. Czy istnieje jakaś możliwość, że pani mąż mógł być z nią w coś uwikłany?

— Nie — odpowiedziała. — To absolutnie nieprawdopodobne.

— Niech pani spróbuje być obiektywna — nalegałem. — Powiedzmy, że odkrył, jaka ona była. Wie pani, że to możliwe. Mógł zobaczyć ją kiedyś ze Straderem albo ona próbowała go uwieść...

— Nie — przerwała ostro. — Nie mogę tego kupić, Bill.

— A niech mi pani opowie o nim trochę.

Zapatrzyła się ponuro na koniec papierosa.

— Był człowiekiem prawie zupełnie zrujnowanym, przynajmniej fizycznie, i właśnie skończył odbudowywać swoje pozytywne nastawienie do życia. Mówiłam już o tym. Tutaj wszyscy myśleli, że był niebiańsko szczęśliwy, oczywiście, na emeryturze, z motelem zapewniającym mu odpowiednie utrzymanie i całym wolnym czasem spędzanym na łowieniu ryb, ale

człowiek nie rezygnuje z pracy i swoich ambicji tak łatwo i w ciągu jednej nocy. Pomagałam mu, jak sądzę, i on mnie potrzebował.

Przez większość swojego życia pracował jak maszyna parowa z zablokowanym zaworem bezpieczeństwa i szeroko otwartą przepustnicą, i w końcu to prawie go zabiło. Spotkaliśmy się w gabinecie doktora. A raczej w klinice. Byłam technikiem laboratoryjnym, a on był jednym z pacjentów na kardiologii.

Było to wkrótce po tym, jak rozwiódł się z żoną. Ktoś mógłby powiedzieć, że wykorzystywałam chwilę jego załamania po rozwodzie z żoną i podziale majątku, po ataku serca i po przegranej procesie, który prawie zniszczył go finansowo. Niemniej jednak, jeżeli odniósł pan wrażenie, że musiałam składać go z kawałków, to nie miałam tego na myśli. Był dzielny człowiekiem, ale zmaltretowanym przez okoliczności. Wciąż miał poczucie humoru przez większość czasu i odzyskiwał wiarę w przyszłość. Był skazany na życie, które uważał za egzystencję starszej pani, ale chciał żyć, a ja po prostu pomagałam mu to robić. Od początku się lubiliśmy i wszystko, co robiliśmy, było bardzo spokojne. Na przykład dni jego wielkich połowów skończyły się, ale oboje lubiliśmy żeglować małymi łodziami. Lubiliśmy pikniki i leżenie w wodzie z maskami i rurkami i obserwowanie podwodnego życia. Muzyka nudziła go, ale oboje lubiliśmy czytać... Och, mogłabym mówić dalej, Bill, ale czy to ma sens? On po prostu nie byłby do tego zdolny. Miał zbyt wielkie poczucie przyzwoitości, by zacząć coś takiego. I Redfield był jego przyjacielem.

Uśmiechnąłem się do niej.

— Nie zarzucam mu tego. Trzeba brać pod uwagę każdy punkt widzenia. I Bóg wie, ile ich mamy. — Podniosłem się i zacząłem niespokojnie krążyć w tę i z powrotem po pokoju. To było cholernie trudne do rozwiązania. — Jest pani pewna, że powiedziała mu to pani, że Redfield odwołał swój wyjazd?

— Oczywiście.

— I on zrozumiał to?

— Bill, czy ktoś pod słońcem mógłby nie zrozumieć tak prostej rzeczy?

— A czy był roztargniony? Czy mógłby o tym zapomnieć?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. I ostatnią rzeczą, jaką powiedział mi przed wyjściem, była obietnica, że będzie bardzo ostrożny, bo niepokoiłam się o jego samotny wyjazd. Co pan próbuje znaleźć?

- Po prostu to, dlaczego tego ranka pojechał do domu Redfielda. Spojrzała na mnie zdumiona.
- Myśli pan, że to zrobił?
- Musiał to zrobić. Gdzie mogła znajdować się pani Redfield ze Straderem?

Zmarszczyła brwi.

- W jej własnym domu? W...
- Tak. W przypadku, gdyby pani tego jeszcze nie złapała, ta dziewczyna nie jest zbyt dbała o szczegóły. Uważam, że tam byli i właśnie tam to się wydarzyło.
- Ale *dlaczego?* — zapytała żałośnie.
- Nie wiem.

To wszystko nie miało sensu, z wyjątkiem faktu, że tych troje musiało gdzieś zejść się razem w czasie tych tragicznych piętnastu minut, a on był poza domem, w ruchu, więc to on musiał tam dotrzeć. A wobec tego, nawet jeśli to zrobił, dlaczego go zabili? Ta sytuacja mogła spowodować wybuch, ale tylko wtedy, gdyby ona była zupełnie głupia albo obłąkana. Wszystko, co powinna była zrobić, to podejść do drzwi i powiedzieć Langstonowi, że męża nie ma w domu.

Musiało być coś więcej. Dużo więcej. Był jeszcze inny mężczyzna, od którego się zaczęło. Była ta robota z kwasem i świadome doprowadzenie Georgii Langston do obłądzenia czy do zniszczenia jej zdrowia tymi plugawymi telefonami. Dlaczego? Powiedzmy, że Cynthia Redfield próbowała zrobić ją na całość i to nie wypaliło. Tylko odsunięcie podejrzeń od siebie jej wyszło. Ale dlaczego dalej smagano batem nieżywego konia? Sadyzm? Czy ona była kompletną wariatką?

— Zrobiliśmy pranie mózgów. Zapomnijmy o tym do wieczora. Zjedźmy razem obiad i nie wspominajmy o tych sprawach... — Wtedy przypomniałem sobie, jak ja wyglądam. — To znaczy, o ile nie ma pani nic przeciwko temu, by pokazać się publicznie z takim wystrzyżonym i obandażowanym indywiduum.

— To mi w ogóle nie przeszkadza — odpowiedziała z uśmiechem, który był tylko troszeczkę wymuszony.

Około szóstej trzydzięci ogoliłem się i ubrałem w lżejszy z dwóch garniturów, które miałem. Kupiłem go w San Francisco, był z szarej flaneli, ale zupełnie nie pasował do tego upału. Zbadałem rezultat w lustrze, ze świeżą białą koszulą i ciemnym krawatem, i orzekłem, że wyglądam jak dbający o

siebie łoś, który spacerował pod śmigłami DC-7. No cóż, mogłem założyć kapelusz i mogliśmy poszukać lokalu z łóżami. Steak House — to było to.

Poszedłem do biura. Krzyknęła zza zasłoniętych drzwi, że będzie gotowa za chwileczkę. Usiadłem w bambusowym fotelu i wertowałem leniwie jakiś magazyn. Gdy weszła, ubrana była w ciemnozieloną suknię, ciemniejszą niż avocado, która podkreślała kremową bladość jej twarzy i szyi, i mahoniowy połysk włosów. Założyła małe złote kolczyki w kształcie morskich muszelek i broszkę w kształcie konika morskiego, i pończochy, i bardzo wysmukłe pantofelki na wysokich obcasach.

Podniosłem się.

— Uff, cudownie. Może pani mnie cytować.

Złożyła mi przesadnie głęboki ukłon.

— Dlaczego nie, dziękuję.

— Jest pani zbyt śliczna, by marnieć w tej zapadłej dziurze — powiedziałem. — Dlaczego nie mielibyśmy pojechać na ten obiad do Miami Beach?

Uśmiechnęła się szeroko.

— Nic nie stoi na przeszkodzie. Pomijając to, że w obie strony to tyśiącmilowa przejazdźka, a ja jestem głodna.

— Cóż, przed wyruszeniem w drogę moglibyśmy zjeść coś.

Szare oczy były chłodne i szacujące, chociaż były w nich iskierki humoru.

— Niech mi pan powie, Bill, czy to szczerza propozycja, czy wciąż postępuje pan jak detektyw?

— To nieuczciwe i pani wie o tym. To było niezwykle szczere stwierdzenie, z dna mojego serca. Bezsensowne, być może, ale... Niech pani nazwie to pustym gestem. Niech pani nazwie to sztuką doceniania, uznawania.

Roześmiała się czarująco i poszliśmy do samochodu, odczuwając cudowny zawrót głowy, jakbyśmy wypili dwa szybkie martini. Po raz pierwszy mogłem zobaczyć ją wolną od napięcia i wysiłku, z jakim musiała znosić otaczającą ją wrogość. Która tym niemniej jeszcze się nie skończyła...

Znalazłem miejsce do zaparkowania za rogiem obok restauracji i musieliśmy przejść przez szereg twardych, nieprzyjaznych oczu i pustych spojrzeń, jak przez szereg kijów, poruszając się przez całą drogę w naszym własnym małym korytarzu milczenia. Gdy weszliśmy do środka, ludzie

popatrzyli na nas i odwrócili wzrok, nie odzywając się do niej. Znaleźliśmy wolny stolik z tyłu sali i usiedliśmy, a ona zdobyła się na uśmiech.

Sięgnąłem przez stół i złapałem ją za rękę.

— Niech pani się nie przejmuj.

Wtedy zdałem sobie sprawę, jakie to było głupie. Znosiła to przez siedem miesięcy, będąc zupełnie sama, a teraz miałaby potrzebować mojego nędznego wsparcia.

— Chciałbym mieć pani spokój ducha — dodałem.

— Niech pan nie prowokuje mnie, bym stała się z powrotem poważna i smutna. Wypijmy martini.

Piliśmy martini i podziwialiśmy wypolerowane poroża młodych wołów opasowych wiszące nad nami na ścianie, i zastanawialiśmy się, dlaczego nigdy nie są to rogi byków czy krów, czy starych wołów. Czy wartość rogów utrzymuje się lub spada w zależności od płci i stopnia dojrzałości?

Debatując nad tym powoli odzyskiwaliśmy dobry humor. A potem zjedliśmy świetny obiad. Wtedy też opowiedziała mi nieco więcej o sobie. Jej ojciec był kapitanem lotnictwa jeszcze w czasach hydroplanów i później w czasach DC-4. Przyjechała do Miami na rok przed rozpoczęciem nauki w szkole pielęgniarstwa. Była zaręczona z chłopakiem, który wyruszył do Korei, a po dwóch latach czekania, gdy powrócił, odkryła, że tak naprawdę to nie chce za niego wychodzić. Bardziej od pielęgniarstwa podobała jej się praca technika w laboratorium medycznym, ale nie myślała, że mogłaby zostać lekarką, nawet gdyby miała dogodną okazję. Czy byłaby zadowolona z powrotu do Miami, gdyby udało się nam postawić motel na nogi i sprzedać? Odpowiedziała, że tak, ale to doprowadziło nas z powrotem zbyt blisko ohydnych problemów i zarzuciliśmy ten temat.

Zapłaciłem rachunek i poszliśmy do samochodu, mijając oczy, które tkwiły wokół nas jak lebkki gwoździ w głuchej ścianie. Tylko raz cisza została przełamana. Przez dwóch osobników opierających się o ścianę na rogu, za który skręcaliśmy. Minęliśmy ich, gdy jeden z nich, na tyle głośno, by mieć pewność, że jest słyszany, powiedział:

— Cóż, ja uważam, że to wymaga dużej bezczelności.

Ogarnięty gwałtownym, jasnym płomieniem gniewu odwróciłem się i popatrzyłem na nich, ale wtedy, jeszcze zanim miała czas złapać mnie za rękaw, przypomniałem sobie, na czym polega mój obowiązek.

Poszliśmy dalej, a kilkanaście jardów dalej ona wyszeptwała:

— Dziękuję, Bill.

— Mówiłem pani wcześniej, że chciałbym posiadać pani opanowanie.

Gdy się najem, łatwo wybucham.

Otwierając przed nią drzwi samochodu, obejrzałem się i zobaczyłem coś dziwnego. Ten wielki gliniarz, Calhoun, stał na rogu przed tymi dwoma. Byli zbyt daleko, bym mógł coś słyszeć, ale wyglądało na to, że ruga ich jak sierżant na musztrze, a potem złapał jednego z nich za koszulę i oderwał go od muru, jakby był niedokładnie przyklejonym afiszem. Kiedy go puścił i strzelił palcami, przebiegli przez ulicę i zniknęli.

Zwróciłem jej na to uwagę. Pokiwała głową.

— Wiem. Robił tak już wcześniej parę razy.

— Ale... — Przypomniałem pierwsze popołudnie, kiedy to zderzyłem się z Frankiem.

— Tak, on zawsze patrzy na mnie tak, jakbym nie istniała, ale nie toleruje rzeczy takich jak ta. To dziwny człowiek, Bill. Nigdy go nie rozumiałam.

Skręciłem na Springer i pojechaliśmy w stronę motelu. Ruszałem spod świateł, gdy usłyszałem, jak ona gwałtownie łapie powietrze.

— Bill, to ten człowiek!

Zerknąłem szybko przez ulicę w kierunku, jaki wskazywała. Było tam kilku mężczyzn.

— Ten w białej koszuli! Z podwiniętymi rękawami!

Dostrzegłem go, ale byłem już na skrzyżowaniu i musiałem jechać prosto. On szedł w przeciwnym kierunku. Na następnym rogu skręciłem w lewo, zrobiłem ósemkę wokół kwadratu i pojechałem z powrotem. Przejechaliśmy całą Springer aż do rzeki, ale nie zobaczyliśmy go. Wjechałem w kilka przecznic, bez powodzenia.

— Jest pani pewna, że to był on? — Ja zaledwie rzuciłem na niego okiem, ale odpowiadał podanemu przez nią rysopisowi: wysoki, szczupły, jasnowłosy i opalony.

— Jestem prawie pewna — powiedziała. Potem zawahała się. — Oczywiście, widziałam go tylko w przelocie. I nie zauważyłam okularów. A pan?

— Nie. Ale one mogły być rekwizytem.

Jeździliśmy wokół przez następne dziesięć minut, a później zatrzymaliśmy się na Springer, obserwując chodniki, ale bez skutku.

— Odwiozę panią do domu i wrócę. On może być ciągle w mieście, gdzieś w piwiarni.

— Ale nie będzie pan zbyt porywczy? — zapytała niespokojnie.

— Nie będę. Nie możemy nic mu zrobić, dopóki nie zidentyfikuje go pani z całą pewnością. Jeżeli jest niewłaściwym człowiekiem, oskarży nas o bezprawne zatrzymanie. Jeśli go zlokalizuję i gdzieś przygwożdżę, zadzwonię do pani. Będzie pani mogła jeszcze raz mu się przyjrzeć.

Pojechałem do motelu. Otworzyła frontowe drzwi do biura, a ja wezwałem taksówkę. Oddałem jej kluczyki i weszliśmy do saloniku. W rogu płonąła jedynie brydżowa lampa, rozsiewając przyćmione światło i zapalając jej lekkie włosy.

Odwróciła się, jej szare oczy, gdy studiowała moją twarz, były pełne niepokoju.

— Będzie pan uważał na siebie, dobrze?

— Jasne — powiedziałem. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— To był cudowny wieczór, Bill.

Przesunąłem rękę po jej ramionach, chwyciłem tuż ponad łokciami i zamierzałem pocałować zdawkowo na dobranoc, ale straciłem panowanie nad sobą.

Następną rzeczą, jaką sobie przypominam, było to, że trzymałem ją i niepohamowanie atakowałem najśłodsze i najbardziej podniecające usta w świecie, a jej ramiona były zaciśnięte wokół mojej szyi. Potem oparła rękę na mojej piersi, odepchnęła się i cofnęła, jej twarz była zaróżowiona i zmieszana.

— Chcę zapalić papierosa — powiedziała drżącym głosem. Odetchnęła głęboko.

— Zapomniałem się, przepraszam.

— Dzięki — odrzekła lakonicznie.

— Za co?

— Za to, że nie powiedziałeś, że oboje się zapomnieliśmy. Czy prawie oboje... To trochę głupie, prawda? Znam cię od trzech dni.

— Nie zauważyłem. Mój kalendarz i zegar są w innym garniturze. Wiem tylko jedno: jesteś cudowna.

Uśmiechnęła się.

— W porządku, Bill. Nigdy nie wątpiłam, że jesteś normalnym, zdrowym, trzydziestoletnim mężczyzną. Nie musisz tego udowadniać.

— Nie myślę, że próbowałem.

— To było trochę przerażające. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że po odpowiednio długim czasie kobieta może przyznać się do przegranej i zateśknąć za osobą, która by jej współczuła.

— To wszystko? — zapytałem.

— Nie wiem. Nie pytaj mnie. Ale nigdy byś nie uwierzył, jak cholernie chory czuje się człowiek, który ciągle musi z czymś walczyć. Który w imię czegoś musi być dzielny. Albo jak kuszące jest takie męskie ramię, które widziało się zaledwie kilka razy, ale w które można się wyplakać.

— Możesz na nie liczyć...

— Ale dlaczego?

Ująłem jej twarz w dłoń.

— Już ci mówiłem, dlaczego. Uważam, że jesteś wspaniała. Jesteś piękną, dobrą kobietą i chyba umiesz o siebie zadbać — za każdym razem, gdy cię widzę, stajesz się coraz piękniejsza.

Pocałowałem ją, tym razem bardzo delikatnie, i popatrzyłem na wspaniały, ciemny ornament rzęs na tle twarzy. Gdy otworzyła oczy, były one nieco zamglone, ale uśmiechnęła się do mnie.

— W porządku, powoli ja też przekonuję się, że jesteś całkiem miły — wyszeptala. — Ale teraz, Bill, czy będziesz tak dobry i zostawisz mnie samą?

— Bez pożegnania?

— Powiedzieliśmy sobie już dobranoc. Próbuję zatrzymać to w powietrzu. — Szare oczy były rozmarzone i tak ogromne, że można było w nich się utopić. — Zabieraj swoje cholerne ramię i wynoś się stąd...

Przed biurem zatrąbiła taksówka.

Było coś, co musiałem zrobić. Przekopałem się przez zabarwiony różowo chaos w moich myślach.

— Masz rację, Georgia. — Skierowałem się do wyjścia. — Jeżeli go odnajdę, zadzwonię.

Zanim odjechaliśmy do miasta, ślady szminki zostały wytarte z moich warg, a cała reszta zepchnięta na tyle daleko w głąb umysłu, bym mógł racjonalnie myśleć. Możliwe, że to wcale nie był facet, który wrzucił ten kwas. Istniało wielu mężczyzn podobnych do niego z wyglądu. I oczywiście na pewno nie był taki głupi, by tu wracać. Jednakże musiałem spróbować. Jak kruchy by on nie był, w tej chwili był to jedyny trop.

Była dziewiąta trzydzieści. Wciąż miałem dość dobre pojęcie na temat rozmieszczenia wszystkich knajp. Zapłaciłem taksówkarzowi i zacząłem obchodzić je na piechotę.

W pierwszych dwóch nie dostrzegłem nic poza kilkoma nieprzyjawnymi spojrzzeniami, ale w trzecim lokalu trafiłem w dziesiątkę. Była to zadymiona, ale klimatyzowana spelunka znajdująca się na południe od Springer, zwrócona w kierunku torów kolejowych. Zobaczyłem go w chwili, gdy wszedłem. W środku było sześciu czy siedmiu mężczyzn, ale przy barze zauważyłem białą koszulę i w przelocie dostrzegłem odbicie jego twarzy w lustrze. Nie widział mnie.

Nie zwracając na niego uwagi, powoli podszedłem do wolnego miejsca przy barze. Po lewej stronie pod ścianą stało kilka automatów do gry w bilard, a z tyłu znajdowała się pusta kabina telefoniczna i milcząca w tej chwili szafa grająca.

Zastanowiłem się szybko. Przed nim stała na wpół opróżniona butelka piwa. Po chwili zamówił drugą, więc byłem pewien, że nie ruszy się stąd przez pewien czas. Gdybym zadzwonił do niej z kabiny, moglibyśmy czekać w samochodzie, dopóki nie wyjdzie. Mogłaby dokładnie przyjrzeć się jego twarzy i w chwili, gdy rozpoznałaby go z całą pewnością, byłby mój. Przemyslałem różne możliwości... Nie musiałbym zwracać sobie głowy wzywaniem policji; sam pragnąłby ich przyjazdu.

Kiedy wszedłem, nie zwracałem uwagi na innych klientów, ale teraz uderzyła mnie nagła cisza, jaka zapadła w lokalu. Rozejrzałem się.

Po mojej lewej stronie stał Frankie, ten twardek, który we mnie wjechał. Za nim znajdowała się kolejna znajoma twarz, z tym samym wrogim spojrzeniem. Był to jeden z tych osobników, który próbował nas zaczepić, gdy wracaliśmy z Georgią do samochodu. Nie znałem pozostałych, ale wszystkich cechowała ta sama nieprzyjemna ekspresja. Barman, grubas z aparatem słuchowym, obrzucał ich zaniepokojonymi spojrzzeniami.

Cóż, nie mogłem pozwolić sobie na żadne głupie burdy. Było ich zbyt wielu, po pierwsze, a poza tym musiałem zadbać o coś ważniejszego. To było wykluczone.

— Przespała się z tobą, co? — zapytał Frankie.

Strzeliłem go z lewej i postawiłem piwo, które trzymałem w prawej, by zająć się następnym gościem, zanim odzyska równowagę po odbiciu Frankiego, który się na niego zatoczył. Trzeci, obibok z rogu, wywijając butelką,

próbował precyzyjnie się między nimi. Złapałem go za koszulę i pomogłem mu, i tym samym czasie rąbnąłem go z prawej w twarz tak mocno, jak tylko mogłem. Potoczył się na Frankiego i obaj trzasnęli w pierwszy automat do gry i przewalili go z brzękiem szkła i stukotem stalowych kul rozsypujących się po podłodze.

Ktoś musiał wrzucić monetę do szafy grającej, ponieważ buchnął z niej potok dźwięków, zagłuszający szuranie butów, mięsiste odgłosy uderzeń pięści, wysapywane przekleństwa i chrapliwe, spracowane oddechy. Wszyscy byli przeciw mnie. Nie miałem żadnych szans, ale nawet nie czułem trafiających we mnie ciosów. Byłem świadom jedynie przeraźliwie jasnego, pulsującego we mnie oceanu wściekłości i twarzy podskakujących wokół mnie jak cele na strzelnicy. Przyparli mnie do baru, dwóch złapało mnie za ręce, a trzech przepychało się i szamotoła, próbując się zamachnąć. Było ich zbyt wielu i wzajemnie sobie przeszkadzali; żaden nie mógł wymierzyć solidnego ciosu. Targnąłem się w przód, próbując uwolnić ramiona, i wszyscy upadliśmy na podłogę w beładnej kupie. Usiłowałem wywalczyć sobie drogę na powierzchnię i raptem, będąc w środku tego chaosu, zacząłem mgliście zdawać sobie sprawę z dziwnego fenomenu. Moi przeciwnicy znikali. Nie można było tego określić inaczej.

To sprawiało takie wrażenie, jakby byli ptakami zrywającymi się do lotu. Odwróciłem głowę i zobaczyłem dwie masywne, odziane w khaki nogi, najwyraźniej wyrastające z podłogi.

Był to Calhoun.

Podnosił ich i odrzucał do tyłu, metodycznie, bez wysiłku, jak jakaś potężna i pracująca zupełnie bez hałasu maszyna. Poderwał ostatniego i cisnął go za siebie, a ja podniosłem się na kolana, ciągle wściekły, i tuż za nim zobaczyłem Frankiego zwisającego z baru.

Pchnąłem Calhouna na bok i rzuciłem się w kierunku Frankiego, a wtedy sufit zwałił się mi na głowę.

Calhoun złapał mnie pod ramię, obrócił dookoła i rękę wielką jak piknikowa szynka oparł mi na klatce piersiowej. Wystrzeliłem do tyłu, trzasnąłem o ścianę i ześliznąłem się obok resztek stołu bilardowego.

To było jak zderzenie z ciężarówką.

Rozdział 13

No już! – szczechnął. – Wystarczy tego!

Jeśli o mnie chodzi, miał rację. Czulem się chory. Potężny fragment koszuli był oddarty i zwisał mi smętnie u pasa. Obie ręce miałem poranione, a po twarzy z rozcięcia nad prawym okiem spływała mi krew. Starłem ją. Coś zwieszającego się klepało mnie po szyi. Zastanowiłem się, czy to ucho, czy kawałek skalpu. Ani jedno, ani drugie. Był to opatrunek z gazy, który założył mi doktor, podtrzymywany przez kawałek plastra. Oderwałem go i pozwoliłem mu upaść na podłogę. Podniesienie go przekraczało moje możliwości. Pozostali stali w szeregu przy barze, niespokojnie mierząc wzrokiem Calhouna. Tyczkowaty facet w białej koszuli oczywiście zniknął; do tej pory był już poza miastem. Wdanie się w awanturę z Frankiem było genialnym posunięciem, bez wątplenia. Byłem zbyt zmęczony, by się za to skłąć.

Muzyka ucichła i w pomieszczeniu zapanowała pełna napięcia cisza.

– Jakie straty? – zapytał barmana Calhoun.

Barman wyszedł nerwowo zza baru i popatrzył dookoła.

– Uch, trzy stolki, automat do gry nie jest mój, ale muszę za niego zapłacić...

Calhoun liczył, wskazując palcem.

– ...Cztery, pięć. – Odwrócił się do mnie. – Sześciu razem. No to po siedemnaście baksów. Dawać – rozkazał spokojnie.

Nie było nawet pomruku sprzeciwu. Portfele wywędrowały z kieszeni i pieniądze zaczęły sypać się na bar. Jeden z klientów miał tylko jedenaście dolarów. Calhoun utkwił w nim ponure spojrzenie.

– Przyjdiesz jutro przed południem. Lepiej, żeby do tej pory dostał resztę.

– Tak, panie władzo.

Byli zastraszeni. Cóż, można to zrozumieć, pomyślałem. W swoim życiu widziałem kilku naprawdę bezwzględnych facetów, ale Calhoun był klasą samą w sobie, grubo ciosany, wyglądający dobrodusznie kafar, składający się z około dwustu sześćdziesięciu funtów twardych mięśni i w akcji poruszający się jak kot.

– Ty też, Chatham. – Złapał mnie za przód marynarki i udrapował na barze.

Jakoś wyciągnąłem portfel i odliczyłem mu do ręki pieniądze, gdy drzwi stały otworem i do środka wparował Magruder. Obrzucił mnie zimnym wzrokiem i złapał brutalnie pod ramię.

Kiwnął do Calhouna.

— Rezerwuję tego faceta dla siebie.

Calhoun oparł mu palec wskazujący na piersi.

— Idź do domu i wytrzymaj nos, dzieciaku. Ja z nim rozmawiam.

Magruder pociemniał na twarzy.

— Ale to rozrabiaka...

— Jesteś w granicach miasta, synku — poinformował go spokojnie Calhoun. — Kiedy będę potrzebował twojej pomocy do utrzymania porządku w tym mieście, zawołam cię, jasne? Teraz go zostaw.

Magruder popatrzył na mnie dziko, odwrócił się i wyszedł. Ponownie oparłem się o bar, czując się zbyt chory, by zainteresować się ich sprzeczką o obszar wpływów.

Calhoun pokazał kciukiem na drzwi.

— W porządku, chłopcy, wynocha! I lepiej, żebym nie spotkał żadnego z was na mieście dziś w nocy!

Byłem zaskoczony. Kazał nam zapłacić za zniszczenia, ale nikogo nie aresztował. Wyszli, mijając mnie, jeden czy dwóch popatrzyło na mnie krzywo. Z satysfakcją zauważyłem, że ten obibok ma podbite oko, a Frankie ma pięknie obrzmiałą wargę i podpuchniętą szczękę. Odepchnąłem się od baru i skierowałem do drzwi.

— Ty nie, Chatham — zatrzymał mnie Calhoun. — Ty pójdziesz ze mną.

To się sumowało, pomyślałem gorzko. Byłem obcy w tym mieście; miałem być kozłem ofiarnym. Stałem i zmęczony oparłem się o bar.

— Daj temu człowiekowi whisky — Calhoun zwrócił się do barmana.

Barman postawił szklaneczkę. Wypilem i sięgnąłem do kieszeni. Calhoun potrząsnął głową.

— Na rachunek firmy. Idziemy.

Wyszedłem za nim, poruszając się niepewnie, i wsiedliśmy do sedana zaparkowanego przed knajpą. Przemknęliśmy przez Springer, jadąc dwie czy trzy przecznice na północ, a potem skręciliśmy na zachód. To dziwne, pomyślałem tępo; więzienie i posterunek policji znajdowały się w zachodniej części miasta, w pobliżu rzeki, ale na południe od Springer.

Była to starsza i raczej zapuszczona dzielnica mieszkaniowa, niezbyt dobrze oświetlona. Nie wiedziałem, co zamierza, i w tej chwili byłem zbyt

obolały, by o to pytać. Mógł szukać jakiegoś cichego miejsca, by mnie spokojnie obrobić; jeżeli tak, nie mogłem nic na to poradzić.

Zatrzymał się pod wielkim rozgałęzionym drzewem blisko końca ulicy. Za chodnikiem widziałem ciemną bryłę dwupoziomowego budynku. Weszliśmy przez bramę i podeszliśmy bliżej, ale skręcił nie dochodząc do werandy. Obeszliśmy dom, z tyłu było więcej drzew i było całkiem ciemno. Pod stopami wyczuwałem omszałe płyty. Na podwórzu stał mały domek gościnny. Otworzył drzwi i zapalił światło.

Najwyraźniej było to jego mieszkanie i nie było potrzeby pytać, czy jest żonaty. Kobieta, rzuciwszy na nie okiem, uciekłaby z wraskiem w środku nocy. Nie dlatego, że panował w nim bałagan; było zdominowane przez męczyznę i tak intensywnie przesycone męskością, że kobieta nie miałaby w nim prawa bytu. Składało się z jednego ogromnego pokoju, za którym znajdowała się mała kuchnia. Przejście po lewej stronie prowadziło do łazienki. Podłoga była z gołego betonu, wyjąwszy dwa małe indiańskie kilimy. Jego łóżko było stalową koją, pozostałe umeblowanie stanowił stary skórzany fotel, proste krzesło, wielki stół zawalony wędkarskimi i łowieckimi czapismami. Na ścianach wisiały liczne fotografie bokserów, z autografami, para bokserskich rękawic, wyprawione skóry dwóch olbrzymich grzechotników, skóra aligatora i dwa wypchane okonie, które za życia musiały ważyć co najmniej po dziesięć funtów. W jednym rogu stała szafka z dubeltówkami i sztucerami, drugi zajmowały wędki. Dwa zaopatrzone w siatki okna były otwarte, ale nie było klimatyzacji. Powietrze było gorące i nieruchome, mogłem usłyszeć brzęczenie komarów. Starłem krew z twarzy, nie pozwalając jej skapywać na podłogę.

— Siadaj — powiedział.

Osunąłem się na krzesło przy stole. On poszedł do łazienki i przyniósł małe metalowe pudełko przypominające apteczkę z zestawem pierwszej pomocy. Wyjął gazę i kilka ściągających laseczek do tamowania krwi i zabrał się zrećźnie za rozcięcie nad moim okiem. Poczulem ostry, piekący ból. Jeszcze raz przetarł ranę i wyszczerzył zęby.

— Zrobione. Z dwudziestosekundowym zapasem.

— Był pan zawodowym bokserem?

— Taak — odpowiedział. — Idź się umyj i wypijemy piwo.

Poszedłem do łazienki i na tyle, na ile mogłem, doprowadziłem się do porządku. Gdy wyszedłem, podał mi puszkę piwa.

— Usiądź, synu, i odetchnij.

Nie przyszło mi to wcześniej na myśl, ale miał prawdopodobnie więcej niż pięćdziesiąt pięć lat. Przypomniałem sobie, jak trzasnął mną o ścianę, tak jakby rzucał tobołkiem ciuchów do prania, i cieszyłem się, że nie ma dwudziestu pięciu. Przyglądając się z bliska, stwierdziłem, że wystrychnął na dudka tyłu samo ludzi, którzy myśleli, że jest głupi, ilu myślało, że jest tłusciochem. Pozornie wyglądał na kmiotka. Nosił farmerski słomkowy kapelusz, zamshowe buty i szerokie szelki podtrzymujące spodnie w kolorze khaki, które mogłyby być rekwizytem w wodewilowej burlesce. Niemniej jednak oczy pod krzaczastymi brwiami były przenikliwe i lodowato niebieskie.

Usiedliśmy. Oparł się wygodnie w skórzanym fotelu, trzymając w ręku piwo.

— Więc wróciłeś, by go poszukać? — zapytał. — Słyszałem, jak z tobą zaczął.

Wyjąłem papierosa i zapaliłem.

— On nie był tym, kogo szukałem. Ale skoro o tym mówimy, widziałem, jak pan obsztorcował tych dwóch na ulicy. Dlaczego?

— A dlaczego nie? Za to mi płacą.

— Ale przecież pan sam myśli, że ona jest winna.

— Jeżeli tak myślę, to trzymam gębę na kłódkę. A w czasie, gdy ja patroluję to miasto, kobiety nie będą zaczepiane na ulicach.

— Mogliby zatrudnić pana w biurze szeryfa.

— Mają tam już odpowiedniego człowieka. Jest moim przyjacielem. Wypiłem łyk piwa w milczeniu.

— Po co jeździłeś do Warren Springs? — zapytał.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

— Skąd pan wie?

— Wiem różne rzeczy. Bo tutaj jest tak samo trudno ukryć ślady, jak łosiowi schować się w budce telefonicznej. Czego szukałeś?

— Wolalbym nie mówić.

— Nie wyobrażasz sobie chyba, że jesteś przesłuchiwany i przysługuje ci prawo nieudzielania odpowiedzi?

— Nic takiego nie mówiłem — odparłem. — A tak przy okazji, komu potrzebna jest ta informacja?

Zmroził mnie wzrokiem.

— Ja to chciałem wiedzieć, synu, z moich własnych powodów. Jeżeli sądzisz, że to jakaś sztuczka, dla kogoś trzeciego...

— Przepraszam.

— Możliwe, że próbuję powstrzymać cię od zabicia się. Zginęło już dość ludzi.

— Wobec tego ten facet, którego nazwisko tak starannie omijamy, jest nieuczciwy? — zapytałem szorstko. — Nie pomyślałbym tak, przynajmniej na początku...

— Nie jest. Jest tak uczciwy, jak tylko można. Lecz tu nikt nie uważa, że człowiek staje się nieuczciwy, gdy broni z pistoletem w rękę reputacji swojej żony.

— A skąd przyszło mu na myśl, że ona wymaga obrony? — zapytałem.

— Spokojnie, synu. Widzisz, w ten sposób nie rozmawiałbym z nikim innym, wierz mi. Ale ty siedziałeś w tym interesie i podoba mi się to, co o tobie słyszałem...

— Skąd pan wie, że byłem gliną?

— Byłem w biurze szeryfa, gdy przyszła depesza z San Francisco. Pokazał mi ją. Nie było nic niewłaściwego w sposobie, w jaki opuściłeś szeregi policji.

— Kiedy to było? — zapytałem szybko. — To znaczy kiedy przyszła depesza?

— Po południu we wtorek...

— Nie. To znaczy czy pamięta pan, o której?

— O drugiej. Kwadrans po.

A zatem Redfield nie mógł być tym, który próbował mnie zastrzelić. Wydarzyło się to prawie o tej samej porze.

Calhoun musiał czytać w moich myślach. Potrząsnął głową.

— Chyba naprawdę tak nie myślisz, co? Z dubeltówki w tył głowy? Pozwól, że coś ci powiem, synu; jeżeli nie będziesz ostrożny, on może cię zabić, ale gdy będzie to robił, ty będziesz na niego patrzył.

— Niewielka pociecha — zauważyłem zmęczony. — Teraz mam dwóch przeciw sobie.

— Możesz rzucić to w diabły i wynieść się stąd. Nie sądzę, by ta sprawa kiedykolwiek została rozwiązana, w ten czy w inny sposób.

— Niech pan posłucha. Ja już nic tutaj nie zgaduję — powiedziałem. — Ja wiem, kto zabił Langstona.

Postawił swoje piwo.

— Czy możesz to udowodnić?

— Jeszcze nie.

— I nie udowodnisz. Myślę też, że się mylisz...

Gwałtownie pochyliłem się do przodu.

— Co?

Zrozumiał swój błąd, ale było za późno.

— To znaczy coś tam wykryłeś. Ale się mylisz.

— Dość tego, Calhoun — warknąłem. — Cholernie dobrze pan wie, co pan powiedział. Pan myśli, że się mylę. A więc pewnie i pan sam był tym nieco zdziwiony. Dlaczego?

Obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

— Dlaczego? — upierałem się.

— Nie będę plotkował o czyjejs żonie — burknął. — Mówiłem ci, że byłem jego przyjacielem...

Wstałem i trzasnąłem puszką o stół tak mocno, że piwo chlapnęło na magazyny.

— Tak i, do cholery, jest pan również gliną! Chce pan patrzeć na cierpienie niewinnej kobiety?

— Nie wrzeszcz na mnie, Chatham. Byłem gliniarzem, gdy ty należałeś do zastępu skautów.

Nagle zdałem sobie sprawę, co ja robię. Był jedynym uczciwym człowiekiem w mieście, do którego mogłem się w razie czego zwrócić, a szczekałem na niego jak cocker spaniel.

— Przepraszam — powiedziałem i usiadłem.

— Nie ma sprawy. To zaczęło cię brać, co?

— Chyba tak.

— Cóż, to się zdarza tak często. Człowiek by oszalał, gdyby próbował to zliczyć. To rutyna, nawet banał; setki spraw takich jak ta dzieją się co roku — mąż, żona i przyjaciel. Tylko że w tym przypadku nie znaleziono nawet strzępka dowodu, że żona i przyjaciel kiedykolwiek się znali. Jest jeszcze gorzej, przyjaciel nie żyje, więc nie można napuścić jednego na drugie i czekać, aż któreś z nich pęknie...

— Racja — trzeba zacząć się zastanawiać, czy oskarża się właściwą kobietę, i zacząć rozglądać się za inną.

— Pomijając, że nikogo takiego nie ma.

Zapaliłem następnego papierosa.

— I w tym miejscu popełniono błąd. Tu nie tylko jest inna kobieta, ale ja wiem, kim ona jest. Niech pan słucha, Calhoun, dlaczego nie przestaniemy chodzić wokół siebie na paluszkach i nie powiemy, o kogo chodzi? Przyjaciółką Stradera była Cynthia Redfield.

Westchnął.

— Mówisz mi o tym, kiedy ja ci powiedziałem, że on jest moim starym przyjacielem. Gdybym podniósł słuchawkę i zadzwonił do niego, nie wyjechałbyś żywy z miasta.

— Wiem.

— A czy uwierzysz mi na słowo, że nie zrobię tego?

— Nawet nie potrzebuję na to pańskiego słowa.

— Dlaczego?

— Odwróć komplement. Podoba mi się to, co o panu słyszałem.

Potrząsnął głową i popatrzył na mnie z zagadkowym wyrazem w oczach.
— Bracie, ty to masz nerwy.

— Niekoniecznie — odparłem. — Powiem panu, dlaczego. Przyjmijmy, że mając do czynienia z tym niesamowitym i głupim systemem wartości, jaki ludzie wydają się posiadać, nie możemy dyskutować na temat, czy pani Redfield mogła mieć, czy też miała kochanka, bo po prostu tego się nie robi. Ale nie ma żadnego towarzyskiego prawa, które by mówiło, że nie możemy spekulować, czy nie jest winna jakiejś relatywnie drugorzędnej rzeczy, jaką jest morderstwo. To tyle, jeśli chodzi o sprawy zawodowe.

Wyszczerzył zęby w twardym uśmiechu.

— Zamiast policjantem, powinieneś zostać prawnikiem.

— Ja sam wolałbym zostać architektem krajobrazowym — odpowiedziałem. — Ale wracając do pani Redfield. Pan ma jakieś podstawy do podejrzeń, w przeciwnym razie nie wiedziałby pan, że do Warren Springs jeździłem w jej sprawie.

— W porządku — niechętnie przyznał mi rację. — Nie mam nic poza zbiegami okoliczności. Pierwszym naturalnie jest lokalizacja tych dwóch miejsc. Ta kobieta — jeżeli to nie była pani Langston — pozostawiła samochód Stradera przed motelem i poszła do domu przed świtem. Dom Redfielda jest oddalony tylko o ćwierć mili, oddzielony przez ten ogród. Ale gdy zacznie podejrzewać się wszystkich, którzy mieszkają w niedużej odległości od motelu, to podejrzane będzie całe miasto. To nie Los Angeles...

— No dobrze. Co jeszcze?

Wyjął papierosa i westchnął.

— Gdy Strader przyjeżdżał, Redfielda nie było w mieście.

Pokiwałem głową.

— Tak przypuszczałem, ale nie było sposobu, bym mógł o to zapytać i nie zostać rozdarty na kawałki. To zamyka sprawę.

Ze złością walnął pięścią w stół.

— Co robi? Skazałbyś kobietę, opierając się na takim głupim zbiegu okoliczności? Słuchaj, Chatham, ta dziewczyna nie jest dziwką, którą pode-rwał sobie w jakiejś speluncie. To godna szacunku, porządna i zamężna ko-bieta. Pracowała jako nauczycielka...

— Ale to nie wszystko — powiedziałem.

— Jeżeli wyciągasz tę starą sprawę śmierci jej pierwszego męża — prze-rwał mi — to daj sobie spokój. Wszyscy o tym wiedzą. To był wypadek, jasny i prosty. Policja i towarzystwo ubezpieczeniowe nigdy tego nie kwestiono-wały.

— Pewnie. Z powodu małej polisy. Gdyby była ona na sto tysięcy, mo-gliby być trochę bardziej ciekawi, co zrobiła z pieniędzmi.

— A co zrobiła?

— Kupiła mały bar facetowi, którego spotkała zaledwie trzy miesiące przed tym, jak jej mąż został śmiertelnie porażony prądem.

Zesztywniał.

— Że co? A kim był ten... — westchnął. — No dobrze. Jesteś pewien, że to był Strader?

— Tak. — Opowiedziałem mu to, co mi przekazał Lane. — Dziewczyna o włosach koloru czerwonego wina, nazywał ją Sin. W Nowym Orleanie, wio-sna i lato 1954. To było między wyjazdem z Warren Springs a przyjazdem tutaj.

Wlepił oczy w papierosa i przez chwilę nic nie mówił. Potem odezwał się, jak gdyby był bardzo zmęczony:

— No cóż, jak to wszystko odkryłeś? Zacznij od dnia, w którym tu przy-jechałeś.

Opowiedziałem mu wszystko, przerywając, gdy wyszedł do kuchni po piwo. Gdy skończyłem, powiedział:

— Nigdy nic nie udowodnisz.

— Wiem. Nie z tym, co mam teraz.

— Wiesz też, co robi Redfield.

— Ona popełniła morderstwo.

— Tego nie wiesz; jedynie przypuszczasz. A nim zabierzesz się do niej, powiedz mu, że jego żona jest dziwką. Spróbujesz?

Zadzwonił telefon, stojący na końcu stołu. Sięgnął do niego i podniósł słuchawkę.

— Calhoun. — Słuchał przez chwilę. — Kto? Rupe Hulbert? Dobra, da-waj go do telefonu. — Nastąpiła krótka przerwa, a potem: — Rupe, tu

Calhoun. Barman mówi, że narobisz sobie nieprzyjemności. Idź do domu... Na razie. — Odłożył słuchawkę.

Popatrzyłem na niego i potrząsnąłem głową.

— Wystarczyło, że powiedział mu pan to przez telefon?

Z dezaprobatą machnął ręką.

— Och, Rupe nie jest złym chłopakiem, tylko gdy wypije trochę, zaczyna odnajdywać w piwie rękawice bokserskie.

Przyszła mi na myśl refleksja, że pewnie i Rupe został kiedyś uderzony o ścianę.

— Myślisz, że Langston poszedł tam wtedy nad ranem? — zapytał. — I natknął się na nich?

— Musiał tam pójść.

— Ale dlaczego? Nawet jeśli zapomniał, że Redfield odwołał swój wyjazd, nie musiał pchać się do środka.

— Spróbujmy w ten sposób: Wiedział, że Redfielda nie ma. I nie wiedział, że jest Strader. Niech pan pamięta, że tym razem meldowała go pani Langston.

Zagwizdał cicho.

— Synu, gdy już coś podejrzewasz, to nie zważasz, komu depcesz po nogach, prawda? Langston był tu wysoce szanowanym człowiekiem. Nie był podrywaczem. Redfield był jego przyjacielem. Nie miał powodu, by wierzyć, że gdy tam pójdzie, pani Redfield zrobi coś poza zbesztaniem go.

— Powiedziałem, że tylko próbuję to jakoś ustawić. Ale, do cholery, Calhoun, on tam wszedł i to go zabiło. Musiało tak być. Mógł wiedzieć, jaka ona jest. Może kiedyś widział ją ze Straderem...

Pokręcił głową. — Ale nawet jeśli ich nakrył, ciągle nie jestem przekonany, że oni go zabili.

— Cóż, możliwe, że to była pomyłka. Pomyśleli, że to Redfield, i wpadli w panikę. Obaj jeździli furgonetkami. Lecz nie jestem pewien, czy tak było. Uważam, że musiało być coś więcej.

— Okay. Ale w tym miejscu zaczyna się walić. W twoim rozumowaniu jest szeroka na milę dziura i jest to ta sama stara kwestia, którą maglowali od początku. Przyczyna, dla której musiała to być pani Langston. I że nadal jest. Fakt, że jedno z nich wiedziało, że jeśli dojdzie do śledztwa w sprawie morderstwa, to będzie podejrzewane. A nie było najmniejszego powodu, by podejrzewać panią Redfield. Ona i Strader mogli wrzucić ciało Langstona w pierwszą lepszą dziurę i nigdy nie byłoby powodu, by ich przesłuchiwać.

— Był! — wtrąciłem. — Znalezienie go nie było proste; wpadłem na to przed chwilą. Powodem, dla którego pani Redfield nigdy się nie zdemaskowała, jest to, że *tylko ona myślała*, że na nią mogłoby paść podejrzenie. To był największy błąd...

Potrząsnął głową.

— Nie nadażam.

— Niech pan postawi się na chwilę w jej sytuacji. Patrzy pan na ciało człowieka, którego właśnie pan zamordował, i zdaje pan sobie sprawę, że obojętnie kiedy i gdzie je odnajdą, będzie wiadomo, że ostatnim miejscem, do którego przyjechał żywy i które może być precyzyjnie określone, jest pana dom...

— Ale on nie zamierzał tam jechać... — Przerwał i wytrzeszczył na mnie oczy. — To nie do wiary!

— Jasne. Ona po prostu tego nie wiedziała. Wszystko, co wiedziała, to to, że Langston jest w swoim wędkarskim ubraniu i że najwidoczniej wstąpił po Redfielda, tak jak robił to tuzin razy wcześniej. Może nawet nie wiedziała, że planowali wspólny wyjazd. A może wiedziała, ale doszła do wniosku, że Redfield zapomniał powiadomić Langstona, że z nim nie jedzie. W obu przypadkach zarówno Redfield, jak i pani Langston wiedzieliby, że Langston tam pojechał.

— Nie do wiary — powtórzył.

— Fatalne jest to — ciągnąłem dalej — że jeśli stało się dokładnie w ten sposób, nikt nigdy nie będzie mógł niczego udowodnić. Nie ma ani śladu dowodów: dwie wplątane w to osoby nie żyją, a jedyne, co musi robić trzecia, to siedzieć cicho. I ona tak robi.

Rozdział 14

Potrząsnął głową.

— To ślepy zaułek.

— Ale istnieje możliwość, że to nie było tak całkiem proste. Langston tego ranka musiał natknąć się na coś bardziej poważnego, niż tylko zdrada żony. I na więcej niż dwie osoby.

— Na człowieka ze strzelbą.

- Tak. I niech pan pamięta, że kobieta, która telefonowała, by wysłać mnie do tej stodoły, nie była panią Redfield.
- Więc to ostatecznie posyła swoją teorię o kochanku do diabła. Kobiety zdradzające swoich mężów nie wysyłają biletów ani nie zapraszają sąsiadów.
- Na to wygląda — przyznałem. — Ale nie jestem taki pewien. Mam też pytanie do pana: Czy tej nocy zostały popełnione jakieś inne przestępstwa? Włamanie, napad, coś takiego?
- Zastanowił się.
- Nie, myślę, że nie.
- Niech pan pamięta, że morderstwo mogło coś takiego zepchnąć w cień.
- Musiałbym poszperać w aktach. W każdym razie zostały zabrane do biura szeryfa. Ale dlaczego?
- No cóż, z kilku powodów. Kiedy pan zaskoczył Stradera, on wyciągnął pistolet. Czy nikt nigdy nie zastanowił się, dlaczego go miał?
- Cóż, właśnie popełnił morderstwo. Posiadanie pistoletu nawet do tego pasuje.
- Czyżby? Langston nie został zastrzelony, więc pistolet nie miał nic do rzeczy. I bądź co bądź, śmierć Langstona była przypadkowa. Strader przyjechał tu po coś innego. Handlarz nieruchomości zazwyczaj nie chodzi uzbrojony po zęby.
- Ale on nie miał kartoteki, nie był notowany.
- Nie miał. Ale nawet działalność przestępcza ma swój początek. Czy natrafiono na ślad pistoletu?
- Został ukradziony w Tampa ze sklepu z artykułami sportowymi rok temu czy coś koło tego. Zanim dotarł do Stradera, mógł przejść przez tuzin rąk.
- A jednak coś tu nie pasuje. Strader nie potrzebował pistoletu.
- Chwileczkę! — powiedział raptownie. — Przed chwilą pytałeś mnie, czy tej nocy jeszcze coś się wydarzyło... — Dokończył już spokojnie: — Do diabła, to było w Georgii...
- Co? — zapytałem.
- Banda, która nieomal zrujnowała miasto, by okraść dwa wszawe sejfy. Zabili człowieka, kompletnie zniszczyli podstację transformatorową i podpalili jedną z tych wielkich cystern z benzyną, i w konsekwencji spowodowali zniszczenia wartości co najmniej stu tysięcy, a zgarnęli prawdopodobnie dziesięć.

- I to się stało tej samej nocy?
- Na pewno. Ale, u diabła, to było w Georgii. W Weaverton. Prawie sto mil stąd...
- Nie złapano żadnego z nich?
- Hm. O ile wiem, nie. Ale to nie nasz rejon. Zacząłem odczuwać pod-ekscytowanie.
- Dwa sejfy? Czyje?
- Jeden z supermarketu, a drugi ze sklepu jubilerskiego.
- A więc niech pan słucha — powiedziałem szybko. Zadzwoił telefon i przerwałem, gdy do niego sięgnął.
- Calhoun. Tak... Rabunek?... Gdzie znowu? Okay.
- Odłożył słuchawkę i wstał. — Jadę do wschodniej części, ale wysadzę cię w mieście. Masz samochód?
- Nie — odparłem, spiesząc za nim. — Wezmę taksówkę.
- Chcę jeszcze z tobą porozmawiać — rzucił, gdy pędziliśmy w stronę Springer. — Wpadnij koło południa. Będę czekał.
- Jasne. Wyszuka pan coś w aktach o tej sprawie w Weaverton?
- Coś szczególnego?
- Tak, jeżeli miało to miejsce tej samej nocy i ciągle nikogo nie złapano. Niech pan zobaczy, jakie tam były systemy alarmowe.
- Zahamował z poślizgiem na rogu.
- Systemy alarmowe? — powtórzył.
- Ale ja już byłem na zewnątrz, a on wystrzelił na światłach, nie czekając na odpowiedź.
- Zapiąłem marynarkę tak wysoko, jak tylko mogłem, by ukryć poszarpaną koszulę, i przebiegłem przez ulicę na postój, prowadzony posepnymi i milczącymi spojrzzeniami. To ja, Chatham, zawadiaka, facet, który nosi oznaki swojego rzemiosła — rozwaloną głowę, podarte ubranie, poobijane ręce. Kiedy wsiadłem do taksówki i powiedziałem kierowcy, dokąd jechać, odpowiedział sucho, nie oglądając się za siebie:
- Wiem, gdzie pan mieszka.
- Pozwoliłem się zawieźć.

Gdy podjechaliśmy do motelu, popatrzyłem dookoła zaskoczony. Furgonetka zniknęła, a drzwi prowadzące do biura były uchylone. Może zaniepokoiła się i pojechała mnie szukać? Spojrzałem na zegarek; było dwadzieścia po dziesiątej. W każdym razie nie wyjechałaby, pozostawiając otwarte drzwi. Zapłaciłem taksówkarzowi i pognałem do środka. Hol był ciemny,

ale przez szczeliny w zasłonie przedostawało się światło. Wpadłem do jej mieszkania i zatrzymałem się gwałtownie. Stolik do kawy był przewrócony, szklany blat stłuczony, niedopalki z roztrzaskanej popielniczki wały się po dywanie. Obok, w kaluży kawy, leżała rozbita filiżanka. Pobiegłem do sypialni i zerknąłem do łazienki. W obu pomieszczeniach wszystko było w porządku, podobnie w kuchni. Rzuciłem się z powrotem i zapaliłem światło w holu. Nigdzie nie było śladów walki ani krwi. Ale ona nie zostawiłaby drzwi stojących otworem.

Skłamałem za to, że marnuję czas, i chwyciłem telefon. Nie mogłem dzwonić do Calhouna; nie było go w domu i poza tym wydarzyło się to poza granicami miasta. Moją jedyną nadzieją był Redfield, a on miał wolne. Znalazłem jego domowy numer. Spiesząc się, za pierwszym razem spartaczyłem i musiałem ponownie wykręcać numer. Zgłosiła się Cynthia Redfield.

— Tu Chatham, z motelu Magnolia — powiedziałem szybko. — Czy zastałem pani męża?

— Nie. — Wydawała się zaskoczona. — Myślałam, że może jest gdzieś tam, panie Chatham. Przed dziesięcioma minutami próbowałam dodzwonić się do pana...

— Tutaj miał być? — przerwałem jej.

— Tak. Poszedł na spotkanie do klubu, a tu podjechał człowiek, który chce się z nim widzieć w jakiejś pilnej sprawie, więc zadzwoniłam do klubu. Powiedziano mi, że miał wezwanie i wyszedł.

— Czy powiedzieli, że udał się tutaj?

— Tak myślałam. W każdym razie ten człowiek ma coś do powiedzenia o motelu Magnolia. O pani Langston.

— Czy on tam ciągle jest? — wtrąciłem.

— Tak. Czy coś...

— Niech pani nie pozwala mu odejść. — Przycisnąłem widełki i naciskałem je wściekle, dopóki nie usłyszałem sygnału.

Zadzwoiłem po taksówkę.

Gdy podjechalśmy przed dom, na werandzie paliło się światło, ale na ulicy nie było żadnego samochodu. Być może ten człowiek musiał odjechać. Na podjeździe dostrzegłem tył furgonetki Redfielda, więc przypuszczalnie był on w domu. Rzuciłem taksówkarzowi dolara i pobiegłem w stronę domu.

Do drzwi podeszła Cynthia Redfield.

— Och, proszę wejść, panie Chatham.

— Odjechał? — zapytałem szybko.

Skinęła potakująco.

— Ale tylko do miasta, poszukać Kelly'ego. Jeżeli go nie znajdzie, wróci. Chodźmy do salonu, spróbuję jeszcze raz zadzwonić.

Poszedłem za nią krótkim korytarzem. Skręcał w prawo, najwyraźniej do jadalni i kuchni. Drzwi, znajdujące się w połowie drogi, prowadziły do salonu. Weszliśmy. W odległym kącie znajdował się kominek i następny korytarz, wiodący do sypialni w drugim skrzydle domu. Ogromne okno wychodziło na patio i podwórze, ale kotary były szczelnie zasunięte. Od frontu znajdowało się drugie zasłonięte okno, przed nim stała sofa, stolik do kawy i dwa nowoczesne krzesła szwedzkie. Po mojej lewej stronie stał gramofon i stolik ze stertą płyt długogrających w kolorowych kopertach. Pokój był klimatyzowany.

— Co on mówił? — zapytałem.

Odwróciła się i uśmiechnęła, przepraszając potrząsając głową, tak że zakłuśał się jej koński ogon.

— On jest Kubańczykiem i trudno go zrozumieć, szczególnie gdy jest zdenerwowany. Ale na pewno chodziło mu o panią Langston. Czy coś się stało?

— Zniknęła.

— To prawdopodobnie nic poważnego — rzekła uspokajająco. — Ale tracimy czas. Pozwoli pan, że jeszcze raz zadzwonię.

Telefon stał na małej półce między sofą a gramofonem. Wybrała numer i powiedziała:

— Tu znowu pani Redfield. Zechce pan sprawdzić, czy wrócił mój mąż? Dziękuję.

Czekała na odpowiedź.

— Ten Kubańczyk — nalegałem. — Jest miejscowy? Jak się nazywa i gdzie mógłbym...?

Położyła rękę na słuchawce.

— Nazywa się Montoya. Mieszka na farmie tuż za miastem. Zawsze ze wszystkim przychodzi do Kelly'ego, bo Kelly zna hiszpański. — Wskazała na krzesło. — Proszę, niech pan siada, panie Chatham.

Podziękowałem jej, ale stałem nadal. Nawet w środku zmartwienia, które szarpało mi nerwy, zdawałem sobie sprawę, że ona była niewiarygodna. Byłem przekonany, że zabiła człowieka, a być może dwóch, ale tak naprawdę nie mogłem w to uwierzyć. Popatrzyłem na skromną bawełnianą sukienkę, płaskie pantofelki, koński ogon ujęty okrągłym grzebieniem z tyłu głowy

i na spokojną opaloną twarz. Gdy ścigali je filmowi czy powieściowi prywatni detektywi, były one podstępne, długonogie, ich wydekoltowane kostiumy były na tyle przeźroczyste, by stwierdzić, czy ich sutki są koralowe czy jasnopurpurowe, i nosiły czterdziestki piątki — Bóg wie gdzie — ale ta była młodą panią domu, psychicznie dorosłą do tego, by cztery lata później mieć dwójkę dzieci i każdy weekend spędzać na basenie dla przedszkolaków. Może to ja przesadzałem.

W pokoju panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć lekkiego i rytmicznego stukania jej paznokci o blat stolika pod telefonem. Błądziłem wzrokiem po pokoju, gdy nagle wyłapałem coś wśród kolorowych kopert longplayów, spiętrzonych na stoliku. Była tam jakaś muzyka flamenco, a na okładce zdjęcie artysty i oczywiście jego nazwisko, wypisane wielkimi literami: Carlos Montoya.

Montoya!

Nagle zrobiłem się spięty i niespokojny. Nie, pomyślałem, przecież to ja do niej zadzwoniłem. Ale...

— W porządku, dziękuję — powiedziała do telefonu i odłożyła słuchawkę. — Nie ma go — stwierdziła z lekkim niezadowoleniem. — Myślę, że zadzwonię do Farrar's Café. Chodzi tam czasem...

Zaczęła odwracać się do telefonu, gdy zmarszczyła nos i zirytowana popatrzyła na stolik do kawy.

— Ale chyba najpierw zabiorę stąd te straszne papierosy, zanim zasłony przesiąkną ich zapachem. Tonę w tych niedopałkach.

Podniosła popielniczkę i wyszła. Były w niej dwa pety, jeden z nich był owalny z bardzo ciemnym tytoniem. Odprężyłem się. Kiedy wróciła, zapytałem:

— Czy ma pani w ogóle jakieś pojęcie, co chciał Montoya?

Zawahała się.

— Cóż, wszystko przekręcał, więc prawdopodobnie brzmi to daleko gorzej, niż jest w rzeczywistości. Wywnioskowałam, że pojechał spotkać się z panią Langston w sprawie kupna motoru do łodzi i widział, jak dwóch mężczyzn prowadziło ją do samochodu. Trzymali ją tak, jakby była pijana, a ona nie odezwała się ani słowem... Ale pozwoli pan, że zadzwonię do tej kawiarni, a jeśli Kelly'ego tam nie ma, zatelefonujemy do patrolu drogowego.

Podeszła do telefonu i wybrała numer. Czekałem, podskakując z niecierpliwości. Nagle odwróciła się twarzą do mnie, w prawej ręce trzymała słuchawkę.

I krzyknęła zduszonym głosem:

— Kelly... Och, Kelly! — Rzuciła niedbale aparat, słuchawkę i wszystko inne na podłogę.

Nie miałem nic do zrobienia, poza obserwowaniem. Jakiś odległy zakątek mojego umysłu zastanawiał się, jak wygląda jej opalenizna w sztucznym świetle. Sięgnęła za siebie i zrzuciła lampę. Zanim umilkł huk, podniosła poduszkę z sofy i rzuciła ją na telefon leżący na dywanie. Chwyciwszy obie-
ma rękami za karczek sukienki, pociągnęła ostro w dół; szwy puściły. Nie miała na sobie halki ani stanika, oczywiście. Nie dopatrzyłem się żadnych usterek w jej opaleniznie.

— Przybycie tutaj na sygnale zabierze mu około dwóch minut — powiedział, krytycznie szacując efekty swojego działania.

— Mógłbym cię zabić w krótszym czasie. Pomyślałaś o tym?

— Oczywiście. — Rozwiązała koński ogon i pozwoliła włosom opaść wokół twarzy. — Ale dlaczego miałbyś to robić? Nie jesteś takim typem. I możesz uciec, jak się pospieszysz.

— Jasne. — Miałem cudowną okazję odejścia od całej sprawy.

Rozpięła mi marynarkę i popatrzyła na żalodne szczątki mojej koszuli.

— Ty naprawdę nie potrzebujesz żadnych poprawek! No to jak będzie, uciekasz?

— Nie. — Mogłem już słyszeć syrenę. Zastrzeliłby mnie, zanim dobiegł-
bym do drogi. — Coś ci powiem. Twój mąż naprawdę nie jest taki głupi, jak uważasz.

— Och, jakim ty jesteś optymistą... — Sięgnęła pod sukienkę i zdjęła majtki. Postawiła na nich jeden pantofelek i pociągnęła w górę, rozdzierając materiał.

— Dlaczego myślisz, że to było konieczne? — zapytałem. — Zrobiłaś to. Musiałaś to zrobić. I nikt nigdy by tego nie udowodnił...

Nie odpowiadała. Syrenę słyszałem całkiem blisko.

— Nie ufasz innym? Czy oni nie ufają tobie?

— Nawet nie spróbujesz uciec? — zapytała, marszcząc brwi.

— Nie. Mówiłem ci.

Wnioskując z dźwięku, był trzy czy cztery przecznice stąd i ciągle jechał szybko. Jeżeli zatrzyma się nie wywracając się ani nie wjeżdżając do ogrodu, to będzie znaczyło, że jest dobrym kierowcą, pomyślałem. Wyłączony sygnał zaczął zamierać.

Oblizła wargi.

— Jesteś głupcem...

— Jasne, pani Redfield — powiedziałem i złapałem ją.

Podjęła walkę, ale była ona zupełnie bezcelowa, bo nie obchodziło mnie, czy ją bolą ręce, czy nie. Ustawiłem ją przed sobą, ścisnąłem oba nadgarstki prawą ręką, a lewą położyłem jej twardo na ustach, cofnąłem się pod ścianę obok drzwi prowadzących na korytarz. Wtedy zablokowałem jej nogi, by nie mogła mnie kopnąć. Długi pisk opon zamarł, a na ganku i później w korytarzu rozległ się tupot stóp.

Pchnąłem ją na bok, gdy wpadł do pokoju, i chwyciłem go wysoko za ramiona. Ugiął się pod moim ciężarem i osunął na dywan, a ja rąbnąłem go z prawej tuż pod uchem. Nie wywarło to na nim żadnego wrażenia, z wyjątkiem tego, że przyspieszyło jego eksplozję. Myślałem, że wstanie na nogi ze mną na karku.

Rąbnąłem go jeszcze raz i spróbowałem wyciągnąć pistolet. Miałem nadzieję, że będzie miał go w ręku, gdy wpadł do pokoju, ale nie miał, więc musiałem go wywalczyć. Był jak szalenciec. Ważyłem o co najmniej trzydzieści funtów więcej, ale on dźwignął się i potoczyliśmy się na stolik do kawy, wywracając go i rozrzucając popielniczki. Zdołałem znowu go przyszpilić, owinąłem lewą rękę wokół jego gardła i szarpnąłem w tył, wcisnąwszy prawą pod jego klatkę. Walczył, nie wydając żadnego dźwięku. Próbował wyciągnąć pistolet, ale uniemożliwiłem mu to, przesuując kaburę, i w końcu sam go wyciągnąłem.

Wrzuciłem go do kieszeni marynarki, nie mając złudzeń co do możliwości wykorzystania. Tylko w kinie człowiek rządzi ludźmi za pomocą pistoletu, jak gdyby był on czarodziejską różdżką, ale tu był Redfield i jego pobita i zgwałcona żona. Od momentu, w którym ją zobaczyłem, jedynym sposobem, w jaki można by zatrzymać go za pomocą pistoletu, byłoby opróżnienie go w niego i trzymanie się z dala, dopóki nie umrze.

Przedmiot, który mógłbym wykorzystać, znajdował się w prawej kieszeni jego spodni albo w marynarce, ale zanim mogłem spróbować go wyjąć, dźwignął się do góry i znów się potoczyliśmy, przez zrzuconą lampę, tłukąc i rozrzucając żarówki. Jedyna, która była zapalona, znajdowała się szczęśliwie w drugim końcu pokoju. Walcząc na tym nowym terenie, obróciliśmy się w stronę, gdzie ona upadła, kiedy ją pchnąłem, i on ją zobaczył — jak siada z włosami w dzikim nieładzie i rozdartej do połowy sukience. Wpadł w milczącą furję. Gdybym ważył czterysta funtów, być może mógłbym go utrzymać. Złapał mnie za gardło, podniósł się i uklęknął. Uderzyłem go w szczękę z siłą tak wielką, że się przewrócił, lecz poza tym skutek był taki,

jakbym walnął w ścianę. Grzmotnął mnie w twarz, podciągnął nogi i kopnął mnie w głowę. Złapałem go za nogi i znów go wywróciłem, i tym razem, gdy kotłowaliśmy się po podłodze, znalazłem pałkę.

Było to brzydkie i złośliwe i nienawidziłem tego robić, ale to była jedyna rzecz, która mogła go powstrzymać. Znokautowanie go było niezbyt dobre, nawet gdybym mógł to zrobić. Musiałem spróbować z nim porozmawiać. Ściągnąłem mu ramiona, tak jakby próbował dotknąć swoich stóp, i uderzyłem go w mięśnie z tyłu nóg. Ona przebiegła wtedy obok mnie do kominka i wróciła z pogrzebaczem, i zanim zdołałem go jej odebrać, raz mnie uderzyła. Znowu ją pchnąłem. Upadła.

Redfield leżał na szczątkach stolika do kawy. Przyciskałem mu ręką klatkę piersiową, gdy on walczył, by mnie dosięgnąć rękoma i nogami, które już nie chciały go słuchać. Powietrze świszczało mi w gardle i w ustach czułem smak krwi; zostałem ukarany za użycie tej pałki.

— Słuchaj! — wycharczałem. Musiałem przerwać, by złapać oddech. — Nie zrobiłem tego. Myślisz, że jestem obłąkany? Ona mnie wrobiła. Chciała mnie zabić albo pozbyć się mnie stąd tak, żebym nigdy nie mógł tu wrócić. Czy jeszcze nie wiesz, że ona zabiła Langstona, ty głupcze? Jak długo będziesz przymykał na to oczy?

Straciłem oddech. Dysząc, popatrzyłem na jego twarz i zdałem sobie sprawę, że nie słyszał nic z tego, co mówiłem. Był przytomny i unieruchomiony, tak jak chciałem, ale to było zupełnie bezcelowe. Nie było drogi, którą moje słowa mogłyby do niego przeniknąć; w jego umyśle po prostu nie było miejsca na nic innego poza nieprzejednanym pragnieniem dostania mnie i zabicia. Jego oczy raz się poruszyły w jej kierunku, a potem powróciły do mojej twarzy. Były przerażające. Gdybym żył sto lat, pomyślałem, nigdy bym ich nie zapomniał. Później pomyślałem, że jeśli dożyję do rana, to będzie cud.

Podniosłem się na drżących nogach. W pokoju słychać było jedynie nasze oddechy. Wyrwałem ze ściany przewód telefoniczny. Nigdy nie znalazłbym kluczyków od furgonetki, ale mógł zostawić kluczyk w aucie, którym przyjechał. Ucieczka jego wozem byłaby czymś niewiarygodnym, ale nie było sensu myśleć o tym dłużej niż przez minutę. Skręciłem do drzwi. Leżała na boku, szlochając. To była dobra gra. On przeczołgał się przez szczątki stolika i pełzył w moją stronę jak pies z przetrąconym grzbietem, ciągle wlepiając we mnie oczy. I ani razu nie wypowiedział nawet słowa. Jeszcze wrócić z nim porozmawiać, pomyślałem.

Cóż, bądź co bądź zyskałem kilka minut i samochód.

Wybiegłem na zewnątrz i wsiałem. Kluczyki były w środku. Zawróciłem i skierowałem się ku szosie. Do tego czasu zacząłem trochę myśleć i zrozumiałem, że nie mam szans na to, by wydostać się poza granice stanu, nawet gdybym miał inny wóz. No i nie mogłem jechać nigdzie, dopóki nie odnalazłem Georgii Langston. Nie mówiąc o tym, co robi policja.

Rozdział 15

Może Ollie coś widział. Ciągle miałem kilka minut, zanim Redfield znajdzie telefon i zaalarmuje wszystkich. Wcisnąłem się między dwa inne samochody stojące na parkingu przy Silver King i wyskoczyłem. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Gdy przebiegałem przez salę jadalną, kelnerka i dwóch klientów odprowadziło mnie wzrokiem. Zastanowiłem się, jak teraz wyglądam.

Bar był zatłoczony. Obsługiwał człowiek, którego nie znałem. No cóż, pomyślałem znużony, przecież Ollie nie może stać tu przez cały czas. Potem zobaczyłem go w drugim końcu, sprawdzał rachunki siedząc z tyłu baru. Znalazłem wolne miejsce i zawołałem go. Klienci odwrócili się i popatrzyli na mnie. W lustrze uchwyciłem odbicie swojej twarzy. Rozcięcie nad okiem otworzyło się i krew wysychała mi na policzku. Drugie oko powoli siniało, a po lewej stronie szczęki miałem wielkie obrzmienie. Wetknąłem powiewającą strzępę koszuli za pasek i zapiąłem marynarkę. Jak widziałem, niewiele to pomogło.

Ollie odwrócił się i podszedł szybko.

- Dobry Boże, Chatham, co się stało?
- To długa historia.
- A spotkał się pan w końcu z panią Langston? Bo chyba nie widział pan, jak wyjeżdża?
- Nie — odpowiedziałem.
- Dzwoniła tu parę minut temu. Chciała wiedzieć, czy pana widziałem...
- Skąd dzwoniła? — przerwałem. — Kiedy?

— Nie wiem skąd, ale telefonowała z pięć minut temu.

— Czy było z nią wszystko w porządku?

Popatrzył na mnie zdziwiony.

— Sądzę, że tak. Wydawała się trochę o pana martwić, to wszystko.

W tym momencie zapadła jedna z tych nieoczekiwanych chwil ciszy, które zdarzają się od czasu do czasu w barach. Szafa grająca umilkła i kilka osób przestało rozmawiać mniej więcej w tym samym czasie, czego rezultatem było to, że rozlegał się tylko jeden głos. Był on znajomy i jednocześnie nie był. Obejrzałem się. To Pearl Talley, siedzący plecami do mnie, opowiadał jedną ze swoich niekończących się historii.

— Całkiem niezłe mu idzie — rzuciłem zamyślony, ciągle patrząc na Pearlę.

— Czasami, gdy jest dobrze podkrecony, potrafi przegadać całą noc w tych swoich głupkowatych gwarach — powiedział Ollie.

— Ale *normalnie* też chyba coś mówi?

Ollie wyszczerzył zęby i potrząsnął głową.

— Nigdy nie słyszałem, by próbował.

— No, to na razie — powiedziałem i zacząłem się zbierać.

— Czy mogę coś dla pana zrobić? — zapytał. — Zawiozę pana do doktora, jeśli nie ma pan samochodu.

— Nie trzeba, dzięki. Muszę znaleźć panią Langston.

I zniknąc z pola widzenia w ciągu następnych pięciu czy dziesięciu minut, pomyślałem, jeżeli chcę zobaczyć jutrzejszy wschód słońca.

Wyszedłem i popatrzyłem przez drogę. Jej furgonetka stała przed biurem.

Już nic więcej nie mogło mnie zdziwić. Popędziłem na drugą stronę i nieomal zostałem potrącony przez samochód. Kierowca przeklął ostro.

Wpadłem do holu i usłyszałem, jak się krząta w saloniku. Odwróciła się, gdy wszedłem. Nadal była ubrana dokładnie tak samo, jak przy obiedzie, i na tyle, ile mogłem dostrzec, była nietknięta. Popatrzyła na moją twarz i gwałtownie wciągnęła powietrze, a potem, jakbyśmy ćwiczyli to od tygodnia, wpadła na moje ramiona.

— Tak się bałam — powiedziała. — Szukałam cię wszędzie. Bill, co się stało?

— Nie ma czasu. Musimy się stąd wynosić. Szybko.

Uchwyciła nagłący ton w moim głosie i nie zadawała pytań. Pobiegła do sypialni i wróciła trzymając torebkę i buty na płaskich obcasach. Wypadliśmy

na zewnątrz. Zamknęła na klucz frontowe drzwi. Przyszło mi na myśl, że tylne prawdopodobnie są wyłamane, ale teraz nie wydawało mi się to istotne.

— Gdzie mieszka Talley? — zapytałem, gdy włączałem zapłon. — To znaczy, na wschód czy na zachód od miasta?

— Na zachód. Po drugiej stronie rzeki, a potem cztery czy pięć mil na południe.

Zaryzykujemy, pomyślałem. Nie miałem żadnego planu, z wyjątkiem tego, by oddalić się od szosy i zniknąć, ale skoro byliśmy poszukiwani, to nie wracalibyśmy przecież do miasta ani nie próbowali przejechać przez most. Za kilka minut wszystko to miało być dla nas zamknięte.

Skręciłem i wjechałem na drogę, kierując się w stronę miasta. Prawie w tej samej chwili przed nami usłyszałem zawroźnienie syreny. Było za późno, by zawracać. Jechałem prosto, wstrzymując oddech. Samochód szeryfa przemknął obok nas, wyciągając sześćdziesiąt na godzinę. Nie poznał nas. Ciągłe szukali mnie w służbowym samochodzie.

— Obserwuj go — powiedziałem, przyspieszając tak, jak tylko się odważyłem. — Skręcił do motelu?

— Tak — odpowiedziała spokojnie. — O co chodzi, Bill?

Znajdą swój wóz po drugiej stronie ulicy i wtedy zaczną szukać jej furgonetki.

— Za kilka minut — odrzekłem. — Gdy uda się nam przejechać przez miasto.

Jechałem tak, jakbym wiózł jajka. Na ulicach panował spokój, a ruch był tak mały, że nie mogliśmy się w nim ukryć. Czuję się nagi. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Podjechaliśmy do mostu przy River Street. Wszystkie moje nerwy były pozawijywane w supełki; oczekiwałem, że lada moment usłyszę narastające z tyłu wycie syreny. Nic się nie wydarzyło. Powietrze uciekło ze mnie powoli, w długim westchnieniu. Zwolniłem i przez most jechałem pięćdziesiątką.

— Gdzie skręcamy? — zapytałem.

— Trochę ponad milę stąd. Jest tam stacja benzynowa.

Modliłem się, żeby była zamknięta, ale nie była. Gdy skręcaliśmy, pracownik był jednak zajęty obsługiwaniem klienta i nie sądzę, by nas widział.

Wyjechałem na prostą i znów dodałem gazu. Była to droga o żwirowej nawierzchni, biegnąca przez las, a w zasięgu wzroku nie było żadnych samochodów. Zahamowałem.

— Słuchaj. Ty ciągle możesz się wycofać. Jeżeli mnie nie będzie z tobą, nie będą mogli cię zatrzymać. Wróć do drogi i jedź na wschód.

— Masz kłopoty? — zapytała spokojnie.

— Poważne kłopoty. I ty też będziesz miała, jeśli złapią cię ze mną.

— I mam zostawić cię tutaj w ciemnościach, bez samochodu? Bill, nie denerwuj mnie.

— Mówię ci...

— Jeżeli masz kłopoty, to przeze mnie. Nie wiem, co chcesz zrobić, ale zamierzam ci pomóc. A teraz jedź dalej albo ja poprowadzę.

— Do stu tysięcy piorunów...

— Bill!

Zmieniłem biegi i dodałem gazu.

— Uparciucha — powiedziałem i w ciemności wyszczerzyłem zęby. Uśmiech przyprawił mnie o ból twarzy.

— Czy byłaś kiedyś w tym miejscu?

— Nie. Byłam niedaleko. Ta droga prowadzi w dół rzeki, do Cut, gdzie Kendall trzymał swoją łódź.

— To pasuje. — Walczyłem z samochodem, wyrzucając żwir spod kół, na krawędzi kontrolowania jazdy. — Daj mi znać, gdy będziemy w pobliżu.

— Dobrze, ale to jeszcze z pół mili, zanim przejedziemy obok ogrodzenia.

— W porządku.

Minęliśmy kolejny zakręt, przed nami była tylko ciemność i drzewa. Gnałismy dalej, nie spotykając żywej duszy. Po kilku minutach minęliśmy ogrodzenie. Zwolniłem i obserwowałem drogę. Po mniej niż stu jardach znalazłem miejsce, w którym mogliśmy skręcić. Niewyraźne koleiny prowadziły w lewo, wijąc się wśród drzew. Jechałem nimi, dopóki nie zniknęły, a potem wyszukiwałem przejazd między drzewami i wokół kęp poszycia. Grunt był suchy i twardy. Gdy byliśmy przynajmniej ćwierć mili od drogi, zatrzymałem wóz. Wyłączyłem światła i silnik. Wokół nas panowały niezmierna cisza i ciemność, jakbyśmy byli sami na całym kontynencie, który nie został jeszcze odkryty.

Kiedy się odwróciłem, nie mogłem jej dostrzec obok siebie. Wyciągnąłem rękę i palcami pogłaskałem jej policzek. Przysunęła się do mnie, a ja przytuliłem ją i szeptałem jej do ucha.

— Bałem się, śmiertelnie się bałem.

— Ja też — odpowiedziała. — Co się stało, Bill?

— Najpierw zostałem wciągnięty w pułapkę przez chłopka-roztropka, który w gadaniu nie ma sobie równych. A teraz zostałem napadnięty przez małomiasteczkową nauczycielkę.

— Co oni od ciebie chcieli?

— Wrobić mnie w gwałt — powiedziałem po prostu.

— Jak ona to zrobiła? — krzyknęła.

Opowiedziałem jej wszystko.

— Wpakowałem się bez mydła. Ona nawet przewidziała, że przyjadę taksówką, by mieć na swoje poparcie zeznanie taksówkarza — ty zabrałaś samochód. Potem przetrzymywała mnie tak długo, by to wyglądało wiarygodnie. A do ciebie zadzwonił mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna. Powiedział, że walczyłeś i jesteś ciężko pobity, i że Calhoun cię aresztował. Byłam w więzieniu i w szpitalu...

Westchnąłem.

— On zrobił się monotony. Ale tym razem musieli polegać na telefonach. A co wiesz o Frankiem, to ten facet, z którym się zderzyłem. Kim on jest?

— Frankie Crossman. Prowadzi złomowisko Talleya, na zachód od miasta.

— Świetnie. Frankie pasuje. To następny, który mnie wykiwał. Zaczął bijatykę, żeby ten od kwasu mógł uciec.

— Ale dlaczego przewracali rzeczy w salonie?

— Jeden z nich krążył wokół i włamał się od tyłu, gdy tylko zobaczył, że odjechałaś. Widzisz, wyglądało na to, że stało ci się coś strasznego, chociaż tak naprawdę nic się nie wydarzyło — wszystko to miało później sprawić, że Redfield zacznie się nad tym zastanawiać. Twoje równoczesne zniknięcie nie miało na razie nic do rzeczy; wypilem kilka drinków, nie przestawałem myśleć o tym, jak ona wyglądała bez ubrania, i chodziłem, ładując się jak jeleń na rykowisku...

— Zaraz, zaraz, to niby gdzie ona tak wyglądała bez ubrania? I skąd ty to możesz wiedzieć?

Opowiedziałem jej o tym i dodałem:

— Rozumiesz, ona już wtedy przygotowywała grunt. Wyszedłem na podglądacza.

— Co możemy zrobić?

— Jeszcze nie wiem. Moją jedyną szansą byłby wyjazd za granice stanu, mógłbym oddać się w ręce policji, wynająć dobrego prawnika i bronić się

przed ekstradycją, dopóki szeryf nie wróci. Ale on nie pozwoli mi się wydość. Teraz wszystkie drogi są zablokowane.

— Myślisz, że Redfield zszedł na złą drogę?

— Tego nie wie nikt — odparłem. — Ta sprawa gryzła go zbyt długo. Wie dość, by zobaczyć prawdę, gdyby chciał, ale sądzę, że nie chce. Pogrzebał swoją uczciwość, trzymając się kurczowo żony, i to prawdopodobnie ułatwiło w końcu załatwienie wszystkiego w ten sposób.

— Dlaczego chciałeś przyjechać tu, w pobliże domu Talleya?

— Przeczcucie. Bardzo daleki strzał. Myślę, że go rozgryzłem, i istnieje szansa, że moglibyśmy nawet mu to udowodnić.

— Co masz na myśli?

Zapaliliśmy. Tutaj nikt nie mógł nas zobaczyć.

— Talley jest chłopcem od tych plugawych telefonów, prawie bez żadnych wątpliwości. On wynajął faceta do tej roboty z kwasem. Przypuszczam, że był tam tej nocy, gdy zabito twojego męża. I jestem przekonany, że to on próbował mnie zastrzelić...

Opowiedziałem jej o tym.

— O Boże — wyszeptła.

— Telefon wydaje się jego ulubioną bronią, obok kwasu i dubeltówek. Złapałem mały trop, który wydawał się wskazywać na niego, ale nie mogłem w to uwierzyć, bo człowiek, którego szukaliśmy, posługiwał się językiem dużo bogatszym. Do dziś nie wiedziałem, że Talley potrafi mówić inaczej, niż tylko bełkocąc...

— Jest wspaniałym naśladowcą.

— Słyszałem niedawno. Powiedz mi wszystko, co o nim wiesz.

— Przypuszczam, że zauważyłeś, że jest miejscowym charakterem — zaczęła. — Wokół zawsze krążą o nim nowe historie. On świadomie zachowuje się jak prosty chłopiec czy jakiś pajac z ostatniej komedii — nie wiem, dlaczego, bo nikt nie daje okpić się drugi raz. Faktycznie nie sądzę, by skończył jakieś dobre szkoły, ale ma umysł ostry jak brzytwa. Kupuje, sprzedaje i wymienia się nieruchomościami jak spekulant, ale spędzi i trzy godziny na manewrowaniu i targowaniu się, by sprzedać komuś pióro z niespodzianką, psikające wodą.

O ile wiem, przybył jakieś osiem lat temu do Georgii. Nie miał nic poza starą rozklekotaną ciężarówką, załadowaną niewyrośniętymi cielakami, które chciał wymienić czy sprzedać. Chyba ci mówiłam, co teraz posiada — to wielkie złomowisko, jest też współwłaścicielem kina i ma trzy czy cztery farmy, na których hoduje bydło.

Mieszka tutaj, a jego rodzina w domach na farmach. Krewniacy, jak mówi. Nikt nie wie, ilu ich ma ani skąd się wzięli, ani gdzie znikają, ani nawet czy im coś płaci. Nie jest żonaty, więc jest zazwyczaj z nim dwóch czy trzech, razem z jakąś wścieklą dziewczyną, z którą w danej chwili żyje. Nie sądzę, bym kiedykolwiek widziała go z kobietą, która nie wygląda jak jakaś ulicznica, i zwykle są one na tyle młode, by być młodocianymi przestępczyniami, i prawdopodobnie są. Przypuszczam, że psychiatra by powiedział, że on się boi kobiet albo ich nienawidzi, i nie chce takiej, której nie mógłby poniżyć.

Wszystkie swoje interesy najwyraźniej przeprowadza w barach, ale sam pije bardzo mało. Raz ktoś mi opowiadał, że jego dom to jedna wielka knajpa, z automatem do coli i szafą grającą. Szafę grającą można podobno uruchamiać kopniakiem, ale wszyscy muszą wrzucać prawdziwe dziesięciocentówki do automatu, gdy chcą się napić. Z drugiej strony słyszy się też, że od czasu do czasu przynosi samogon, całkiem za darmo, i upija ich wszystkich. Nie tak, żeby byli podchmieleni, ale by się zwalili z nóg, by byli pijani w sztok. Oczywiście on pozostaje trzeźwy i obserwuje, jak robią z siebie posmiewisko. Uff! Chyba nie wątpisz, że go nie lubię.

— I masz też lepszy powód — powiedziałem. — Myślę, że to on próbował doprowadzić cię do obłądzenia czy też zrujnować twoje zdrowie, po prostu po to, by kupić twój motel za umiarkowaną cenę. Nie wątpię, że było to nieźle pomyślane z jego punktu widzenia.

Oślupiała.

— Ale, dobry Boże, Bill, i dlatego też próbował zabić ciebie?

— Może, ale mam nadzieję, że miał jeszcze inny powód. Nie wiesz, czy był kiedykolwiek aresztowany? Mam na myśli przestępstwo.

— Nigdy o tym nie słyszałam. Dlaczego?

— To przeczucie. Może będę mógł powiedzieć trochę więcej, gdy dorwę się do telefonu.

— A gdzie ty tutaj spodziewasz się znaleźć telefon?! — zapytała niedowierzająco.

— Pomyślałem, że skorzystamy z telefonu Pearl'a.

— Ale...

— Przyszło mi do głowy, że dostatecznie długo byliśmy popychani przez różnych takich, którzy do nas dzwonili. Co powiesz na zmianę taktyki i przejście do ofensywy? Teraz nie mamy nic do stracenia; każda droga prowadzi pod górę.

- Jestem z tobą.
- To załóż te drugie buty. Idziemy.

Był to dwukondygnacyjny dom otoczony wielkimi dębami, stojący jakieś dwieście jardów od drogi. Od frontu, po prawej stronie, widać było jedno oświetlone okno. Podwórze nie było ogrodzone. Złapałem ją za ramię i ruszyliśmy w milczeniu wokół budynku, badając otoczenie. Z boku również było oświetlone okno. Prawdopodobnie w tym samym pomieszczeniu, pomyślałem. Wodziłem wzrokiem od światła do pogrążonej w ciemności reszty. Około pięćdziesięciu jardów za domem wyłaniał się z mroku ogromny zarys, który prawdopodobnie był stodołą. Stał tam tylko jeden samochód, z kształtu ford sedan. Był zaparkowany pod drzewem po prawej stronie werandy.

Zostawiłem ją obok drzewa. Przyłożyłem usta do jej ucha i szepnąłem:

- Czekaj tutaj. Nie wchodź, dopóki cię nie zawołam.

Skinęła głową.

Prześliznąłem się w kierunku oświetlonego okna na bocznej ścianie. Gdy się zbliżyłem, wewnątrz wybuchła muzyka i usłyszałem szuranie butów po drewnianej podłodze. Zerknąłem przez brudną siatkę, ostrożnie, nie podchodząc zbyt blisko.

Było to długie pomieszczenie, ciągnące się chyba do samego tyłu domu, ostro oświetlone przez dwie niczym nieosłonięte żarówki. Wprost przede mną na sofie leżała wyglądająca pretensjonalnie i tępawo osiemnasto- bądź dziewiętnastoletnia blondynka, czytająca książkę i od czasu do czasu rzucająca okiem w kierunku ludzi, którzy przypuszczalnie tańczyli tuż poza zasięgiem mojego wzroku. Miała na sobie krótkie szorty i niezbyt do nich pasującą, zawiązywaną na szyi bluzkę z gołymi plecami, która robiła, co tylko mogła, ale nie miała szans powstrzymania jej wylewającego się ciała. Była bosa, ale wokół każdej kostki miała złoty łańcuszek, a na rękę złoty zegarek. Obok sofy stał kruchy karciany stolik zawałony czasopismami i książkami. Nie mogłem dostrzec tyłu pokoju ani niczego znajdującego się po mojej lewej stronie.

Dziewczyna odsunęła książkę i zwróciła się do tancerzy:

— Trudy, nie powinnaś tak ocierać się o T.J. Wiesz, że Pearl tego nie lubi. — Powiedziała to tak, jakby miała kluski w gębie.

— Och, zamknij się, La Verne — odpowiedział dziewczęcy głos. — I na miłość boską, załóż coś na siebie. Rzygać mi się chce, gdy patrzę na twoje przelewające się...

Właśnie wtedy w polu widzenia pojawiła się tańcząca para. Wytrzeszczyłem oczy. Partnerką była ta ciemna, sucha jak szczapa dziewczyna, którą Talley wykorzystywał jako swój notatnik, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Ale to mężczyzna przyciągnął moją uwagę. Ten, który wywinął się mi tam w barze, gdy Frankie rozpoczęła awanturę.

Przemknąłem na front domu i wszedłem na werandę. Siatkowe drzwi otworzyły się bezgłośnie i znalazłem się w nieoświetlonym holu, jedyne światło wpadało przez uchylone drzwi po prawej stronie. Wszedłem do środka i rozejrzałem się szybko. Było ich tylko troje, a znajdowałem się w najbardziej obłąkanym pokoju, jaki kiedykolwiek widziałem.

Dekorator wnętrz, zamknięty w nim na godzinę, prawdopodobnie by oszalał. Za sofą stał automat sprzedający colę. Na jego szczycie leżało siodło. Pod drugą ścianą stała szafa grająca, rumieniąca się pastelowymi kolorami i będąca źródłem tanecznej muzyki, a z tyłu łóżko ze zszywaną z kawałków koldrą i staromodnym zagłówek. W przeciwnym rogu stał mechaniczny bilard. Wprost przede mną znajdował się mały sejf, a w następnym rogu stare biurko z wysuwającym blatem, zarzucone papierami. Stał na nim telefon, a obok na podłodze — mały elektryczny wentylator. Nie było dywanu, a na niemalowanych deskach ścian wisiał chyba z tuzin wyciętych z czasopism podobizn idoli.

Tancerze odskoczyli od siebie. T.J. był chudym, mierzącym sześć stóp mężczyzną o kanciastej, czerwonej od słońca twarzy i jasnych oczach. Georgia dobrze go opisała. Trudy nie wyglądała ani o włos bardziej pociągająco, niż gdy widziałem ją po raz pierwszy. Ciemne oczy miała twarde, a chudą, ciemną twarz cechowała totalna pogarda do wszystkiego. La Verne zaledwie spojrzała na mnie, jak gdyby nie była pewna, czy sytuacja jest na tyle poważna, by w jakiś sposób zareagować.

T.J. rzucił ochryple:

— Czego chcesz?

— Ciebie, na początek — odpowiedziałem.

Trudy beknęła i zaśmiała się. Posiadała cały urok podwiązanej przepu-
kliny.

— Załatw tego bękarta, T.J.

Wyciągnął nóż, otworzył go ze szczękiem i ruszył na mnie, idąc szczególnie dumnym krokiem i wywijając ostrzem. Wyciągnąłem szybko pałkę i uderzyłem go w przedramię. Nóż upadł na podłogę. Kopnąłem go pod sofę, gdzie La Verne zaczęła się podnosić — jej podekscytowanie osiągnęło punkt, w którym zdecydowała się usiąść. Trudy zapiszczała coś obscenicznego

i próbowała przelecieć obok mnie w kierunku biurka. Odrzuciłem ją do tyłu i zanim upadła z wystawionymi na pokaz żyłastymi nogami, odbiła się od szafy grającej. T.J. trzymał się za rękę. Ciąłem pałką przez drugie ramię, złapałem go za kark i tył spodni i rzuciłem nim o ścianę. Wtedy przypomniałem sobie, jak wyglądał motelowy pokój, podniosłem go i rzuciłem jeszcze raz.

Pistolet leżał w jednej z górnych szuflad w biurku. Była to automatyczna czterdziestka piątka. Wrzuciłem ją do lewej kieszeni marynarki i podszedłem do La Verne.

— Jak się nazywasz? — zapytałem.

Podciągnęła wielkie uda, objęła je i oparła szczękę o kolana, przez co wyglądała, jakby była zupełnie naga. Przyglądała mi się z wyrazem, który uznałem za zaniepokojenie, a który mógł być zaledwie zaciekawieniem.

— Nie zgwałcisz mnie, co?

— Nie dzisiaj. Może zrobię to jutro, gdy odwołają obławę. Rozumiem, że Pearl przekazał ci telefonicznie dobre nowiny?

— Co? Och, jasne, opowiedział nam o obławie.

— Nazwisko? — zapytałem ponownie.

— La Verne Talley. Jestem jego kuzynką.

— O której on zazwyczaj wraca z miasta?

— Och, nigdy przed pierwszą czy drugą.

Trudy zamachnęła się na nią.

— Zamknij się, ty głupi worku treningowy!

— Jak ona się nazywa?

— Trudy Hewlett. Ona nie jest spokrewniona.

Odwróciłem się i popatrzyłem na Trudy.

— Gertrude Hewlett. Czy Gertrude Heines? Myślałaś, że nikt tego nie skojarzy, co?

Obrzuciła mnie wulgarnymi wyzwiskami.

— A ten? — kontynuowałem, wskazując T.J. — Jak się nazywa, czy jest spokrewniony i co robi, gdy nie polewa nic kwasem?

— T.J. Minor — odpowiedziała. — W zasadzie to uprawia ziemię, ale miał małe kłopoty w Georgii i musiał się stamtąd wynieść. Jesteśmy zaręczeni. Będziemy prowadzić dla Pearl'a motel...

Trudy próbowała ją dosięgnąć, ścięgną naprężyły się na jej szyi, gdy wrzeszczała:

— Ty głupia krowo, zamknij się!

Odepchnąłem ją do tyłu i odwróciłem się do wielkiej dziewczyny.

— Masz śliczny zegarek. To Pearl ci go dał?

Wysunęła nadgarstek i popatrzyła na niego z czułością.

— Nie, to Frankie... Och, to było zanim zaręczyłam się z T.J.

— Więc to nie Pearl ci go podarował?

Pokiwała głową patrząc na mnie, jakbym był niespełna rozumu.

— Pearl? Jest daleki od tego, by mi dać taki zegarek. Mówi, że ja to nie mam nic, co mogłabym mu za niego dać. Dał jeden Trudy, ale myślę, że też za coś innego...

— I tak chyba było.

Znowu musiałem ujarzmić wściekającą się Trudy. Pchnąłem ją trochę mocniej, tak że usiadła na podłodze obok szafy grającej.

— W porządku, La Verne, gdzie sypiasz? Na górze?

— Aha. Ale jak mówiłam T.J. i ja... — przerwała i oszacowała mnie zamysłonym spojrzeniem. — Hmm.

— Nie o tym myślałam. Idź sama do swojego pokoju i połóż się spać. Tutaj zaczynają się dziać zbyt brzydkie rzeczy, na górze będziesz bezpieczniejsza...

Rozdział 16

Szafa grająca ucichła z zawodzącym jękiem. W blasku gołych żarówek pokój był cichy i bardzo gorący. Słyszałem, jak La Verne idzie na górę. Trudy siedziała, gapiąc się na mnie jak na dzikie zwierzę, a T.J. poruszył się i oparł ramionami o ścianę, próbując się podnieść.

Podszedłem do biurka, podniosłem wiatraczek i wetknąłem wtyczkę do kontaktu. Jeszcze zanim zaczął się obracać, wydając furkoczący dźwięk, podobny do tego, który słyszałem w budce u Ollie'go, wiedziałem, że to ten. Zanieczyszczony wirnik, pomyślałem, i rzuciłem go z powrotem na podłogę.

— Która godzina? — zapytałem Trudy.

Splunęła w moją stronę.

Zawołałem Georgię. Kiedy weszła, spojrzała na mnie niespokojnie, a potem popatrzyła na innych i gdy jej oczy spoczęły na T.J. dostrzegłem w nich błysk rozpoznania.

— Chcę, żebyś poznała kilka czarujących osób. To oczywiście artysta od kwasu. A ta twarda, rozpalona ślicznotka, to Trudy Hewlett. To ona do mnie dzwoniła.

— Czuję, że robi mi się niedobrze — wyszeptwała.

— Och, bądź dla niej chociaż trochę wyrozumiała. On подарował jej za to śliczny zegarek.

— Bill, proszę...

— No to zabij mnie — rzuciła Trudy. — Naprawdę to zrób. Porządniczki!

— Co możemy zrobić? — zapytała Georgia.

— Dlaczego nie wezwiecie glin? — spytała Trudy. — To byłby cwany ruch.

Powoli zaczęła odzyskiwać swoją pewność siebie. Przede wszystkim uczciwi nigdy nic człowiekowi nie zrobią, a skoro nie mogą wezwać policji, są bezradni.

— Mamy szansę — powiedziałem. — Niewielką, ale to lepsze niż nic. Czekać na zewnątrz i gdyby skręcał tu jakiś samochód, to daj mi znać i schowaj się. Mogę tu już skorzystać z telefonu, ale nie mamy wiele czasu do stracenia.

Wyszła. Przysiadłem na rogu biurka, wyjąłem z kieszeni pistolet Redfieldda i pokazałem im.

— Macie okazję się przekonać, co robią porządniczki, gdy przeberze się miarka. Jeżeli któreś z was się poruszy, to będzie martwe, zanim upadnie na podłogę.

T.J. nic nie powiedział. Trudy prychnęła, ale została na swoim miejscu. Znalazłem domowy numer Calhouna, wyszeptalem pod nosem modlitwę, żeby tylko był, i wybrałem numer. Usłyszałem sygnał, potem drugi. Traciłem nadzieję, gdy podniósł słuchawkę.

— Calhoun.

— Tu Chatham...

Przerwał mi.

— Słuchaj. Nie wiem, skąd dzwonisz, ani nie chcę wiedzieć, ale jeśli jesteś jeszcze w tym okręgu, to się wynoś!

— Ja tego nie zrobiłem. Wie pan o tym.

— Nie myślę, że to zrobiłeś, ale nie o to chodzi. Nie wiesz, co się stanie, gdy cię dopadną? On jest na wpół obłąkany. Próbowalem mu coś powiedzieć; to niemożliwe. Poprosilem go właśnie, by nieco się opanował, i prawie uderzył mnie w twarz pistoletem.

— Nie mogę wyjechać. Chociaż to byłoby jedyne rozsądne wyjście.

Westchnął.

— Nie możesz. Wszystkie drogi są zablokowane, a on jest pewien, że jesteś ciągle na jego terenie. Wezwał posiłki z innych miast i przeczesują okolicę...

— Wiem — wtrąciłem się. — Ale to nieważne. Czy ma pan, o co prosilem?

— Jasne. Dzwoniłem na międzymiastową, na wszelki wypadek, żebyś miał coś w zanadrzu. W supermarkecie nie było systemu alarmowego, a ten u jubilera instalowała firma Electronic Enterprises, z Orlando.

Odetchnąłem.

— Przez człowieka nazwiskiem Strader.

— Boże, jesteś pewien?

— Tak.

— Zaczekaj. Jasne, ten alarm to stary numer. Ale i takich zawodowców, którzy wiedzą, jak to się robi, jest mnóstwo dookoła.

— Tu jest ich też sporo, ale nie mam czasu, by się w to wdawać. Niech pan mi jeszcze coś opowie.

— Okay. Przypuszczalnie było ich trzech lub czterech. Z zajazdu dla ciężarówek przy autostradzie, jakieś dziesięć mil od miasta, uprowadzili cysternę z benzyną. Rano, z tyłu w jakichś krzakach, policja znalazła kierowcę. Najwidoczniej zaczęli go związywać, gdy odkryli, że nie muszą tego robić. Uderzyli go zbyt mocno.

Ta podstacja siłowa znajdowała się na skraju miasta, na zakręcie drogi schodzącej po niewielkim zboczu. Była ogrodzona, oczywiście, jak wszystkie inne, ale zamiast drucianej siatki mogłaby to równie dobrze być jedwabna szarfa. Nakierowali ciężarówkę prosto na stację i pozwolili jej się zapalić. Transformatory, słupy i przełączniki stopiły się na jednolitą masę. Wszyscy strażacy i policjanci z okręgu siedzieli tam przez trzy godziny. W dzielnicy, w której znajdowały się supermarket i sklep jubilerski, nie było prądu. Ta szajka musiała mieć do dyspozycji dość dużą ciężarówkę, wózki i wyciągi, bo podnieśli oba sejfy i zabrali je ze sobą. Gdzieś na uboczu musieli otworzyć je palnikiem, jak przypuszczam.

— Na złomowisku Talleya mają chyba taką dużą ciężarówkę, co? I odpowiedni sprzęt, i palniki acetylenowe.

— Jasne. On posiada to wszystko...

— A jak to wyszło czasowo?

- Podstacja zapaliła się krótko po północy. Ósmego listopada. A przed samym świtem odkryli te włamania. Masz jakieś dowody?
- Nie. Jeszcze nie, ale mam bardzo interesujących ludzi. I jeżeli mi szczęście dopisze, będę miał więcej.
- Czy coś mogę dla ciebie zrobić?
- Tak. Jeśli pan zechce. Czy Frankie Crossman jest żonaty?
- Taak...
- Okay. Po tej bijatyce powiedział mu pan, by poszedł do domu, więc teraz powinien tam być. Niech pan uda się tam, skąd można obserwować jego dom. Za kilka minut wyjdzie i odjedzie. Odczeka pan chwilę, a potem zapuka i zapyta o niego. Niech pan wyraża się mgliście, na tyle, na ile to możliwe, żeby nie wpaść potem w tarapaty, ale niech jego żona odniesie wrażenie, że Frankie jest poszukiwany do przesłuchania w jakiejś bardzo ważnej sprawie.
- Załatwione.
- Wtedy pojedzie pan do domu Redfielda; wyrwałem przewody telefoniczne ze ściany. Oczywiście jego nie będzie, ale powie pan, że próbował pan złapać go w biurze i go nie było. Zostawi pan wiadomość, na wypadek, gdyby ona pierwsza się z nim skontaktowała. Poda jej pan, że dzwoniłem. Oczywiście nie powiedziałem, gdzie jestem, ale to była miejscowa rozmowa, wobec tego ciągle jestem na tym terenie i mówiłem tak, jakbym zwariował. Chciałem, żeby pan zatelefonował do FBI, bo mam jakieś informacje w sprawie podlegającej pod jurysdykcję federalną, i skoro tylko przybędą, oddam się w ich ręce pod zarzutem gwałtu. Pańskim zdaniem, oczywiście, to brednie, ale pomyślał pan, że mogę odezwać się jeszcze raz, więc żeby założyli podsłuch na pańskim telefonie. Dlatego niech Redfield sam zadzwoni do FBI i powie, żeby wyśledzili rozmowę, gdybym znowu dzwonił.
- Zagwizdał.
- Synu, nie wiem, jak to pójdzie, ale jest jedna rzecz. Oni momentalnie wyczują, gdzie jesteś.
- Mam nadzieję.
- Gdybym tylko mógł w jakiś sposób powstrzymać Redfielda!
- Nie może pan. Jestem na jego terenie. A on nim teraz kieruje.
- Może gdybym wezwał FBI...
- Nie mam dowodów. Jeszcze nie.
- A zatem powodzenia.

— Dzięki. Będę go potrzebował.

Odłożyłem słuchawkę i sprawdziłem, która godzina. Było dwadzieścia po dwunastej; musieliśmy się pospieszyć. T.J. i Trudy obserwowali mnie niespokojnie. Zawołałem Georgię. Wbiegła w pośpiechu.

— Chyba nam się uda — powiedziałem. — Ale szkoda czasu na rozmowę. Zobacz, czy na łóżku jest prześcieradło.

Przyniosła je, a ja zacząłem drzeć je na pasy. Przyglądała mi się zamyślnym wzrokiem. Położyłem T.J. na podłodze i związałem mu ręce na plecach. Prześcieradło było całkiem mocne, z surowego muślinu. Szamotał się anemicznie i przeklinał. Wcisnąłem mu kawałek w usta i związałem w tyłu głowy. Związałem Trudy ręce, ale nie zwracałem sobie głowy kneblowaniem. Powiedziała mi tyle ciekawych rzeczy...

Postawiłem T.J. na nogi, wyjąłem mu z kieszeni kluczyki, podałem Georgii pałkę i kiwnąłem głową w stronę Trudy. Leżała na podłodze pod szafą grającą.

— Gdyby próbowała się podnieść, przylej jej od tyłu po nogach, z całej siły. Myślisz, że będziesz mogła to zrobić?

Skinęła posępnie.

— Nie mogę się doczekać. Wierz mi.

Wypchnąłem T.J. za drzwi i zabrałem go do jego wozu. Wpakowałem go na tylne siedzenie, związałem mu nogi i wyprowadziłem samochód za stodołę, gdzie nie mógł być widoczny. Kiedy wróciłem, Trudy ciągle miotła przekleństwa, a Georgia Langston klęczała obok, ważąc w ręku pałkę. Rozwiązałem Trudy ręce. Georgia spojrzała na mnie pytająco.

Wyszczerzyłem zęby w lodowatym uśmiechu.

— Trudy jest naszą sekretarką. Jest dużą psotką od telefonów i teraz będzie dla nas pracować.

Dźwignąłem ją na nogi.

— Wywierasz na mnie coraz większe wrażenie — powiedziała. — Naprawdę. Przestrasz mnie jeszcze bardziej.

— To może nie być już tak przyjemne... — Odwróciłem się do Georgii: — Miej oko na drogę.

— Jasne — odpowiedziała spokojnie. — Chociaż wolałabym tutaj zostać...

Gdy wyszła, złapałem Trudy za rękę i poprowadziłem do biurka.

— Niezła parka z was — rzekła z właściwą jej butą.

Zignorowałem ją, szukając w książce telefonicznej mieszkania Frankiego Crossmana. Miałem nadzieję, że on i jego żona śpią. Wybrałem numer i słuchałem, trzymając palec na widelkach. Pierwszy sygnał... czwarty... piąty... szósty... Po siedemnastym ktoś podniósł słuchawkę. W tej chwili naciśnąłem widelki, przerywając połączenie.

— Założę się, że to było naprawdę cwane posunięcie — wycodziła Trudy. — Ale jestem za głupia, by je rozgryźć.

— Nie musisz. Powiem ci, co masz zrobić. Za dwie minuty, gdy tylko zdąży wrócić do łóżka, zadzwonisz. I powiesz mu coś...

— Pieprzę cię.

Uderzyłem ją w twarz.

Zatoczyła się i upadła na jedno kolano. Gdy wstała, usiłowała mnie podrapać. Ścisnąłem jej nadgarstki lewą ręką i uderzyłem ją jeszcze dwa razy, forehandem i backhandem. Pchnąłem ją i puściłem. Przewróciła się na plecy.

Popatrzyła na mnie z początkami zwątpienia w oczach.

— Ty skurwielu, jesteś obłąkany...

— Wstawaj, Trudy.

Podniosła się, obserwując mnie przezornie, i spróbowała się cofnąć. Nie odezwałem się, a jedynie trzasnąłem ją jeszcze raz, czując, że mój żołądek się buntuje. Miała około osiemnastu lat. Ale musiałem to zrobić. Nie zostawili nam wyboru.

— Przestań — rzekła, już nie tym beczelnym głosem.

— Twój problem, Trudy, polega na tym, że przez całe życie byłaś zadowolona z siebie i nigdy wcześniej nie znajdowałaś się w beznadziejnej sytuacji. Ja nie mam nic do stracenia. Chwytasz?

Wyjąłem z kieszeni trzydziestkę ósemkę i odbezpieczyłem ją.

— Możemy skorzystać z usług T.J. jeśli nie chcesz tego zrobić. Będzie mi łatwo go przekonać...

— Dlaczego? — zapytała.

— Zgadnij — odpowiedziałem.

Pękła. Cała jej śmiałość stopniała. Zaczęła skamleć.

— Co mam zrobić?

— To już lepiej. Chcę, żebyś zadzwoniła do Frankiego. Jeżeli odpowie jego żona, nie mów nic. Sam go wtedy poproszę, ona mogłaby rozpoznać twój głos. Gdy tylko zgłosi się Frankie, zaczniesz mówić. — Powiedziałem jej, co ma mu przekazać. — Rozumiesz?

Przytaknęła.

— W porządku — rzuciłem sucho. — I pamiętaj. Jeśli spróbujesz dać mu cynk, tylko Bóg będzie mógł ci pomóc. Prawo stanowe nie może mnie zabić bardziej niż Redfield.

Wykręciłem numer i trzymałem słuchawkę tak, by ona mogła mówić i żebyśmy oboje mogli słuchać. Zgłosił się Crossman.

— Słuchaj, Frankie — powiedziała pospiesznie. — Właśnie telefonował Pearl, jest już w drodze. Mówił, że próbował cię złapać, ale nikt nie odpowiadał...

— Rozłączył się, zanim sięgnąłem po słuchawkę — burknął Frankie. — Co jest?

— Nic nie wiem poza tym, że dzieje się coś złego. Jedyne, co mi powiedział, to że zaraz przyjeżdża i żebym szukała ciebie, do skutku. Nic nie mów nikomu, nawet żonie, wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj tu jak najszybciej.

— Już jadę. — Odłożył słuchawkę.

Popatrzyłem na zegarek. Była 12.47. Zbliżaliśmy się do niebezpiecznego finału. Pearl miał wrócić do domu około pierwszej. Ubranie się mogło zająć Frankiemu kilka minut, a potem Calhoun musiał odczekać jeszcze swoje dwie czy trzy. W pokoju było bardzo spokojnie. Było mi gorąco we flanelowej marynarce. Pot spływał mi po twarzy. Ręce miałem tak zesztyniałe, że z trudnością mogłem je zacisnąć.

— Jak długo żyjesz z Pearlem? — zapytałem Trudy.

— Trzy czy cztery miesiące — odpowiedziała wyzywająco, a potem znów zaczęła zawodzić: — Ja nie mam z tym nic wspólnego. Przyjechałam z Tampa.

— A kiedy pojawił się T.J.?

— Mniej więcej w tym samym czasie. Wpadł w Georgii w jakieś tarapanty.

— Co jest w tym sejfie? — spytałem nagle.

— Nie wiem — odparła sucho.

— Co jest w sejfie? — powtórzyłem ostro, robiąc krok w jej kierunku.

— Przysięgam na Boga — zaczęła skamleć. — On nigdy nie pozwolił nikomu zajrzeć do środka czy nawet przyglądać się, gdy go otwierał. Ta pani Redfield proponowała mi trzysta dolarów, żebym podejrziała kombinację... — Przerwała nagle.

— Dlaczego? Co chciała z sejfu?

Jakby wyraźnie otepiała.

— Nie wiem. Ale Pearl ma szyfr w pamięci. I on tylko go zna.

Znów spojrzałem na zegarek. Była 12.55. Calhoun powinien teraz rozmawiać z panią Crossman, a Frankie powinien pojawić się tu w każdej chwili.

— Gdy zatelefonuje pani Crossman, powiedz jej, że Frankiego ani Pearl tu nie ma. Nic innego. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Czekaliśmy w gorącej ciszy.

Zadźwięczał dzwonek telefonu. Stałem obok niej z uchem przy słuchawce.

— Tu Bessie Crossman — powiedział kobiecie głos. — Trudy, czy jest tam Frankie?

— Nie. Nie było go tutaj.

— A nie wiesz, gdzie jest Pearl?

Potrząsałem głową. Odpowiedziała, że nie wie.

— Boję się. Miał telefon i popędził dokądś, a kilka minut później przyszedł po niego Calhoun.

Maszyna zaczęła pracować. Pokazałem na migi, że ma odłożyć słuchawkę.

Prawie w tej chwili usłyszałem dobiegający zza okna głos Georgii Langston:

— Skręca tu jakiś samochód, Bill.

— W porządku. Ukryj się. Nie wychodź, dopóki cię nie zawołam.

Schowałem się w kącie przy drzwiach, skąd mogłem obserwować Trudy i gdzie nie byłem widoczny z okien.

— Zostań na swoim miejscu — rozkazałem. — I nie mów ani słowa.

Samochód zatrzymał się pod drzewem obok werandy. W holu zatupotały pośpieszne kroki i do pokoju wpadł Frankie.

— Cześć, Trudy, Pearlą jeszcze nie ma?

Położyłem mu rękę na plecach i pchnąłem.

— Jesteś pierwszy, Frankie. Wchodź.

Odwrócił się, na ciemnej i kościstej twarzy odbiło się zaskoczenie. Miał obrzmiałe wargi w miejscu, gdzie walnąłem go wtedy, w barze. Ubrany był tylko w spodnie khaki i koszulę, ale nie dostrzegłem miejsca, w którym mógł ukryć pistolet, odwróciłem go więc twarzą do ściany i przeszukałem. Miał tylko nóż. Odrzuciłem go pod łóżko i schowałem pistolet do kieszeni.

Spoglądał raz na mnie, raz na Trudy.

— O co, do diabła, tu chodzi? Gdzie jest Pearl?
— Będzie wkrótce, Frankie — odpowiedziałem. — I Cynthia, mam nadzieję. Całe zgromadzenie.

Przez chwilę na jego twarzy widoczny był strach. Odwrócił się do Trudy.

— Dlaczego, ty mała dziwko?!

— Zmusił mnie, żebym zadzwoniła! — wrzasnęła.

— Kto zabił Langstona? — zapytałem. — Wszyscy?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— To może: kto uderzył trochę za mocno *kierowcę ciężarówki*?

— Musisz być wariatem.

— Zresztą to bez różnicy, wiesz o tym. Wszyscy poniosą karę, bez względu na to, kto go walnął.

Marnowałem czas. Do teraz Frankie zrozumiał, że Trudy nic mi nie powiedziała.

— Odwróć się. Do ściany.

Przeszył mnie tylko pełnym wściekłości spojrzeniem, gotów na mnie skoczyć. Byłem zbyt zmęczony, by chcieć z nim walczyć. Wyjąłem pałkę i zamachnąłem się.

— Odwróć się, Frankie.

Wykonał moje polecenie. Związałem mu ręce i zakneblowałem go. Pchnąłem go na sofę i zwróciłem się do dziewczyny:

— Zadzwonisz do Silver King i zapytasz o Pearla. — Powiedziałem jej, co ma mu przekazać, i jeszcze raz to powtórzyłem. — Rozumiesz?

Zaczęła płakać. — On mnie zabije.

— Nie będzie w stanie. Dzwon!

Wahała się jeszcze, śmiertelnie przerażona.

— Dzwon! — krzyknąłem ostro.

Moje nerwy były gotowe pęknąć. Podniosła słuchawkę.

— Dokładnie to, co ci powiedziałem — ostrzegłem ją. Zbliżyłem ucho do słuchawki. Mieliliśmy szczęście. Usłyszałem głos barmana:

— Taaak... Myślę, że jest. Chwileczkę...

Musiał położyć słuchawkę tuż przed kimś, bo przez hałas szafy grającej i gwar barowej konwersacji przedarły się słowa:

— Cieszę się, że nie będę w jego skórze, gdy Redfield go dopadnie!

— Halo — zaciągnął Talley. Skinąłem na Trudy.

- Pearl! — krzyknęła. — Myślę, że robi się gorąco. Kilka minut temu dzwoniła pani Crossman...
- Czego chciała?
- Próbowwała znaleźć Frankiego. Mówiła, że jakieś pół godziny temu miał telefon i wybiegł w pośpiechu z domu, i nie powiedział, dokąd. Zaraz po jego wyjściu przyszedł po niego Calhoun. Ona nie wie, co chciał, ale zachowywał się, jakby chodziło o coś poważnego.
- E, Frankie na pewno wdał się w kolejną bijatykę.
- Nie! To nie wszystko, Frankie też dzwonił. Rozłączył się przed chwilą. Nie wiem, skąd dzwonił, ale powiedział, że wynosi się z miasta. Był tak zdenerwowany, że nie mogłam dużo zrozumieć, ale mówił, że wszystko zaczyna się walić. Powiedział, że odkrył, że ten człowiek jest prywatnym detektywem, pracującym dla towarzystwa ubezpieczeniowego. Nie jestem pewna, o co mu chodziło, ale boję się, Pearl. T.J. też się boi. Chcemy wyjechać...
- Zostań tam, gdzie jesteś — powiedział zimno. — To najgorsza rzecz, jaką mogłabyś zrobić... — Widocznie zrozumiał, że słuchają go ludzie przy barze, bo kontynuował ciszej: — Cholera, nic nie wiem. Siedź cicho. Już jadę.
- Rozłączył się.
- Rzuciłem słuchawkę na widełki, czując narastające podniecenie. Mieliśmy siedem albo osiem minut.
- W porządku, Trudy. Podnieś się i odwróć.
- Niech cię cholera! — wrzasnęła. — On mnie zabije. Ty go nie znasz.
- Zamknij się. Właśnie próbuję cię ukryć przed jego przyjazdem.
- Zdecydowanie z większą ochotą wyciągnęła ręce do tyłu. Zaczęłam je wiązać.
- Georgia! — zawołałem. Wbiegła.
- Jakim samochodem przyjechał Frankie? Swoją ciężarówką?
- Tak — odpowiedziała, a potem wydała z siebie urywany chichot, który zakończył się zdławionym krzykiem, i oparła się ręką o futrynę, by utrzymać równowagę. Napięcie zaczęło przekraczać jej wytrzymałość.
- Uspokój się.
- Już dobrze. — Odetchnęła głęboko. — To ciężarówka. Ta sama, którą w ciebie uderzył — kiedy to było? Ile lat temu?
- Zdobyłem się na szeroki uśmiech.

— Byliśmy wtedy młodzi. — Pokazałem ruchem głowy na Frankiego. — Zobacz, czy ma kluczyki w kieszeni. Gdyby usiłował cię kopnąć, przylej mu czymś.

— Kluczyki są w stacyjce. Sprawdziłam.

— Szybka dziewczyna jesteś. — Skończyłem wiązać Trudy i postawiłem Frankiego na nogi. — Zabierz resztę tego prześcieradła.

Pchnąłem ich w stronę drzwi, trzymając pod ramiona. Wyszliśmy na werandę. Po przebywaniu w oświetlonym pomieszczeniu, przez chwilę nic nie widziałem. Frankie potknął się i niemalże upadł. Podtrzymałem go. Georgia wskazywała drogę do ciężarówki. Otworzyłem drzwi z tyłu i wepchnąłem ich do środka. Znalazła przełącznik i zapaliła światło. W pośpiechu związałem im nogi w kostkach. Frankie leżał na boku, wlepiając ponure oczy w moją twarz. Powoli miałem już tego dosyć, mdliło mnie. Jak można być policjantem i przez całe życie mieć z czymś takim do czynienia?

— Zerknij na drogę — przykazałem Georgii. — Może pojawić się lada moment.

— Na razie spokój.

Zatrzasnąłem tylne drzwi, wsiedliśmy do kabiny i przejechaliśmy za stołę. Zgasilem światła i wyłączyłem silnik, westchnąłem, cały zbity, zmęczony i obolały. Wyciągnąłem rękę, by jej dotknąć, a ona złapała ją i zacisnęła w dłoniach, przyciskając do piersi.

— Jakie są nasze szanse? — zapytała spokojnie.

— Nie wiem. Tej nocy w Georgii popełnili rabunek i zabili człowieka. Przewożąc towar do innego stanu, sprawili, że w tej chwili jest to sprawa federalna.

— Czy możemy im to udowodnić?

— Jeszcze nie. Próbuje doprowadzić do tego, żeby potracili głowy. Nie mogłem nic wycisnąć z Frankiego, ale mamy jeszcze Pearla i panią Redfield. — Przerwałem zmęczony, świadom faktu, że jeżeli Cynthia zatnie się i nie wpadnie w panikę, nie mamy żadnych szans. Musieliśmy ją dostać w swoje ręce, w przeciwnym razie nie mielibyśmy nic.

— A Kendall? Jaki jest jego związek z tą sprawą?

— Obrabowali sklep jubilerski — powiedziałem. — Tego ranka w jej domu musiał znajdować się jakiś pochodzący z niego towar i on go zobaczył. Pamiętaj, to był nie tylko rabunek; wiedzieli, że również zabili człowieka. Morderstwo popełnione w czasie napadu jest tym samym, co morderstwo pierwszego stopnia.

— Ale dlaczego on tam poszedł? — nalegała.

— Nie wiem.

Cóż, pomyślałem, naprawdę nie wiem. To tylko przypuszczenia.

Być może w ogóle się myliłem. Istniała kwestia czasu. Langston został zabity kilka minut po piątej. Weaverton znajduje się prawie sto mil dalej. Jeżeli włamali się do pierwszego sklepu krótko po północy, gdy tylko zgasły światła i policja pojechała na miejsce pożaru, ciągle mieliby tylko cztery godziny. Przez ten czas mogli powrócić z sejfami, ale nie zdążyliby ich otworzyć. To mogło zabrać kilka godzin. Wrzucenie ich do rzeki wymagało jeszcze więcej czasu. Więc co widział Langston?

Cóż, wyczyścili sklep jubilerski i zabrali wszystko, co nie zostało na noc schowane do sejfu. Mogły to być zegarki i wyroby ze srebra...

— Słyszę samochód — powiedziała Georgia.

Ostre światła omiotły drzewa obok stodoły i zgasły. Trzasnęły drzwi. Pearl był na miejscu.

Rozdział 17

Zostań tu — wyszeptalem.

Wysiadłem i prześliznąłem się wokół narożnika stodoły. Było zbyt ciemno, bym mógł go dostrzec, ale słyszałem jego kroki, gdy wbiegł na werandę. Nie musiał tracić czasu na szukanie — brak samochodów był wystarczającym dowodem na to, że uciekli. Przebiegłem przez podwórze, gdy on wszedł do domu, i zdążyłem zająć pozycję przy bocznym oknie. Nie widziałem go; znajdował się gdzieś po mojej lewej stronie. Usłyszałem dźwięk — rozpoznałem go, podekscytowanie przebiegło moje nerwy. Był to lekki, metaliczny szczęk tarczy sejfu.

Mógł przyjechać tylko po pieniądze albo też moje przeczucie było słuszne, a wtedy w środku musiało być coś, czego chciał się pozbyć i ukryć w innym miejscu. Czekałem w napięciu; musiałem być pewien, że otworzy sejf, zanim wejdę. Wtedy zadzwiczał telefon. Nie zwrócił na niego uwagi. Usłyszałem szczęk rączki, gdy otwierał drzwiczki sejfu. Wśliznąłem się na werandę, otworzyłem siatkowe drzwi i wszedłem do holu. Dzwoniący telefon zagłuszał hałas, jaki mógłbym zrobić.

Kłęcząc przed otwartym sejfem plecami do mnie, ubrany w kolejną z tych swoich krzykliwych koszul, kowbojski kapelusz miał zsunięty na tył głowy. Na podłodze obok niego leżała jedna z metalowych szuflad sejfu. I dwa giemzowe woreczki.

— Odwróć się, Pearl — powiedziałem. — I odsuń się od sejfu.

Obejrzał się i wstał. Po pierwszym sapnięciu zaskoczenia na jego twarzy nie było śladu zmieszania czy strachu. Błękitne oczy były wyrachowane i bardziej niż zimne, gdy popatrzyły na mnie, a potem przesunęły się lekko, oceniając odległość do szuflady biurka.

— Nie ma w niej pistoletu. — Stałem przed nim.

Telefon zaczął dzwonić jeszcze raz, ale sygnał urwał się w połowie. Ktośkolwiek by to nie był, odłożył słuchawkę. Cisza wydawała się ryczeć w moich uszach. Pomyślałem o dubeltówce, która wystrzeliła na tym strychu, o pieniącym się kwasie i o sprośnościach szeptanych przez telefon. Przez chwilę chciałem złapać go, teraz, gdy byliśmy sami, i stłuc go na coś nie do poznania, ale odepchnąłem od siebie ten pomysł. Co dobrego mogło to przynieść?

Kiwnąłem na niego.

— Ruszaj się. Dalej, do sejfu.

Zrobił krok w prawo, w stronę szafy grającej, porcelanowe oczy obserwowały mnie uważnie. Wiedział, że mam pistolet. Rzuciłem dwie sakiewki na biurko i poluzowałem rzemienie. Jedna zawierała pierścionki ze wszystkimi rozmiarami kamieni, a mniejsza może garść diamentów. Nie wiedziałem, czy były to prawdziwe kamienie. W sejfowej szufladzie był tuzin męskich i damskich zegarków, owiniętych w bibułę. Najwidoczniej zniszczył oryginalne opakowania, jako zajmujące zbyt dużo miejsca. Druga przegródka była napchana plikami banknotów, posortowanych według nominałów i opasanych gumkami. Kilka tysięcy dolarów, pomyślałem. Ciekawe, jak długo je liczył.

Podniosłem się. Przypatrywał mi się z konspiracyjnym, ale prostodusznym wyrazem na tej jego pyzatej twarzy jak u niemowlaka.

— Wiesz, załóż się, że umiesz robić interesy.

— Tak? — rzuciłem. To powinno być interesujące.

— Dłaczego nie, kurczę. Policja tropi cię jak szopa w norze. Nie możesz stąd wyjechać, a kiedy cię złapią, Redfield sam zatłucze cię pistoletem na śmierć. Ale przypuśćmy, że wywozę cię w swojej ciężarówce? — Nastąpiła precyzyjnie wymierzona chwila przerwy, a potem dodał: — A nawet dam ci pełną kieszeń pieniędzy na drogę.

— Dlaczego?

To drugi poziom, pomyślałem — Talley handlarz. Leży on gdzieś między kmiotkiem z ostatniej komedii o twarzy zepsutego dziecka a prawdziwym Talleyem, zimnokrwistym i przerażającym bandziorem. Pearl było dla niego odpowiednim imieniem; perły są zbudowane z warstw. Choć z drugiej strony być może nie było żadnego rzeczywistego Talleya; gdyby zedrzeć wszystkie kolejne warstwy, na dnie mogłoby nie być nic poza żywiołową, elementarną siłą, rodzajem bezcielesnego i symbolicznego aktu pochłaniania innych. Nic dziwnego, że był dobry jako imitator i umiał bezbłędnie posługiwać się różnymi dialektami; on sam nie był pewien, kim jest.

Nie mógł mnie zrozumieć.

— Nie chcesz uciekać?

— Nie. I wątpię, czy znalazłbym sposób, w jaki mógłbym ci to wyjaśnić, ale wszystko, czego pragnę, to zobaczyć cię w więzieniu.

— Cholera. Ja nie jestem takim twardzielem.

— Widzę. Doprowadzenie kobiety do obłądzenia czy rujnowanie jej zdrowia jest zaledwie rutynową strategią w interesach, prawda?

— Och, nie sądzę, by naprawdę ogłupiała czy coś takiego. Liczyłem, że jeżeli obrzydę jej to miejsce, to tanio je sprzeda. Wiesz, jak to jest w handlu nieruchomościami...

— A co powiesz o próbie zastrzelenia mnie z dubeltówki?

Chytrze wyszczerzył zęby.

— Do diabła, nie możesz udowodnić, że ktoś próbował cię zabić. Ciągłe żyjesz.

Poddałem się nieodpartej logice. Nie było żadnej szkody, ponieważ nie trafił. Dlaczego się tego czepiać?

— Kto z was zabił Langstona?

— Dlaczego pytasz, nic o tym nie wiem — odparł z miną niewiniątka.

— Daj spokój, Pearl. Wiem, co twoi ludzie zrobili tej nocy, a dowody leżą prosto przed tobą. Mam już Frankiego. Jedyne, co muszę jeszcze zrobić, to zadzwonić do FBI. Będą zadowoleni, mogąc położyć na tobie łapy...

Spojrzał na coś przy drzwiach. Obejrzałem się. Stała w nich Cynthia Redfield. Miała na sobie ciemnobłękitną suknię i sandały, w lewej ręce trzymała płaską torebkę, a w prawej — krótkolufą trzydziestkę ósemkę. To była ograna scena i mogłaby być śmieszna, gdyby to był ktoś inny, ale z nią w roli

głównej w ogóle nie była zabawna. Wiedziałem, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Weszła do pokoju.

— Odwróć się, Chatham — rozkazała.

Odwróciłem się, wściekły na siebie i przerażony. Słyszałem, jak podchodzi i staje trzy stopy za mną.

— Teraz zdejmij marynarkę i odrzuć ją na sofę.

Z tej odległości nie mogła chybić. Zrobiłem, co powiedziała.

— A teraz podejdź i stań obok Pearl.

Stałem przy sejfie, zwrócony twarzą do niej.

Popatrzyła zimno na Pearlę i powiedziała:

— Pomyślałam, że możesz przyjechać prosto tutaj, więc zaparkowałam dalej przy drodze. Próbowałam znaleźć cię w mieście, ale powiedzieli mi, że miałeś telefon i wyjechałeś. Wtedy próbowałam złapać Frankiego i odkryłam, że on także zniknął. Czy żadnemu z was nie przyszło na myśl, że to robota Chathama, próbującego was przestraszyć?

Zerknąłem w bok na Pearlę i zobaczyłem, że obserwował ją z niepokojem. Z jakiegoś powodu nie wydawał się zbyt uszczęśliwiony wprowadzoną przez nią zmianą w obrazie.

— Ale przecież to Trudy telefonowała...

— To nie ma znaczenia — przerwała mu szorstko. — Nie mam wiele czasu. — Posłała mu złośliwy uśmiech i mówiła dalej: — Widzę, że masz otwarty sejf. To miło, nieprawdaż? Możemy się teraz rozliczyć za te wszystkie miesiące.

Pearl nic nie powiedział, a do mnie w końcu dotarło, że nie tylko ja byłem terroryzowany pistoletem.

— Śmiało, Pearl — szydziła — opowiedz mi jeszcze raz, co było w tych sejfach, gdy otworzyłeś je razem z Frankiem. Podobno wszystkie banknoty z pierwszego spłonęły w czasie otwierania palnikiem, a w drugim były tylko rupiecie wartości dwóch tysięcy dolarów. Pamiętasz, Pearl?

Z trudnością przełknął ślinę.

Zbliżyła się do biurka, ruchem ręki każąc nam się cofnąć. Postawiła na nim swoją torebkę i zanurzyła palce w sakiewkach. Kilka pierścionków wypadło na biurko.

— Posłuchaj... — zaczął Pearl.

Przerwała mu ostro:

— Ciekawe, jak zdołałeś okłamać i oszukać Frankiego? Z pomocą szantażu, Pearl?

— Słuchaj, wszystko źle rozumiesz — tłumaczył jej gorliwie. — Musiałem to zatrzymać, żeby nikt nic nie sprzedał, zanim to nie będzie bezpieczne. Miałem ci o tym powiedzieć. Szczerze. Chyba nie sądzisz, że oszukałbym swojego krewniaka...?

— Zamknij się, obleśna świnió! — krzyknęła. — Ostatecznie to ty zgarłaś wszystko. Zawsze tak robiłeś. Przez kłamstwa, szantaż, wymuszanie. Nie mogłeś się od nas odczepić, prawda? Jedyne, czego chcieliśmy, to włamać się do jednego z tych sklepów, by zgarnąć dość forsy na wspólną ucieczkę, ale ty musiałeś przeforsować swoje. Zabić człowieka i spalić połowę miasta, żebyś mógł wynieść sejfy. Nigdy nie byłeś zadowolony, prawda? Nie mogłeś nawet tej kobiety zostawić w spokoju, dopóki wszystko nie ucichnie i nie pójdzie w zapomnienie. Nie ty, ty wstrętna świnió! Upierałeś się, by kupić jej motel za bezcen i doprowadziłeś do tego, że się zacięła, i nawet wtedy nie miałeś dość rozumu, by nie zaczynać z tym człowiekiem. A potem pozwoliłeś mu zrobić z siebie głupca. Cóż, ja ciągle mogę się wynieść, Pearl, i zrobię to. Zabiorę wszystko, co jest w tym sejfie. Zabiłabym cię dawno temu, gdybym wiedziała, jak go otworzyć.

Mogło jej się udać, pomyślałem. Z nami martwymi i kosztownościami, po których nie zostałyby ani śladu, nie istniałby żaden dowód i nic na nią nie wskazywało. Wtedy przypomniałem sobie o Georgii Langston. Cynthia najwyraźniej nie wiedziała, że ona jest tutaj. Gdyby pozostała w ukryciu, byłaby bezpieczna.

Wtedy to usłyszałem lekki dźwięk, podobny do szurania butów w holu i mimowolnie spojrzałem w stronę drzwi. Szczupła ręka wysunęła się zza futryny, szukając na oślep wyłącznika. Ale Pearl też ją zauważył. Wytrzeszczył oczy w sposób tak oczywisty, że Cynthia Redfield zaczęła się odwracać. Błądzące palce trafiły na kontakt i światło zgasło.

Zupełnie odruchowo nacisnęła spust, ale ja już pikowałem w kierunku podłogi. Pearl zderzył się ze mną i padliśmy razem. Odkopnąłem go i przetoczyłem się, celując w miejsce, gdzie stała Cynthia Redfield. Nie trafiłem. Palcami jednej ręki musnąłem tylko materiał jej sukni. Pistolet znowu wystrzelił. Rzuciłem się na nią i kompletnie chybiłem. Wtedy naparł na mnie Pearl. Uderzyliśmy o ścianę, on przycisnął mnie pod sobą. Usłyszałem zderzenie w holu, ktoś krzyknął i trzasnęły siatkowe drzwi. Uciekła; nigdy nie złapałbym jej tu w nocy.

Pearl przycisnął mi kolanem klatkę piersiową i wymachiwał jak szalony. Pięść trafiła mnie tuż nad uchem i głową uderzyłem o ścianę. Miał teraz orientację i uderzył mnie jeszcze raz. Jedną rękę miałem zakleszczoną pod

sobą i nic mogłem z całej siły uderzać drugą. Pięść trzasnęła mnie w bok szczęki. Zrozumiałem, że jeszcze jeden czy dwa takie ciosy i mnie znokautuje. Włożyłem wszystkie siły w ostatni zryw i dźwignąłem się, przewracając go w ciemność obok mnie. Przeturlaliśmy się, złączeni razem i zasapani. Uderzyliśmy nogami w kruchy karciany stolik. Zachwiał się, posypały się na nas magazyny i książki. Pomyślałem, że słyszę gdzieś samochód, ale raczej nie mogłem być tego pewien — chrapliwe oddechy skutecznie wszystko zagłuszały.

Szamotaliśmy się na szczątkach stolika i śliskim i niepewnym dywanie z czasopism. Lewą ręką znalazłem jego gardło i zamachnąłem się prawą. Ból przeszył mi ramię, ale Pearl zacharczał. Walnąłem go jeszcze raz i poczułem, że mięknie. Odepchnąłem się od niego i zachwiałem, zbyt słaby, by wstać. Gdzieś za mną zapłonęła zapalka, a potem zapaliło się światło. Usiadłem i obejrzałem się. Tuż przy drzwiach stał Kelly Redfield.

Znajdował się dziesięć stóp ode mnie. Mogłem jedynie siedzieć i gapić się na niego. Jego twarz była blada i intensywnie spokojna, a oczy przerażające. Nie miał w ręku broni, ale krótka kurtka khaki była rozpięta i pod lewym ramieniem mogłem dostrzec kaburę. Nic nie powiedział. W pokoju słychać było tylko mój oddech. Jego prawa ręka powędrowała do góry i wyjęła pistolet spod sprężynowego przycisku.

— Spokojnie, Chatham. — Jego głos był pozbawiony wszelkiego wyrazu.

Potem zobaczyłem, że jego oczy nagle zsunęły się z mojej twarzy, gdy zauważył otwarty sejf i biurko. Coś przykuło jego uwagę. Odwróciłem się mimowolnie i popatrzyłem. Jeden z woreczków leżących na biurku był ciągle otwarty i światło załamywało się na kamieniach pierścionków. A obok niego znajdowała się kasztanowa torebka Cynthii Redfield.

Oderwał od niej oczy i mimo wszystko próbował to zrobić. Podniósł pistolet i odbezpieczył. Pot spływał po jego twarzy jak krople gliceryny. Potem wylot lufy zafalował; pozwolił, by ręka opadła mu wzdłuż boku. Stał nieruchomo, wydawało się, że trwa to wieki, i w końcu schował pistolet z powrotem do kabury. Podeszedł do biurka, stanął do mnie plecami i podniósł słuchawkę.

Pozwoliłem głowie opaść na przedramiona obejmujące kolana i zamknąłem oczy. Byłem osłabiony i cały się trząsłem.

Usłyszałem, jak wybiera numer.

— Redfield — powiedział. — Odwołaj poszukiwania Chathama. Ale wyślijcie kogoś po Frankiego Crossmana...

— Frankie jest tutaj — powiedziałem, nie patrząc na niego.

Jedynym znakiem, że mnie usłyszał, było to, że zmienił rozkazy.

— Przyślij tu Mitchella. Na farmę Pearla Talleya. Żeby zabrać Frankiego Crossmana i Talleya, podejrzanych o popełnienie morderstwa. — Prze-rwał, jak gdyby ktoś mu przeszkodził, a potem krzyknął dziko: — Nie, to nie wszystko! Do jasnej cholery, powiem ci, kiedy skończę...

Spojrzałem na niego. Wolną ręką podniósł torebkę i wysypał z niej za-wartość na biurko. Przez chwilę patrzył kamiennym wzrokiem na stosik kobiecych drobiazgów, palcem odsunął coś na bok i popatrzył. Były to klu-czyki do samochodu.

— I powiedz Mitchellowi, by zabrał ludzi do przeszukania terenu. Jed-no z nich uciekło na piechotę.

Obejrzałem się. W wejściu, z oczami pełnymi łez, stała Georgia Lang-ston. Jakoś się wyprostowałem, złapałem marynarkę, wyszedłem do holu i objąłem ją. Przytuliła się do mnie ze szlochem.

Calhoun przybył kilka minut później. Siedzieliśmy już na werandzie, paląc papierosy.

— Nie byłem w stanie — powiedział — ostrzec cię, że Redfield jest w drodze. Mój błąd. Próbowałem powiedzieć mu to o Pearlu i Frankiem i żeby zadzwonił do chłopaków z biura federalnego. Domyślił się, gdzie jesteś, no i popędził.

— Wszystko w porządku.

Opowiedziałem mu, co się stało. Wszedł do środka.

Przyjechało więcej samochodów, wszędzie było pełno policjantów, któ-rych w większości nigdy nie widziałem. Zostawili zapalone przednie światła, by oświetlić podwórze. Przybyli Magruder i Mitchell, popatrzyli na mnie i weszli do środka porozmawiać z Redfieldem.

— Próbowałam ją złapać — zaczęła Georgia. — Wybiegłam za nią na zewnątrz, po tym jak wpadła na mnie, ale zdążyła uciec.

— Miała pistolet — zauważyłem.

— Wiem. Ale wydawało mi się, że ona była naszą jedyną szansą.

— Będzie. A poza tym zostawiła tu swoją torebkę. Nawiasem mówiąc, wielkie dzięki za wyłączenie tych świateł...

Siatkowe drzwi otworzyły się i wyszedł Redfield, a za nim Mitchell.

— Przejmujesz moje obowiązki — powiedział Redfield. — Przeszukaj ten dom, zinwentaryzuj ten towar, a kiedy będziesz miał to wszystko, za-mknij ich i sporządź raport. Będę w domu.

Mitchell kiwnął w moją stronę.

— Co z Chathamem?

— Nie ma żadnego oskarżenia — odpowiedział lakonicznie. — Może odejść, kiedy zechce.

Podniosłem się, z kieszeni marynarki wyjąłem pistolet i podałem mu kolbę w jego stronę. Przyjął go bez słowa i wrzucił do kieszeni kurtki. Odwróciwszy się gwałtownie, przeszedł przez podwórze, wszedł do samochodu i odjechał, stopniowo zwiększając szybkość.

Usiadłem. Georgia obserwowała oddalające się w kierunku drogi czerwone światła.

— Czy żaden z was nie mógł powiedzieć ani słowa?

— O czym?

— No tak, rozumiem, co myślisz.

Wyszedł Calhoun. Zapalił papierosa i obserwowaliśmy reflektory przeszukujące las.

— Ona wciąż ma pistolet, prawda?

— Tak — przytaknąłem.

— Nie słyszałeś wystrzału?

— Nie. Ale skoro nie zrobiła tego do tej pory, to prawdopodobnie już tego nie zrobi.

— Bardziej prawdopodobne, że już się wymknęła.

Też pomyślałem o tym. I przebiegł mnie dreszcz.

— Frankie i Pearl nie wymigają się — powiedział. — Tej nocy, poza ciężarówką, mieli ze sobą samochód Stradera, więc rozdzielili się w drodze powrotnej. Przywieźli tutaj sejfy i rozcięli je następnego dnia. Twierdzą, że w ogóle nie byli w domu Redfielda. To brzmi logicznie.

— Ale ona i Strader mieli trochę towaru? — zapytałem. — Rzeczy, które nie były w sejfie?

— Tak. Opowiedziała też tamtym, jak to się stało. Langston obszedł dom i wchodził właśnie do kuchni. Strader był wtedy na zewnątrz, znosił z samochodu resztę towaru. Widział jedynie sylwetkę i pomyślał, że to Redfield. Na stole leżało kilka niepozostawiających wątpliwości zegarków i innych drobiazgów. A w krzakach za przydrożnym zajazdem w Georgii leżał martwy kierowca ciężarówki.

Georgia Langston wstała i odeszła kilka kroków, patrząc w ciemność.

— Przepraszam — powiedział Calhoun.

— W porządku — odrzekła. — Bill mówił, że mogło być właśnie tak...

Podniósł się.

— Cóż, nic tu chyba po mnie. I sędzę, że po was też, wszystko zostało wyjaśnione. Podrzuce was do twojego samochodu.

— Nie znajdziemy go przed świtem. Jest daleko od drogi w lesie.

— Wobec tego pozwól, że odwiozę was do domu. Samochód możesz zabrać jutro.

Spojrzałem na nią.

Uśmiechnęła się. — Tak. Jedźmy do domu.

Byla prawie piąta. Siedzieliśmy w saloniku, pijąc kawę. Wcześniej poszedłem do swojego pokoju, umyłem i ogoliłem pokierszowaną twarz tak dobrze, jak tylko mogłem, i założyłem jakieś czyste ubranie. Ona miała na sobie ciemną pizamę i szlafrok, i wyglądała ślicznie, ale była zmęczona. Zadzwonił telefon. Poszedłem do biura i podniosłem słuchawkę. To był Calhoun.

— Złapali ją. Około godziny temu. Złożyła pełne zeznanie.

— Czy wie, dlaczego Langston przyszedł do jej domu?

— Powiedziała, że nie wie. Ale ja w to wątpię.

— Tak jak i ja. Wielkie dzięki.

Wróciłem i opowiedziałem jej, co usłyszałem.

— Przykro mi, Georgia, ale pasuje tylko jedno. Poszedł tam, bo miał nadzieję, że coś może się wydarzyć. Widzisz, musiał zaledwie zapukać do drzwi i zapytać o Redfielda, i grać dalej, gdyby piłeczka została odbita. Ale popatrz na to w ten sposób — oczywiście, ona wcześniej grała przed nim. Miał czterdzieści siedem lat i powiedziano mu, że resztę życia może spędzić w fotelu na kółkach, obserwując mecz z bocznej linii, więc może w ten sposób chciał sobie coś udowodnić...

— Bill — przerwała mi.

— Słucham?

— Dlaczego wszystko usprawiedliwiać i tłumaczyć? Nie przyszło ci na myśl, że mogę chcieć podziękować ci za to, co zrobiłeś? To był koszmar, a ty go zakończyłeś.

— Nie chciałem cię zranić.

Pokiwała głową.

— To boli, tak, ale nie spodziewam się, że przez resztę życia będę pozo-
wać na tragiczną postać. Słuchaj, dlaczego nie wyjdziemy na zewnątrz?

Słońce już chyba wzeszło, będziemy mogli dokładnie zobaczyć, gdzie chcemy założyć basen...

Wyszliśmy i usiedliśmy na brzegu betonowej werandy. Zaczynał się dzień. Rzuciłem kamyk.

— Środek basenu w tym miejscu. Jak to wygląda?

— To będzie piękny basen — powiedziała rozmarzonym głosem. Potem zapytała: — Naprawdę chcesz zostać i to robić?

— A jak myślisz? — Uśmiechnąłem się szeroko, a raczej spróbowałem.

— Powiedzmy, że z tego powodu poświęciłem zbyt wiele swojej twarzy, by teraz zrezygnować.

Dotknęła czubkami palców kilku siniaków.

— Miałam nadzieję, że zostaniesz. Ale czy wiesz, dlaczego cię pytam? To dzień, w którym masz odebrać naprawiony samochód.

Odwróciłem się i przez chwilę patrzyliśmy na siebie. To niewiarygodne, ale miała rację.

Roześmiała się cichutko i mówiła dalej:

— Jestem też pewna, Bill, że pewnego dnia ktoś cię zapyta, jak to się, u licha, stało, że nie umarłeś z nudów, stercząc w takim małym miasteczku jak to przez całe trzy dni...?